



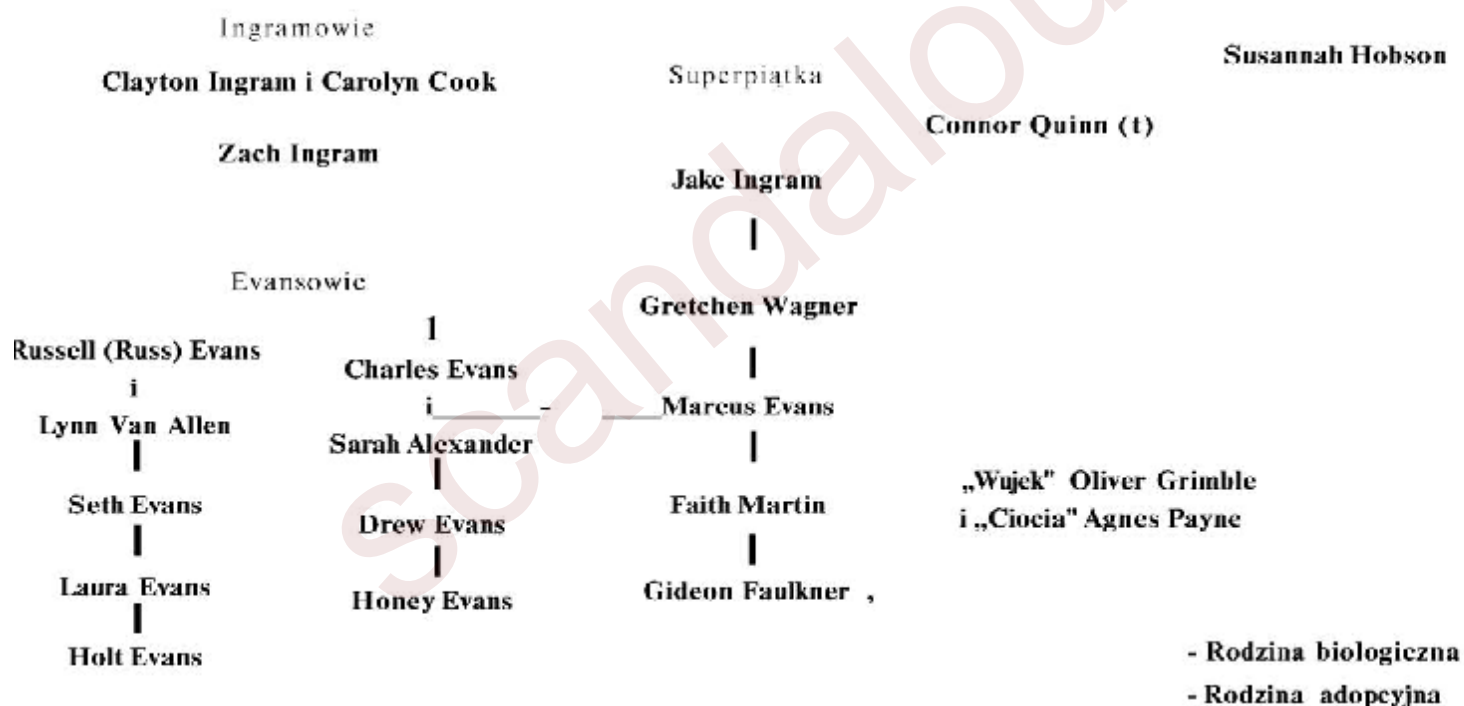
*Jenna Mills*

***WERYDYKT  
MIŁOŚCI***

---

## RODZINNE SEKRETY

Henry Bloomfield (t) i Violet Vaughn, poślubiła potem Dalea



**Erick Jones** - oskarżony o dokonanie skoku na Bank Światowy musi prosić o pomoc kobietę, którą przed laty porzucił

**Leigh Montgomery** - młoda, utalentowana prawniczka podejmuje się obrony Erica, jednak pilnie strzeże przed nim swojej tajemnicy

**Jake Ingram** - geniusz finansowy, jeden z grupy pięciorga dzieci urodzonych w wyniku eksperymentu genetycznego, widzi, że Koalicja nie przebiera w środkach...

## PROLOG

O świcie pożegnał ją pocałunkiem. Westchnąwszy cicho, okryła się mocniej grubą puchową kołdrą. Długie ciemne włosy zasłaniały białą poduszkę, łagodny uśmiech rozświetlał twarz. Oddychała głęboko i równomiernie.

Eric Jones odwrócił się i podszedł do niedużego okna z widokiem na jezioro Michigan. Od szyby ciągnęło chłodem, lecz on był tak odrętwiały psychicznie, że nic nie czuł.

Jego ojciec nie żyje, zginął w wypadku!

Pogrążony w rozpacz, nie mogąc się pogodzić z rzeczywistością, zwrócił się o pomoc do swej najbliższej przyjaciółki. Do wspaniałej, kochanej Leigh. Przytuliła go, zaczęła pocieszać, to mu jednak nie wystarczyło. Pocałował ją. Bezdenny smutek i rozpacz zastąpiło pożądanie. Zamiast się opanować, zgarnął Leigh w ramiona, przeniósł na łóżko i rozebrał.

Powrót do stanu wcześniejszego, do stanu czystej, niewinnej przyjaźni, jest już niemożliwy.

W głowie ponownie zadźwięczał mu głos matki. Wypadek, gołoledź. Nic nie rozumiał. Na miłość boską, jaki wypadek? Susan Jones zawsze była silna, opanowana, twardo stąpała po ziemi. Wczoraj wieczorem jąkała się, połykała słowa, mówiła nieskładnie. O poślizgu, gołoledzi i osiemnastokółowym tirze. O policji i karetkach. O szpitalu kilka godzin drogi od Cloverdale. O tym, że ojciec zginął na miejscu.

Leigh podniosła słuchawkę, która wysunęła mu się z ręki. Przez chwilę rozmawiała z Susan, potem z policjantem. To ona wyjaśniła Ericowi, co się stało, to ona zadzwoniła na lotnisko, ona zawiadomiła resztę przyjaciół.

I ona dała mu parę godzin zapomnienia.

Musi wrócić do domu, do Indiany. Być z matką, która nikogo poza nim nie ma. Wczoraj z powodu śnieżycy drogi były nieprzejezdne, lotniska nieczynne, ale dziś pogoda się zmieniła; nie ma śladu po wczorajszej zamieci.

Zadumany, spoglądał przez okno na bajkowy zimowy krajobraz. Puszysty śnieżny dywan pokrywał chodniki, ulice, dachy domów. Na drzewach utworzyły się wielkie białe czapy. W porannych promieniach słońca iskrzyły się pojedyncze płatki śniegu. Po błękitnym niebie mknął klucz gęsi, które zreflektowawszy się, że nadciąga zima, czym prędzej ruszyły na południe.

- Eric?

Zesztywniał na dźwięk jej ochryplego od snu głosu. Dłoń Leigh spoczęła na jego skórzanej marynarce. Serce zabiło mu mocniej. Wiedział, że powinien coś zrobić, naprawić błąd, ale nie miał pojęcia jak. Albowiem nigdy dotąd nie kochał się z kimś, z kim łączyła go jedynie przyjaźń.

Psiakrew, to nie Leigh powinna była z nim zostać, lecz Matt, Ethan lub Jake. Zjawili się dosłownie parę minut po jej telefonie, siedzieli do pierwszej w nocy. Dlaczego ich nie posłuchał, gdy zaproponowali, że zostaną do rana?

Dlatego, że wolał towarzystwo Leigh.

- Wracaj do łóżka - mruknął, obracając się do niej twarzą. Stała tuż obok, owinięta prześcieradłem, a z jej dużych piwnych oczu wyczierała troska. - Nie ma powodu, żebyś wstawała.

Uśmiechnął się. W ciągu roku, jaki minął od chwili, gdy się poznali, wielokrotnie miał okazję się przekonać, że Leigh nie znosi poranków.

Pogładziła go po twarzy.

- Jak się czujesz?

Cholera, jak miał się czuć? Wykorzystał jej dobroć i zaufanie, zniszczył cudowną przyjaźń, jaka ich łączyła, a ona pyta, jak on się czuje.

- Czas na mnie.

- Pojadę z tobą.

- Nie.

- Eric...

- Przestań, Leigh! - burknął, a widząc pretensję w jej oczach, dodał łagodniejszym tonem: - Przepraszam. Nie gniewaj się. Po prostu... po prostu muszę jechać.

- Wiem. - Łzy zawisły jej na rzęsach. Podeszedł do stolika nocnego, chwycił portfel i schował do kieszeni dzinsów.

- Możesz zostać tak długo, jak chcesz. Potem za-trzaśnij tylko drzwi. - Przystanął z ręką na klamce.

Nie potrafił wyjść bez słowa. Nie po tym, co między nimi zaszło. - Leigh...

Stała przy oknie, ściskając palcami brzegi prześcieradła, i patrzyła na niego posepnym wzrokiem.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro - rzekł cicho.

Wreszcie drgnęła. Z dumnie uniesioną głową, z wdziękiem, któremu żadna dziewczyna nie potrafiła dorównać, podeszła bliżej.

- Ale ja niczego nie żałuję.

- Leigh...

- Nie jestem bezwolną istotą. - Ponownie pogładziła go po twarzy. - Chciałam być z tobą, rozproszyć twój smutek.

Właśnie tego się obawiał. Kierując się przyjaźnią i współczuciem, Leigh ofiarowała mu coś, czego nie mógł przyjąć. Coś, co burzyło granice, jakie sobie wcześniej wyznaczyli.

- Nie zasługuję na kogoś takiego jak ty - powiedział. - Jesteś wspaniałym przyjacielem.

Miał wrażenie, że po jej twarzy przemknął cień bólu, ale może mu się tylko wydawało. Po chwili opuściła dłoń.

- Zadzwoń do mnie.

- Dobrze - obiecał.

Na razie jednak musi jechać do matki. Wprawdzie to nie Mac i Susan Jonesowie dali mu życie, ale byli najlepszymi rodzicami, jakich mógł sobie wymarzyć. Kochali go, wspierali, a jednocześnie pozwalali mu samodzielnie podejmować decyzje i popełniać błędy.

Nacisnąwszy klamkę, wyszedł na chłodny korytarz.

- Wrócę - przyrzekł, spoglądając przez ramię. W jej oczach wciąż połyskiwały łzy.

- Będę czekać.

W porannych promieniach słońca, owinięta prześcieradłem, wyglądała tak ślicznie, że poczuł bolesny ucisk w sercu. Zmuszając wargi do uśmiechu, pocałował ją w czoło, po czym zamknął drzwi. Musi zdążyć na samolot, pocieszyć zrozpaczoną matkę, pochować zmarłego ojca.

Nie ma czasu myśleć o innych sprawach.

Scandalous



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Ile to już lat? Osiem?

- Dziesięć. - Eric Jones otworzył puszkę zimnego piwa i podał ją gościowi.

Jake Ingram zagwizdał cicho.

- Ależ ten czas leci.

Bo ja wiem? - pomyślał Eric, zamykając lodówkę. Wydawało mu się, że minęły wieki, odkąd wyjechał z Chicago, lecz z drugiej strony, kiedy parę minut temu z torbą zakupów w ręce skręcił za róg i zobaczył przed swoim domem znajomą ciemnowłosą postać, miał wrażenie, jakby ostatnich dziesięć lat skurczyło się do dziesięciu dni.

Niemal spodziewał się ujrzeć Matta z Ethanem siedzących na schodach oraz opartą o mur Leigh z plecakiem przewieszonym przez ramię i tajemniczym uśmiechem na wargach.

Ostatni raz byli razem, w piątkę, dziesięć lat temu. W wieczór, kiedy zginął jego ojciec. W wieczór, który stał się dla niego czymś w rodzaju cezury. Od tamtej pory dzielił swoje życie na czas przed śmiercią ojca i po śmierci ojca. W wieku dwudziestu pięciu lat czuł się człowiekiem dojrzałym i odpowiedzialnym. Miał jasno sprecyzowane plany na przyszłość i wiedział, jak je zrealizować.

Parę dni później przekonał się, jak bardzo się myli. Kiedy matka zadzwoniła ze szpitala, okazało się, że był dzieckiem, które nigdy nie musiało stawiać czoła problemom. Człowiekiem dorosłym i odpowiedzialnym stał się później.

- Rozgość się - powiedział, prowadząc Jake'a ze swojej spartańsko urządzonej kuchni do równie spartańsko urządzonego salonu.

Mieszkanie znajdowało się na czwartym piętrze, w eleganckiej kamienicy na terenie Lincoln Park.

Jake usiadł na skórzanym fotelu. Wyglądał świetnie; prawie nie zmienił się od czasów studiów. Wprawdzie jego ciemne włosy znaczyły pojedyncze siwe nitki, a na twarzy pojawiło się parę zmarszczek, ale tego należało przecież oczekiwać.

- Lincoln Park. Kto by pomyślał? - Uśmiechnął się łobuzersko do przyjaciela, z którym ostatni raz widział się niemal rok temu podczas Święta Dziękczynienia.

- Zazdrościsz mi?

- Żebyś wiedział! - Jake postawił puszkę na starej skrzyni, która służyła za stół. - Chicago... miasto Cubsów, Bearsów i Blackhawksów, prawdziwej pizzy i prawdziwego bluesa. A Teksas?

Eric ściągnął marynarkę i zajął miejsce na kanapie, również obitej skórą.

- Macie Texas Cowboys - stwierdził lekko ironicznym tonem.

- Oj, bo mi się narazisz.

Eric wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Nikt ci przecież nie każe mieszkać w wielkim domu na prerii - rzekł, ale zdawał sobie sprawę, że to nieprawda.

Jake był związany z Teksasem; tam żyli jego ukochani rodzice, tam mieszkał brat, z którym wiele go łączyło, i stamtąd pochodziła dziewczyna, z którą się zaręczył i która szalała na jego punkcie.

Toteż zdumiał się, czując lekkie ukłucie zazdrości. Od małego marzył o tym, żeby mieć siostrę albo brata, ale poza nim jednym rodzice nie adoptowali więcej dzieci. Może stąd się brały silne więzy łączące go z Jakiem, Mattem i Ethanem. Oraz z Leigh.

Z chłopakami utrzymywał kontakt; odkąd wrócił do domu, do Indiany, widywali się raz czy dwa razy do roku. Natomiast z Leigh nie widział się od dziesięciu lat, czyli od czasu tej wspólnie spędzonej nocy, rozmawiali zaś tylko raz, przez telefon, gdy zadzwonił, by się z nią pożegnać.

Wyjechała do Anglii i tam już została.

Zerknąwszy na zegarek, zobaczył, że dochodzi szósta.

- Na długo przyjechałeś? - spytał Jake'a.

- Na kilka dni.

- Świetnie. - Zerwał się z kanapy i sięgnął po telefon. - Dziś grają Cubsi. Moja firma zwykle rezerwuje kilka biletów. Jeśli masz ochotę...

- Indy... - Taki przydomek dano Ericowi na studiach: dlatego, że pochodził z Indiany i dlatego, że nosił to samo nazwisko co słynny Indiana Jones.

- Co? - Eric obejrzał się przez ramię, zaskoczony powagą w głosie przyjaciela. - Jesteś zajęty?

Jake przeczesał ręką włosy.

- Nie w tym problem. Nawet nie wiesz, z jaką przyjemnością poszedłbym na mecz, ale... przyjechałem tu w interesach.

- Prawdziwych czy też związanych z kradzieżą w Banku Światowym? - zażartował Eric, odkładając słuchawkę.

Obserwując zatroskanie malujące się na twarzy przyjaciela, spoważniał, uświadomił sobie bowiem, że musiało wydarzyć się coś złego.

- Jake?

Oczy Jake'a spochmurniały, tak jak dziesięć lat temu, kiedy jakiś duppek, którego Leigh odtrąciła, zaczął rozsiewać plotki, że Leigh sypia z całą czwórką: Jakiem, Erikiem, Mattem Tynanem i Ethanem William-sem. Blues Brothers, tak ich nazywano. Chłopcy murem stanęli w jej obronie, a dupkowi dali nauczkę, którą pewnie pamięta do dziś.

- Usiądź, Eric.

Ericowi przeszły po plecach ciarki.

- Co się dzieje? Kto ma kłopoty? Ethan czy Matt?

- Żaden - odparł Jake. - Indy, usiądź. Proszę cię.

- No dobrze. O co chodzi?

Jake skierował pilota na telewizor, który chodził bezgłośnie, i wyłączył obraz.

- Śledzisz dochodzenie w sprawie kradzieży w Banku Światowym?

Napięcie Erica odrobinę zelżało. Czyli to, o czym Jake chciał porozmawiać, nie dotyczy jego spraw osobistych, lecz zawodowych.

A czy śledził dochodzenie? Owszem, od czterech miesięcy, kiedy to FBI zwróciło się do Jake'a Ingrama z prośbą o pomoc w znalezieniu człowieka, który ukradł trzysta pięćdziesiąt miliardów dolarów.

Achilles - tak się zwał ów winowajca, którego poczynania spowodowały krach na giełdzie i bankructwo kilku mniejszych banków. Eric, który pracował jako doradca inwestycyjny, ostatnio ciągle miał do czynienia ze spanikowanymi klientami, lękającymi się o bezpieczeństwo swoich lokat.

- Trudno tego nie śledzić - odparł. - Prawie codziennie twoje zdjęcie i nazwisko pojawiają się w prasie. - Nawet „The Wall Street Journal” informował na bieżąco o postępach w tej sprawie. - I co, kiedy złapiecie tego Achillesa?

Jake zacisnął zęby.

- Skurczybyk bawi się z FBI w kotka i myszkę. Zaciera ślady, zostawia fałszywe tropy.

- A co myślicie, ty i FBI? Że facet działa sam?

- Nie. Uważamy, że pracuje na zlecenie jednego z dawnych komunistycznych krajów. Przypuszczalnie Rebelii.

Ericowi stanął przed oczami obraz niedużego urokliwego państwa, w którym obecnie toczyła się wojna domowa.

- Innymi słowy, że opłaca go DeBruzukija?

- Tak. FBI podejrzewa, że gość planuje przejęcie władzy w sąsiednich krajach, i gromadzi forszę.

- Ale nie macie dowodów? - spytał Eric.

- Żadnych konkretnych.

Nagle Eric uświadomił sobie, jak wielka odpowiedzialność spoczywa na barkach Jake'a. Jego przyjaciel nie tylko usiłuje wykryć sprawcę największej kradzieży w dziejach ludzkości, ale również przeszkodzić szaleńcowi, który zagraża bezpieczeństwu świata. Nic dziwnego, że wciąż przesuwają termin ślubu.

- Niewesoło to wygląda, prawda?

Jake potarł palcami czubek nosa, po czym utkwił spojrzenie w twarzy Erica.

- Ja i FBI mamy coraz bardziej rozbieżne poglądy w tej kwestii - oznajmił cicho. - Ja próbuję zgłębić prawdę, a agent Daniel Venturi, który zastąpił zabitego Len-noksa, koniecznie chce przejść do historii. To twarde, który dąży do celu po trupach, przed niczym się nie cofa.

- Słowem w niczym nie przypomina sympatycznego Foksa Muldera?

- Absolutnie w niczym - potwierdził Jake. Pochyliwszy się, oparł łokcie na kolanach. - Od pierwszego dnia współpraca nam się nie układała. Z początku myślałem, że facet po prostu sprzeciwia się obecności kogoś z zewnątrz, spoza FBI...

- A teraz?

- Teraz wiem, że jeszcze przed śmiercią Lennoksa FBI wpadło na pewien trop. Venturi rzucił się do zbierania dowodów. Długo nie chciał mi ujawnić, kogo podejrzewają.

- Zatem śledztwo zmierza ku końcowi?

- Dla jednych ku końcowi, dla innych dopiero się zaczyna.

- Nie rozumiem - odparł Eric. Zazwyczaj Jake wyrażał się w sposób jasny i precyzyjny; takie kluczenie było zupełnie nie w jego stylu.

- Cholera, nie wiem, jak ci to powiedzieć. Tym podejrzanym, stary, jesteś ty.

Eric znieruchomiał.

- Mógłbyś to powtórzyć?

Jake wstał i nerwowym krokiem zaczął przemierzać pokój.

- Federalni uważają, że to ty, Indy, jesteś Achillesem. Że to ty zorganizowałeś kradzież z Banku Światowego.

- Zgłupieli? - Eric poderwał się na nogi. - Nie potrafię wejść w zwykły program komputerowy, a co dopiero włamać się w skomplikowany system używany przez banki.

- Ja to wiem i ty to wiesz, ale w tej chwili nie ma to najmniejszego znaczenia.

- Dlaczego?! - zawołał Eric, usiłując rozluźnić krawat. - Co im strzeliło do głowy? Dlaczego akurat mnie wytypowali?

Jeszcze sześć miesięcy temu był bankierem w małym mieście w Indianie. Nikomu nie szkodził, wiódł przykładne życie...

- Dlatego, że się przyjaźnimy — wyjaśnił ponuro Jake. - Odkąd zaczęło się dochodzenie, ktoś cały czas igra z moim życiem.

Wiedziałaś, że porwano mojego brata? Porywacze wzięli Zacha za mnie. Chcieli go uciszyć, to znaczy mnie uciszyć, zanim odkryję, kto jest mózgiem całej operacji. Kto wydaje polecenia Achillesowi.

Eric milczał. Miał wrażenie, jakby przyjaciel opowiadał mu jakiś film akcji, a nie mówił o swoim życiu.

- Chcą się mnie pozbyć, a przynajmniej odsunąć mnie od sprawy - ciągnął Jake, z trudem tłumiąc złość. - Osoby stojące za kradzieżą mają dużą władzę, duże wpływy i duże znajomości. Uczynią wszystko, abym nie wpadł na ich trop. W tej sytuacji moje zapewnienia o twojej niewinności nic nie dadzą. Zostaną potraktowane jako próba ratowania przyjaciela.

- Boją się, że znajdziesz prawdziwego winowajcę?

- Starają się do tego nie dopuścić. Dlatego skierowali podejrzenia na ciebie. Podczas gdy FBI będzie zajęte tobą...

- Prawdziwi złoczyńcy zdążą pozacierać ślady -dokończył Eric. - Powiedz: bardzo źle to wygląda? Dużo mają przeciwko mnie „dowodów”?

Jake skinął głową.

- Na tyle dużo, że potrzebujesz dobrego adwokata. I to już. Natychmiast.

Eric tylko raz w życiu miał kłopoty z prawem, kiedy jako zادیorny osiemnastolatek zaczął się wyklócać z policjantem z drogówki. Żeby dać szczeniakowi nauczkę, gliniarz zabrał go na posterunek, zrobił mu zdjęcie, wziął odciski palców, kazał mu zadzwonić do rodziców, po czym wsadził go do celi pełnej pijaków i narkomanów. Eric nigdy nie zapomniał wyrazu rozczarowania na twarzy ojca, gdy przyjechał odebrać go z aresztu, ani długiej, odbytej w milczeniu drogi do domu.



Teraz czuł się znacznie gorzej. Całe szczęście, pomyślał, że rodzice nie dożyli chwili, kiedy ich syn ma odpowiadać za dokonanie największej kradzieży w historii świata.

- Adwokata? - mruknął. - Chryste! - Nie znał żadnych adwokatów specjalizujących się w prawie karnym. - Myślisz, że to naprawdę konieczne?

- Inaczej by mnie tu nie było - oznajmił Jake. Szok powoli ustępował miejsca wściekłości, Eric starał się jednak pohamować emocje. Tylko spokój może go uratować.

- Muszę wykonać parę telefonów - rzekł, wyjmując z szuflady notes z adresami. - Potrzebne mi będą jakieś opinie, listy polecające...

- Nie potrzebujesz żadnych rekomendacji - stwierdził cicho przyjaciel. - Potrzebujesz Leigh.

Eric na moment zamarł, a potem odwrócił się i popatrzył na Jake'a stojącego na tle drzwi balkonowych, przez które wpadało do środka popołudniowe słońce.

- Coś ty powiedział?

- Że potrzebujesz Leigh.

Jej imię było jak powiew tropikalnego wiatru, który zmiata wszystko na swej drodze. Dziesięć lat temu, tuż po wyjeździe Leigh do Oksfordu, Jake, Ethan i Matt próbowali przekonać Erica, by poleciał za nią do Anglii. Eric, który trzymał wszystko w sobie, frustrację, gniew, żal, wyrzuty sumienia, poczucie bezradności, nagle walnął pięścią w ścianę. Przyjaciele zamilkli, zaskoczeni jego wybuchem.

- Nie wymawiajcie przy mnie jej imienia! - ryknął wówczas. -  
Dajcie mi święty spokój.

No i dali. Aż do teraz.

- Wróciła - dodał Jake, podchodząc do Erica. - Jest tu, w  
Chicago. Skończyła prawo, tak jak marzyła.

Tym razem Eric nerwowym gestem przeczesał włosy.

- Nie zadzwonię do niej.

- Eric, pomyśl o...

- Jak ty to sobie wyobrażasz? - przerwał Jake'owi w pół słowa. -  
Że dzwonię i co mówię? Cześć, kotku, to ja, Indy. Kopę lat. Wiem,  
wiem, ostatni raz widzieliśmy się tej nocy, kiedy pozbawiłem cię  
dziewictwa, a potem zostawiłem samą jak palec w moim mieszkaniu,  
ale co tam! Ważne jest, że mam kłopoty i... no wiesz, pomyślałem  
sobie, że rzucisz wszystko i przybiegniesz mi na ratunek.

Na widok wybałuszonych oczu Jake'a zreflektował się, że  
powinien był się ugryźć w język. Jego kumple nie mieli  
najmniejszego pojęcia, co zaszło tego wieczoru pomiędzy nim a  
Leigh. Zawstydzony swoim postępowaniem, nigdy im tego nie  
zdradził; najwyraźniej Leigh też nie.

- Tak, tak! - krzyknął, dając upust złości. - Nie potrafiłem  
utrzymać rąk przy sobie. A kiedy było po wszystkim, wróciłem do  
Cloverdale i ożeniłem się z inną. - Roześmiał się gorzko. - Leigh na  
pewno się ucieszy, kiedy do niej zadzwonię!

Jake zacisnął na moment powieki, po czym znów otworzył oczy.

- Musisz z nią pogadać, stary.

- Nie słyszysz, co mówię, Jake? Skrzywdziłem Leigh.

Wykorzystałem ją. Nie zasłużyła sobie na takie traktowanie.

- To było dawno, Eric. Życie toczy się dalej. Może i toczy się dalej, przyznał w duchu Eric, ale pamięć i ból pozostają.

- Znajdę kogoś innego.

- Leigh cię zna. Cokolwiek się między wami wydarzyło, nie przekreśli przyjaźni, jaka was wcześniej łączyła. Leigh wie, jakim jesteś człowiekiem. Że nie potrafiłbyś dokonać przestępstwa. - Przez chwilę Jake świdrował przyjaciela wzrokiem. - I jestem pewien, że stanęłaby na głowie, aby przekonać o tym innych.

Eric wrócił wspomnieniami do przeszłości i ujrzał Leigh w swoim małym mieszkanku. Naga, owinięta prześcieradłem, stała na tle okna, za którym leniwie wirowały w powietrzu płatki śniegu. W jej brązowych oczach malowała się dobroć i zaduma. Taką widział ją po raz ostatni.

- Ona jest twoją jedyną szansą - powiedział Jake.

- W takim razie leżę.

- W porządku.

Jake podziękował skinieniem głowy jednemu z dwóch ochroniarzy, których wynajął po porwaniu brata, po czym wyszedł z domu Erica i ruszył do czekającej przy krawężniku czarnej limuzyny. FBI proponowało, że przydzielili mu paru agentów do ochrony, ale odmówił. Nie chciał, by Wielki Brat śledził każdy jego krok; by ktokolwiek obserwował jego poczynania. Zwłaszcza teraz. Nawet w hotelu zarejestrował się pod fałszywym nazwiskiem.

Popołudniowe słońce grzało niemiłosiernie; żar lejący się z nieba w połączeniu z dużą wilgotnością powietrza sprawiał, że miasto zamieniało się w saunę. Akurat tego jednego mu nie brakowało po wyjeździe z Chicago. Z drugiej strony, sierpień w Dallas też nie należy do przyjemnych, tyle że zamiast sauny miasto przypomina piec.

Kilkanaście metrów dalej mieścił się bar; muzyka i śmiech wylewały się oknami na zewnątrz. Jake zamyślił się; dziesięć lat temu uwielbiali przesiadywać w takich miejscach - on z Erikiem, Matt i Ethan.

Dziesięć lat, a wydaje się, że wieczność.

W ciągu paru ostatnich miesięcy życie Jake'a legło w gruzach. Wszystko, w co dotąd wierzył, okazało się kłamstwem. Miał wrażenie, że uczestniczy w jakimś filmie akcji lub grozy i że nie potrafi się z niego wyplątać. W filmie, w którym rola złoczyńcy przypadła Ericowi.

Psiakrew! Dobrze znał przyjaciela. Wiedział, że Eric, uosobienie szlachetności, honoru i prawdomówności, nie mógłby popełnić żadnego przestępstwa. Niestety, wiedział również, że mają przeciwko sobie potężnego wroga.

Dlatego nie zwalniając kroku, minął zaparkowany samochód. Nie mógłby usiąść w wygodnym, klimatyzowanym wnętrzu i kazać się zawieźć do hotelu, kiedy roznosi go energia. Musi coś zrobić. Ostrzegł przyjaciela przed niebezpieczeństwem, a teraz...

Teraz powinien zadzwonić do narzeczonej. Tak, zdecydowanie. Kiedy ostatni raz rozmawiali, nie kryła irytacji, ale w tym koszmarnym upale nie chciało mu się po raz kolejny prosić Tary o cierpliwość i wyrozumiałość.

Prawdę rzekłszy, nie bardzo nawet wiedział, co ma jej mówić. Od dnia, w którym zgodził się pomagać FBI w próbie rozwikłania kradzieży, jego życie całkowicie się zmieniło. Każdego dnia poznawał coraz więcej faktów, tyle że nie na temat kradzieży, lecz na temat własnej przeszłości.

Wszystko, co wiesz o sobie i swoim życiu, jest jednym wielkim kłamstwem.

Pamiętał dziki błysk w oczach starszej pani, Violet, która parę miesięcy temu wsunęła mu do ręki kartkę. Z początku uznał, że kobieta ma nie po kolei w głowie. Później, że ktoś usiłuje przeszkodzić mu w szukaniu złodzieja. Ale wkrótce potem zaczęły nawiedzać go dziwne sny, w których granica między prawdą a fikcją coraz bardziej się zamazywała. Kilkakrotnie spotkał się z Violet. Ze zdumieniem i niedowierzaniem wysłuchał jej szalonej opowieści. Kobieta ta twierdziła, że jest jego biologiczną matką, że on, Jake, ma rodzeństwo, braci i siostry, mieszkające w różnych częściach Stanów, i że wszystkim grozi ogromne niebezpieczeństwo. Podczas ostatniego spotkania wręczyła mu klucz.

A potem auto, którym jechała, stoczyło się do wąwozu.

Ponownie zalała go fala smutku. Policja uznała, że to był wypadek, ale Jake miał co do tego poważne wątpliwości. W ciągu

paru miesięcy, jakie minęły od jej śmierci, Jake odszukał dwoje z czworga swojego rodzeństwa: brata Marcusa, który służył w elitarnej jednostce Navy SEAL, oraz siostrę bliźniaczkę, Gretchen. Gdy tylko ją ujrzął, poczuł się tak, jakby odnalazł swoją brakującą połowę.

Okazało się, że klucz od Violet pasuje do skrzynki depozytowej w miasteczku Bluewater w stanie Arizona. W skrzynce Violet ukryła zakodowane notatki, które Gretchen obecnie usiłowała rozszyfrować. Jeżeli Violet nie zmyślała, oznacza to, że on, Jake, ma jeszcze jednego brata i jedną siostrę, którzy nie zdają sobie sprawy z zagrożenia. Według Violet, cała piątka miała zakodowane w podświadomości hipnotyczne bodźce. Gdyby te bodźce zostały uruchomione przez niewłaściwe osoby, Jake i jego rodzeństwo staliby się pionkami, bezwolnie wykonującymi wszystkie polecenia swych zwierzchników.

Przeklinając pod nosem, Jake odpiął od paska telefon komórkowy i wystukał z pamięci numer. Po chwili rozległ się kobiecy głos, trochę zniekształcony przez trzaski na linii.

- Jake? Halo? To ty?

- Tak, Gretchen. - Humor natychmiast mu się poprawił.

- Wciąż jesteś u Marcusa?

- Nie. - Nie chciał rozstawać się z bratem, którego zaledwie parę dni wcześniej odnalazł, ale nie mógł zlekceważyć telefonu na temat Erica. - Jestem w Chicago. W sprawach bankowych.

- Aha.

Zerknął na zegarek, uzmysłowiwszy sobie, że na Brunhii, maleńkiej wyspie u wybrzeży Portugalii, na której osiadła Gretchen z mężem i na której wkrótce zamieszka Marcus, jest już bardzo późno.

- Spałaś? Obudziłem cię?

- Chyba żartujesz! - Gretchen roześmiała się wesoło, a on poczuł dziwne klucie w sercu. - Komu by się chciało spać, mając tyle taśm do rozkodowania?

Przeczesał ręką włosy. Potrafił czytać między wierszami.

- Nadal miewasz te koszmary? - spytał. Zawahała się. Ciszę wypełniły trzaski.

- Są nawet bardziej wyraziste niż dawniej - odparła w końcu. - Widzę dzieci na plaży, które chichocząc, budują zamki z piasku. Panuje cudowna atmosfera, poczucie szczęścia, wspólnoty. I nagle... nagle następuje wybuch. Robi się ciemno, słyszę głośne krzyki, wszędzie dookoła widać wodę, płomienie. Nie mogę oddychać, duszę się...

Jake zmarszczył czoło. Cieszył się, że z Gretchen jest na wyspie jej mąż Kurt.

- Miewam identyczny sen - przyznał, świadom, że to wcale nie sen, lecz wspomnienie. Przez ponad dwadzieścia lat nie pamiętał dzieciństwa, ale ostatnio coraz częściej pojawiały mu się w głowie obrazy. - Słuchaj, muszę kończyć. Zadzwoń niedługo.

- Dam ci znać, gdyby wcześniej udało mi się złamać szyfr.

- Dobrze, będziemy w kontakcie.

Najpierw jednak musi udowodnić, że Eric Jones nie jest Achillesem.

W porannym szczycie samochody z trudem przebijały się przez miasto. Z bezchmurnego nieba lał się żar. Typowe lato w Chicago. Sama rozkosz.

Popijając mrożoną kawę, którą kupiła w kawiarence naprzeciwko biura, Leigh Montgomery czekała na zielone światło, by przejść na drugą stronę Michigan Avenue. Podczas pobytu w Anglii zapomniała o tym, jak straszny bywa upał w połączeniu z dużą wilgotnością powietrza. Człowiek nie ma czym oddychać; najchętniej zdarłby z siebie ubranie i wskoczył do wody.

Zerknęła z uśmiechem na pobliską fontannę; niełatwo było oprzeć się pokusie.

Tamtego mroźnego grudniowego ranka, kiedy wsiadła do samolotu odlatującego do Londynu, miała zaledwie dwadzieścia lat. Młoda dziewczyna przeobraziła się w Anglii w dojrzałą kobietę, w doskonałego prawnika. Kontakt z przestępcami zmienia człowieka. Podobnie jak złamane serce.

Przerzuciwszy torbę przez ramię, przeszła przez ruchliwą jezdnię, po czym pchnęła drzwi obrotowe wieżowca, w którym pracowała od dwóch lat, czyli od powrotu do Stanów. Jadąc windą, myślała o czekających ją dziś obowiązkach. Zamierzała wyjść z domu wcześniej; nie udało się i była czterdzieści pięć minut spóźniona. Musi przejrzeć akta sprawy, następnie wykonać kilka pilnych



telefonów; po południu ma wyznaczone spotkanie z nowym klientem. Będzie ciężko, ale powinna sobie ze wszystkim poradzić.

Drzwi rozsunęły się na pięćdziesiątym siódmym piętrze. Na wprost windy znajdowała się elegancka recepcja firmy Brightman i Spółka. Wnętrze kancelarii kojarzyło się ze starym angielskim dworem. Lśniące podłogi z mahoniem, mahoniowe biurko recepcjonistki, ściany pokryte ciemnozieloną tkaniną, wbudowane regały zawierające imponującą kolekcję ksiąg prawniczych, meble w stylu chippendale - wytworne, lecz mało wygodne.

- Dzień dobry, Julio. - Leigh przywitała się z sekretarką, po czym skręciła w korytarz prowadzący do swojego gabinetu. -  
Wszystko w porządku?

- Tak. Ktoś na ciebie czeka.

Leigh spojrzała na zegarek; dochodziła dziesiąta.

- Pierwsze spotkanie mam dopiero o pierwszej.

- Ten człowiek twierdzi, że to ważne.

Leigh skrzywiła się. Nie ma spraw nieważnych.

- Niestety, musi zapisać się na inny termin. Mam dziś mnóstwo pracy. Nie wiem, czy się ze wszystkim uporam.

Julia zawahała się.

- On czeka już ponad godzinę.

- Przykro mi. Ranek mam zajęty. Nie zmieszczę...

- Leigh.

Zamarła w pół kroku. Przestała mówić, przestała oddychać, nawet serce przestało jej bić.

- To ja.

Cichy męski głos, który rozległ się za jej plecami, pochodził z przeszłości. Znała go, pamiętała. W ciągu ostatnich dziesięciu lat wielokrotnie słyszała go w nocy, w snach; słyszała, jak dyskutuje na tematy ekonomiczne, jak szepcze jej do ucha czule słówka, a potem obojętnym tonem nakazuje jej wyjechać do Anglii.

Ale ten głos nie może należeć do Erica. Ni stąd, ni zowąd Eric nie pojawiłby się w jej życiu, mimo że stale pojawiał się w jej snach.

Chociaż nie, to nie były sny. To były koszmary...

Ignorując zdumioną minę Julii, Leigh wzięła głęboki oddech i z profesjonalnym uśmiechem na ustach powoli odwróciła się w stronę swego gościa.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Dziesięć lat to dużo. Czas mija, życie płynie dalej. Ludzie się zmieniają, stare marzenia blakną, ich miejsce zajmują nowe.

Ale patrząc na wysokiego blondyna o doskonale ostrzyżonych włosach i świdrujących niebieskich oczach, Leigh odniosła wrażenie, jakby czas się zatrzymał. Jakby nie opuściła Ameryki, nie wyjechała do Anglii, nie spała z żadnym innym mężczyzną, nie podjęła paru decyzji, których konsekwencje będzie ponosić do końca życia.

Nieskończoną ilość razy wyobrażała sobie tę chwilę, zastanawiała się, jak to będzie, kiedy znów się spotkają, co poczuje. Jednakże widok Erica całkiem ją zaskoczył. Z jednej strony, ten mężczyzna przypominał młodzieńca, którego kiedyś kochała, z drugiej - w eleganckim garniturze i krawacie wyglądał obco.

Zalała ją fala emocji. Tyle że naiwna dziewczyna, jaką była przed dziesięcioma laty, dorosła. Dostała od życia bolesną nauczkę, którą na zawsze zapamiętała. I dlatego teraz, stojąc w wytwornej recepcji kancelarii, Leigh nie okazała ani radości, ani smutku, ani żalu.

- Eric - powiedziała, przerywając ciszę. - Co za niespodzianka.

Uśmiechnął się nieznacznie; w kąciku warg pojawił się dołeczek, na widok którego kiedyś serce waliło jej nieprzytomnie.

- Dawno się nie widzieliśmy - zauważył cicho. Czas łaskawie się z nim obszedł. Bruzdy na twarzy

lekką się pogłębiły, spojrzenie stało się bardziej przenikliwe, ale włosy, które opadały mu na oczy, gdy we wtorki i czwartki prowadził zajęcia z ekonomii, wciąż • były gęste i lśniące. Na ułamek sekundy Leigh przeniosła się w przeszłość. Znowu była studentką; siedziała w pierwszym rzędzie, usiłowała skupić się na wykładzie, lecz marzyła o tym, by odgarnąć z czoła te niesforne loki.

Otrząsnęła się. Tej studentki już nie ma. Powrotu do przeszłości też nie. Odstawiwszy kubek z kawą na biurko Julii, wyciągnęła na powitanie rękę. Przecież nie ma się czego bać. Jest przyzwyczajona do prowadzenia i wygrywania batalii z prokuratorami i sędziami. Mężczyzna, z którym spędziła przed laty jedną noc, nie może zburzyć jej świata ani przemienić jej na powrót w łatwowierną, zakochaną dziewczynkę.

- Nie wiedziałam, że jesteś w Chicago - powiedziała uprzejmie, z leciutkim akcentem, który nabyła w czasie ośmioletniego pobytu na Wyspach Brytyjskich.

Popatrzył na jej wyciągniętą dłoń, bąknął coś pod nosem, po czym, zamiast się kulturalnie przywitać, pochwycił Leigh w ramiona. Zaskoczył ją. Z jednej strony, miała ochotę zarzucić mu rękę na szyję i przytulić się, z drugiej zaś... to on złamał jej serce. W pracy była twarda, pewna siebie - dziennikarze angielscy ochrzcili ją mianem Barakudy. Nie bała się konfrontacji z nieprzychylnym sędzią czy bezwzględnym prokuratorem. Nie poddawała się, do końca walczyła o swoich klientów. Ale w ramionach Erica poczuła się jak mała dziewczynka, delikatna i krucha, którą łatwo można zranić. W

dotatku w nozdrza uderzył ją znajomy zapach drzewa sandałowego i goździków.

- Chryste, jak dobrze cię znów widzieć - szepnął Eric, nie puszczając jej z objęć.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znikły dzielące ich lata. Tyle że do przeszłości nie ma powrotu. Dzisiejsza Leigh doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Czas to nie tylko dni, miesiące, lata. To również kłamstwa, sekrety, niedomówienia. Od ich ostatniego spotkania Leigh nauczyła się wielu rzeczy: jak dążyć do celu, jak oddzielać prawdę od fałszu oraz iluzji, jak chronić się przed otaczającą ją agresją i brudem. A także: jak ignorować tęsknotę i nie oddawać się marzeniom niemożliwym do spełnienia.

Nagle, nie potrafiąc zaczerpnąć powietrza, uwolniła się z objęć Erica i cofnęła o krok. Nie wiedziała, gdzie ma patrzeć. Widok Erica, dźwięk jego głosu, jego dotyk sprawiły, że odżyło w niej wspomnienie tamtej nocy. I wspomnienie następnego poranka.

- Tak, ja też się cieszę - rzekła, siląc się na spokój. - Ale obawiam się, że wybrałaś nie najlepszą porę. Jestem okropnie zajęta, więc...

- Proszę cię, Leigh.

Ogarnęła ją złość. Co on sobie wyobraża? Znikł z jej życia dziesięć lat temu. Nie ma prawa pojawiać się bez zapowiedzi i oczekiwać, że ona wszystko rzuci, aby poświęcić mu godzinę czy dwie.

- Jeżeli masz czas w poniedziałek lub wtorek, Julia wpisze cię do terminarza...

Podszedłszy bliżej, Eric zniżył głos.

- Leigh, proszę, nie otrącaj mnie.

- Nie otrącać cię? - spytała, nie kryjąc zdumienia. - Minęło dziesięć lat. Ani razu nie dałeś znaku życia.

Oczywiście ona też nie próbowała nawiązać z nim kontaktu. Ale nie chciała słuchać o jego rodzinie, o żonie Becky, o domu, który kupili, o ogródku, jaki uprawiali.

- Wiem - przyznał ochryple. - I przepraszam. Niestety, przeszłości nie sposób zmienić.

To prawda, pomyślała. Każda decyzja pociąga za sobą określone konsekwencje, z którymi trzeba żyć.

- Słuchaj, mam potwornie załadowany dzień. Nie zdołam wygospodarować dla ciebie nawet kwadransa. Może byśmy się spotkali w przyszłym tygodniu, co?

Do tego czasu ochłonie, zastanowi, co może mu powiedzieć, a co powinna zachować dla siebie. Kilka dni wystarczy, aby przygotować się do spotkania.

Oczy Erica pociemniały.

- To za późno - rzekł. - Potrzebuję cię teraz. Dziś.

Przeniknął ją dreszcz trwogi. Zdobywając się na wysiłek, przybrała obojętny wyraz twarzy. Serce waliło jej mocno, w głowie kłębiły się dziesiątki myśli.

Patrzyła na Erica, usiłując odgadnąć, co się dzieje. Po chwili zerknęła na Julię, która z zafascynowaniem przysłuchiwała się tej dziwnej wymianie zdań.

- Będziemy w sali konferencyjnej - poinformowała sekretarkę, nakazując jej wzrokiem, aby nie zadawała pytań.

Ze spokojem, którego wcale nie czuła, wskazała Ericowi kierunek, po czym ruszyła przed siebie korytarzem, zadowolona, że miękka wykładzina pokrywająca podłogę oraz obite jasną tkaniną ściany tłumią wszelkie odgłosy, w tym bicie jej serca. Zbliżywszy się do masywnych mahoniowych drzwi, nacisnęła klamkę i nie zwalniając kroku, weszła do dużego jasnego pokoju, w którym dominował długi stół o lśniącym blacie. Regały sięgające od podłogi do sufitu zajmowały dwie ściany, przy trzeciej stał stolik z ekspresem do kawy; obok znajdowało się ogromne okno z zapierającym dech widokiem na jezioro Michigan.

Leigh podeszła do okna i przez chwilę spoglądała na niebieską tafłę wody pocętkowaną kolorowymi żaglami, która zlewała się w oddali z błękitem nieba. Podczas ciepłych słonecznych weekendów liczba żaglówek pływających po jeziorze wzrastała kilkakrotnie.

Zza pleców dobiegł ją głos Erica:

- Kiedy wróciłaś? Odwróciła się do niego twarzą.  
- Dwa lata temu. Pokochałam Londyn, ale Chicago... tu jest mój dom.

Rozciągnął wargi w tym leniwym uśmiechu, który tak dobrze pamiętała.

- Wiem. Ja wróciłem pół roku temu. Kupiłem mieszkanie w Lincoln Park.

Miała ochotę zasypać go pytaniami, ale się powstrzymała. Odpowiedzi bowiem nie mają żadnego znaczenia. W końcu co ją obchodzi, jak żonie Erica podoba się życie w metropolii?

- Tak? A ja mieszkam w Lake Forest.

- Na przedmieściach? - zdziwił się. - Zawsze miałem cię za dziewczynę, która lubi zgiełk, ruch, drapacze chmur.

- Nie jestem dziewczyną - odrzekła bez zastanowienia, ale kiedy poczuła jego wzrok przesuwający się po jej ciele, zrozumiała swój błąd. - A życie na przedmieściach całkiem mi odpowiada.

- Świetnie wyglądasz - powiedział cicho. Dzieliły ich ze trzy metry, ale żar w jego oczach przenikał ją na wylot.

- Jestem szczęśliwa.

- To widać. - Podeszedł do okna, niwelując dzielący ich dystans. - Ale upał! - dodał, patrząc na ogromne jezioro.

Dusiła się. Męczyła ją rozmowa o niczym, męczył żar, który teraz bił również z jego ciała. Najchętniej włączyłaby wiatrak, a przynajmniej zdjęła żakiet i rozpięła kilka guzików bluzki.

- Posłuchaj, Eric. Wiem, do czego zmierzasz, ale nie rób tego. Nie zachowujmy się jak starzy przyjaciele, którzy nie widzieli się kilka lat i dopytują, co się u nich zmieniło.

Skierował na nią spojrzenie.

- A nie jesteśmy starymi przyjaciółmi?



Nie, nie jesteśmy, odpowiedziała w duchu. Starzy przyjaciele nie tracą z sobą kontaktu; od czasu do czasu dzwonią do siebie, wysyłają e-maile, a na święta Bożego Narodzenia kartki z życzeniami. Starzy przyjaciele przywołują wspomnienia i dają poczucie bezpieczeństwa; nie powodują takiej burzy emocji, jaka obecnie szaleje w jej sercu, nie wzbudzają lęku ani złych skojarzeń.

- Wiesz, o co mi chodzi - odparła cicho. Wiedział. Poznała to po wyrazie zawodu w jego oczach.

- Jake wspomniał, że po obu stronach oceanu cieszysz się opinią znakomitej prawniczki.

Uśmiechnęła się.

- Jak on się miewa? - spytała, usiłując sobie przypomnieć, kiedy z nim rozmawiała. Chyba w kwietniu, tuż po tym, jak poproszono go o pomoc w rozwiązaniu sprawy kradzieży w Banku Światowym. - Całe wieki go nie widziałam. No, nie licząc jego zdjęć w prasie.

- Śledzisz dochodzenie?

Ogarnęła ją frustracja. Naprawdę nie potrafiła - i nie miała ochoty - prowadzić z Erikiem uprzejmej, zdawkowej rozmowy. Ostami raz przebywali w jednym pokoju dziesięć lat temu. Potem widziała go jeszcze jeden raz: stał pomiędzy swoją matką a swoją narzeczoną, zwrócony plecami do Leigh. Nawet nie był świadom jej obecności.

- Trudno tego nie robić. - Spojrzała na zegarek. - Ciągle o tym piszą. A Jake, chcąc nie chcąc, jest w centrum tego całego zamieszania.

- Nie tylko on.

W głosie Erica wyczuła dziwnie posępną nutę, której wcześniej nie słyszała. Instynkt prawniczy podpowiedział jej, że musiało wydarzyć się coś złego.

- Masz kłopoty? Dlatego przyszedłeś do mnie? Zakławszy pod nosem, przeczesał ręką włosy. Nagle zauważyła brak obrączki na palcu. Nie było nawet jaśniejszego paska skóry.

- Eric?

- Jake mnie wczoraj odwiedził - oznajmił wreszcie. - Agenci FBI mają jednego podejrzanego; pewnie lada dzień go zaaresztują.

- Czas najwyższy - mruknęła. - Kimkolwiek jest ten drań Achilles, zasługuje na to, żeby do końca życia gnić w więzieniu.

Oczy Erica załśniły złością.

- Oni sądzą, że ja nim jestem.

Zastygła bez ruchu, pewna, że się przesłyszała.

- Co?

- FBI uważa, że Achilles to ja - stwierdził drewnianym głosem, w którym pobrzmiwała ledwo tłumiona wściekłość. - Jake przyszedł mnie ostrzec. Powiedział, że dowodzący śledztwem, niejaki agent Venturi, jest przekonany o mojej winie.

Poczuła szok, przerażenie i niedowierzanie. Od kwietnia prasa pisała o konsekwencjach, jakie poniesie sprawca tej zuchwałej, największej w dziejach ludzkości kradzieży - sprawca, który według FBI zostanie szybko pojmany i postawiony w stan oskarżenia. Od

sukcesu agentów federalnych zależy kariera wielu wysoko postawionych osób. Wszyscy niecierpliwie oczekują aresztowania. Ona też. Ale winowajcą nie jest Eric Jones!

- To jakiś absurd - mruknęła przez ściśnięte gardło.

- Ty to wiesz. - Eric wsunął ręce do kieszeni. - Ja to wiem, i Jake wie. Ale FBI jest innego zdania. - Napotkał jej wzrok. - Dlatego tu jestem.

Potrzebuję cię, zdawało się mówić jego spojrzenie.

Nie, Eric Jones nie potrzebuje jej, Leigh; on potrzebuje dobrego obrońcy. Oderwała oczy od jego twarzy i zerknęła przez okno - nie na lśniące w słońcu, piękne jezioro, ale na tkwiące w korkach samochody, taksówki, autobusy.

Przed laty kochała go całym sercem, a on... najpierw przeprosił ją za noc, którą razem spędzili, potem zaczął namawiać na wyjazd do Oksfordu, wreszcie jak gdyby nigdy nic oznajmił, że zamierza ożenić się ze swoją dawną szkolną sympatią. Teraz zaś nie nosi obrączki, a FBI chce oskarżyć go o kradzież miliardów dolarów.

- Nie denerwuj się - powiedziała. - Parokrotnie występowałam w sprawach, gdzie jedną ze stron było FBI. Przekonałam się, że federalni nie ryzykują. Nie zaarrestują nikogo, jeżeli nie mają niezbitych dowodów winy.

Nawet najlepsi prawnicy nie mają szansy, stając do walki z prokuratorem federalnym. Dysponując nieograniczonymi funduszami i poparciem rządu, FBI nigdy nie przegrywa.

- Na razie federalni po prostu wężą. - Uśmiechnęła się, próbując dodać Ericowi otuchy. - Kiedy się zorientują, że mają niewłaściwego człowieka, szybko skierują dochodzenie na inne tory.

Napięcie na twarzy Erica nieco zelżało.

- Chciałbym w to wierzyć, ale wolę być przygotowany na najgorsze. I dlatego muszę wiedzieć: jeśli dojdzie do aresztowania, czy mogę na ciebie liczyć? Czy zostaniesz moim obrońcą, Leigh?

- Obawiam się, że to niemożliwe - odparła.

Przypomniała sobie ich ciała splecione w namiętym uścisku. A potem rozstanie. Eric nie ma prawa zwracać się do niej o pomoc, nie po tym, jak wtedy postąpił. Zbyt wiele ich teraz dzieli, zbyt wiele tajemnic, zbyt wiele wylanych łez.

W jego niebieskich oczach ujrzała zdziwienie i rozczarowanie.

- Z powodu tego, co zaszło między nami, kiedy zmarł mój ojciec? Dlatego odmawiasz mi pomocy?

Zakreśliło się jej w głowie. Wiedziała, że musi się bronić; bała się wspomnień i powrotu do przeszłości.

- Odmawiam z powodu osobistego zaangażowania - poinformowała go spokojnym, rzeczowym tonem. - Nie umiałabym być bezstronna. Mogę ci jednak kogoś polecić.

Przygwoździł ją wzrokiem.

- Nie. Potrzebuję ciebie.

- Eric, ja...

- Właśnie z powodu twojego osobistego zaangażowania.

Właśnie dlatego, że mnie znasz. Nie rozumiem, co w tym złego?

To, że w jego obecności nie jest w stanie jasno myśleć. Że z trudem łapie oddech.

- To dość skomplikowane - rzekła. - Zaufaj mi, naprawdę będzie ci lepiej z kim innym.

Przeniosła spojrzenie z jego twarzy na palec serdeczny i z powrotem na twarz. Chwilę wcześniej oczy Erica płonęły intensywnym blaskiem, teraz patrzyły chłodno.

- W porządku - oznajmił szorstkim tonem. - Przepraszam, że zająłem ci twój cenny czas.

- Eric, zrozum...

- Rozumiem - burknął. - Doskonale rozumiem. Odwróciwszy się na pięcie, zdecydowanym krokiem przemierzył salę, po czym wyszedł na korytarz.

Z bolesnym uciskiem w piersi Leigh obserwowała go, dopóki nie znikł jej z oczu. Kiedyś Eric Jones był całym jej światem. Wszystko by dla mego zrobiła. Kochała go, chociaż wiedziała, że on nigdy nie odwzajemni jej uczuć. Lubiła słuchać, jak rozprawia o ekonomii, uwielbiała jego towarzystwo i jego uśmiech - cudowny, czarujący.

Jednej nocy to wszystko się zmieniło.

Może kiedyś w przyszłości zdołają się znów zaprzyjaźnić, ale na pewno nie będą się czuli tak naturalnie i swobodnie jak dawniej. Tamten czas minął bezpowrotnie. Eric stał się innym człowiekiem, ona również. Mimo że oboje ponownie znaleźli się w Chicago, wiedziała, że drogi, którymi wędrowali, nigdy się nie zejdą.

Eric mnie nie potrzebuje, powtarzała w myślach, opuszczając salę konferencyjną. FBI go nie zaaresztuje. Dochodzenie wciąż trwa. Wkrótce agent Venturi zorientuje się, że trop wiedzie w złym kierunku i zacznie szukać prawdziwego winowajcy. Eric zapomni o tym, że ją odwiedził, a ona o tym, że złożył jej wizytę.

Ale gdy weszła do swojego przestronnego gabinetu i zobaczyła na zdjęciu twarz o niebieskich oczach, figlarnym uśmiechu i uroczym dołeczku w kąciku warg, wiedziała, że wizyta Erica na zawsze zburzyła jej spokój.

Eric Jones wrócił. Odnalazł ją. Odtąd nic już nie będzie takie jak dawniej.

Wyszedł przez obrotowe drzwi na zalaną słońcem ulicę. Z asfaltu bił żar. Eric miał wrażenie, jakby wędrował po rozgrzanych węglach. Nie było to przyjemne. Ale zdecydowanie większe uczucie dyskomfortu sprawiła mu rozmowa z Leigh.

Cholera, źle to rozegrał. Całkiem się nie popisał. Z wściekłością zdjął marynarkę i nie zwalniając kroku, przerzucił ją przez ramię. Koszula coraz bardziej lepiła mu się do pleców, wilgotne powietrze utrudniało oddychanie.

Popełnił kilka błędów. Błąd numer jeden - to, że w ogóle wybrał się do Leigh. Nie powinien był słuchać Jake'a. Chyba nie oczekiwał, że po tym, jak postąpił dziesięć lat temu, wystarczy uśmiechnąć się, a wszystko będzie mu wybaczone?

Błąd numer dwa - uścisk na powitanie. Co go opętało? Musiał mieć nie po kolei w głowie, żeby zgarnąć Leigh w ramiona, jakby

rozstali się zaledwie wczoraj. Dobrze wiedział, że sama nie rzuci mu się w objęcia, tak jak by to zrobiła, witając się z Jakiem, Mattem lub Ethanem. Ale kiedy ją zobaczył, emocje wzięły górę nad rozumem.

Spodziewał się, że z ładnej dziewczyny Leigh przeobraziła się w piękną kobietę, lecz mimo to zaskoczył go jej widok. Pewnym siebie krokiem wyszła z windy, z zawieszoną na ramieniu elegancką torbą i styropianowym kubkiem kawy w ręce. Włosy miała ściągnięte do tyłu w sposób, który podkreślał jej wysokie kości policzkowe. A oczy... Boże, te jej oczy! Są jeszcze większe i bardziej błyszczące, niż pamiętał.

Wydawało mu się, że patrzy na obcą, nieznaną sobie istotę. Ale kiedy odwróciła się i spojrzała mu w twarz, kiedy opanowanym gestem wyciągnęła na powitanie dłoń, coś w nim pękło; nie potrafił uścisnąć jej ręki tak, jakby nigdy nic ich nie łączyło. Oczywiście, powinien był to zrobić. Psiakrew, dlaczego wziął ją w ramiona?

Błąd numer trzy - wiara w to, że przeszłość wciąż ma dla Leigh znaczenie. Owszem, darzyli się zaufaniem, szacunkiem, sympatią, ale zniszczył ich przyjaźń, kiedy zaciągnął Leigh do łóżka, a potem ją zostawił. Od tej pory ich drogi ani razu się nie skrzyżowały. Aż do dziś.

Nic dziwnego, że go odtrąciła. Dziesięć lat temu pośpieszyła mu z pomocą, a on ją wykorzystał. Najwyraźniej bała się powtórki. Nie mógł mieć do niej pretensji.

Omam nie przeszedł przez jednię na czerwonym świetle. Zatrzymał się w ostatniej chwili. Otaczał go tłum ludzi, turystów i



miejscowych, którzy śpieszyli się do pracy. Jakiś kierowca zatrąbił niecierpliwie, obok śmignął autobus.

Źle zrobił, idąc do Leigh. Nie wiedział, jak zareaguje na jego widok, ale gdy zmierzyła go chłodnym, obojętnym wzrokiem, uświadomił sobie, że miejsce beztroskiej studentki, ciepłej, inteligentnej i gotowej do poświęceń, zajęła dojrzała, pewna siebie kobieta, która - jak podejrzewał - wiele w życiu doświadczyła.

Zapaliło się zielone światło. Tłum wylał się na jezdnię; tylko Eric wciąż tkwił nieruchomo, zamyślony. Przypomnił sobie noc, którą spędzili razem: trzymał Leigh w ramionach, ponętą, pachnącą, szepczącą mu do ucha różne podniecające czułości. Otrząsnął się i uniósł rękę, by zatrzymać taksówkę. Od biura dzieliły go dobre dwa kilometry. Jeśli dalej będzie wędrował pieszo, to na spotkanie z klientem dotrze zlany potem.

Przy krawężniku zatrzymał się lśniący żółty samochód. Eric wsiadł do środka, podał adres, po czym rozsiadł się wygodnie. Przez otwarte okno lał się do środka żar. To nie do wiary, pomyślał, jak jedna chwila, jedna decyzja może wpłynąć na nasze życie, ukształtować przyszłość.

Fakt, iż mieszkali w tym samym mieście, niczego nie zmienia. Są teraz dwojgiem obcych ludzi. Przyjaciel nie pozwala przyjacielowi usiąść za kierownicą po piwie, obcego natomiast nie obchodzi, czy FBI kogoś aresztuje, czy nie.

Dziesięć minut później wysiadł z windy i skierował się do biura maklerskiego, w którym pracował. W przeciwieństwie do eleganckiej



repcji w kancelarii Brightman i Spółka, recepcja w Yearling Investments urządzona była po prostu wygodnie, z myślą o klientach. Stało tu kilka miękkich kanap oraz niskie stoliki pełne pism poświęconych finansom. Na każdym leżał najnowszy numer „The Wall Street Journal”.

- Dzień dobry, Barbaro - powiedział Eric do recepcjonistki, która lubiła matkować wszystkim pracownikom, mimo że od większości z nich miała co najmniej dziesięć lat mniej. - Były jakieś telefony?

- Kilka. - Kobieta uniosła głowę znad komputera.

- Przełączyłam je na twoją pocztę głosową.

- Dzięki.

Rozkoszując się chłodem płynącym z klimatyzatorów, Eric ruszył w stronę gabinetu. Może gdy nadejdzie pora spotkania z klientem, będzie w stanie włożyć marynarkę.

- Aha! - Nagle Barbara coś sobie przypomniała.

- Ktoś na ciebie czeka.

Kryjąc niezadowolenie, bo nie miał ochoty zajmować się jakimś spanikowanym inwestorem, Eric skręcił do poczekalni. W jego stronę ruszył ciemnowłosy mężczyzna.

- Daniel Venturi - przedstawił się, otwierając skórzany portfel, by okazać odznakę. - Agent FBI.

- Chodzi o skok na Bank Światowy? A ty mu odmówiłaś?

Nawet nie tyle słowa i ton, co język ciała wskazywał na niezadowolenie szefa. Zmarszczywszy czoło, Leigh odstawiła na biurko filiżankę kawy, drugą już tego dnia, i zamknęła akta.

- Miałam powody - rzekła.

- Może łaskawie byś mi je zdradziła.

Nie była w stanie jasno myśleć, a tym bardziej logicznie wyjaśnić, dlaczego nie zgodziła się bronić człowieka oskarżonego o - cytując prasę - kradzież stulecia. Spotkanie z Erikiem poruszyło ją do głębi. Nadal była w szoku, na niczym nie mogła się skupić, dygotała ze zdenerwowania.

Tyle razy miała ochotę spytać o niego Jake'a, Ethana lub Matta, dowiedzieć się, jak mu się wiedzie, co porabia, jak się czuje jego matka, czy zdołał uratować należący do rodziny bank, ale nie potrafiła zdobyć się na odwagę. Przyjaciele są inteligentni, spostrzegawczy. Przynajmniej usłyszeliby ból w jej głosie i odkryliby sekret, którego przez tyle lat nikomu nie ujawniła.

Widok Erica przypomniawszy Leigh o tym, co było, i o tym, co mogłoby być. O niespełnionych marzeniach i trudnych decyzjach, od których nie ma odwrotu.

- Leigh? - Thomas Brightman zaniepokoił się jej milczeniem. -  
Dobrze się czujesz?

Zmusiła się do uśmiechu.

- Tak. A co do mojej odmowy... Uwierz mi, naprawdę kto inny powinien podjąć się obrony Erica Jonesa. Ja nie jestem właściwą osobą.

- Nigdy nie miałem cię za tchórze, Leigh. - Thomas, jak zwykle gdy się nad czymś zastanawiał, potarł leniwie brodę. - Wiesz, jaki rozgłos firma mogłaby zyskać?

Tak, wie. Reklama to zastrzyk adrenaliny. Ale codzienny kontakt z Erikiem przekracza jej siły. Lepiej, aby nie byli uwikłani w kwestie prawne, kiedy - dziesięć lat za późno - wyzna Ericowi prawdę o następstwach jednej nocy.

- Nie aresztują go - oznajmiła, zerkając ukradkiem na dziewięciolatka ze szparą między zębami, który uśmiechał się do niej ze zdjęcia na biurku.

- Oby. Jeśli jednak tak się stanie, my nie odwrócimy się od pana Jonesa - oznajmił właściciel kancelarii.

Leigh zamyśliła się. Thomas Brightman ma rację: stchórzyła. Nie teraz, ale przed dziesięcioma laty, kiedy załamana i przerażona, nie przyznając się, że jest w ciąży, wyjechała, a raczej uciekła do Oksfordu, gdzie czekało na nią stypendium naukowe.

- Cal Meyers albo Linda Miller mogliby podjąć się obrony - zaproponowała.

Thomas Brightman ściągnął brwi, tak jak na sali sądowej podczas swoich słynnych mów końcowych. Był jednym z najbardziej elokwentnych i przekonujących adwokatów, z jakim Leigh kiedykolwiek się zetknęła.

- Jones przyszedł do ciebie. To ciebie zna, tobie ufa i ciebie pragnie na obrońcę. O co chodzi, Leigh? Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego nie czujesz się na siłach go reprezentować?

- Z powodu osobistego zaangażowania - odparła, powstrzymując się, aby ponownie nie zerknąć na Connora.

Swojego syna. Syna Erica.

- To nie jest zakazane - zauważył Thomas. - Przeciwnie, osobiste zaangażowanie często bywa przydatne, wzmacnia motywację obrońcy. Przypuszczam, że tobie bardziej niż komukolwiek z nas zależy na tym, aby pan Jones odzyskał dobre imię.

- Nikt go nie zaaresztuje - powtórzyła z naciskiem Leigh, mimo to przeszył ją dreszcz.

Thomas Brightman spojrział na swojego roleksa, po czym wzdychając ciężko, włożył idealnie skrojoną, szarą marynarkę.

- Jeżeli wierzysz w niewinność pana Jonesa - rzekł, kierując się ku drzwiom - tym bardziej nie rozumiem, jak możesz odmawiać mu pomocy. Dobry prawnik uwielbia wyzwania. Jestem pewien - przystanął z ręką na klamce - że podejmiesz właściwą decyzję.

Kiedy zniknął, Leigh podeszła do wielkiego okna, z którego rozciągał się widok na północną część miasta. Kilka przecznic dalej znajdował się Lincoln Park, dzielnica pełna zieleni, wąskich uliczek i kamienic z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku, które zawsze tak bardzo podobały się Ericowi. W jednej z nich teraz mieszkał, dziesięć minut drogi od jej biura.

„Potrzebuję cię”, powiedział. Boże, ona też go potrzebowała. Wtedy, przed laty. Żeby ją przytulił, kiedy w trzecim miesiącu ciąży omal nie poroniła; by pocieszył, zapewnił, że wszystko będzie dobrze. Żeby był przy niej w szpitalu, kiedy rodził się ich syn. Żeby pomógł jej tamtego strasznego poranka, kiedy Connor obudził się z czterdziestostopniową gorączką.

Potrzebowała go tyle razy, w tylu różnych sytuacjach.  
Potrzebowała jego uśmiechu, spojrzenia, wsparcia, miłości.

Miłości jednak nie mógł jej dać.

- Psiakość, Leigh. Strasznie cię przepraszam -oznajmił pewnego zimowego poranka, miesiąc po śmierci swojego ojca. - Zawsze mogłem na ciebie liczyć, byłaś moją najbliższą przyjaciółką, no i patrz, jak ci się odpłaciłem. Tamtego dnia chyba postradałem zmysły, chyba mi odbiło i... Chryste, sam nie wiem. Po prostu... po prostu wylądowaliśmy w łóżku. Gdyby można było cofnąć czas... Nawet nie wiesz, ile bym za to dał. Błagam cię, nie pozwól, aby ta jedna noc cokolwiek zmieniła. Masz przed sobą wspaniałą przyszłość. Czeka na ciebie Oksford. Jedź. Nie rezygnuj ze stypendium...

Pojechała. A on został w Cloverdale ze swoją matką i Becky.

Zamknęła oczy. Teraz już nie dzielił ich ocean, dzieliło zaledwie kilka przecznic. Wystarczy wsiąść do samochodu.. Ale bliskość geograficzna nie zniweczy lat rozłąki, przepaści emocjonalnej, pretensji, jakie narosły, tajemnic.

Popołudniowe słońce wpadało przez okno. Eric w milczeniu rozglądał się wkoło. Kazano mu usiąść i czekać, ale nie potrafił udawać, że nic się nie dzieje, kiedy armia agentów przeszukiwała najpierw jego gabinet, a teraz mieszkanie.

Czuł, jak pętla zaciska się na jego szyi.

Agent specjalny Daniel Venturi był profesjonalistą; odnosił się do Erica uprzejmie i z szacunkiem. Eric mu jednak nie ufał. Ci ludzie wykonują swoją pracę, nie są jego przyjaciółmi. Znajdują się po

przeciwnej stronie barykady. Każde, nawet najbardziej niewinnie brzmiące pytanie ma na celu osłabienie jego czujności i zwabienie go w pułapkę.

Nie zamierzał połknąć haczyka, więc się nie odzywał, jedynie uważnie obserwował. Venturi poprosił go, aby do nikogo nie dzwonił. W porządku; nawet nie wiedziałby, z kim mógłby się skontaktować. Nie był przyzwyczajony zwracać się do kogokolwiek o pomoc. Zazwyczaj to on pomagał innym. Mógłby zatelefonować do Jake'a, który zatrzymał się w hotelu „Four Seasons”, postanowił się jednak wstrzymać, dopóki agenci obracający jego mieszkanie w perzynę nie wyjdą, a on sam nie dowie się czegoś więcej.

Co jak co, ale na pewno nie zadzwoni do Leigh. Dała mu jasno do zrozumienia, że nie kiwnie palcem, by mu pomóc.

- Venturi! - dobiegł głos z sypialni. - Znaleźliśmy! Eric poczuł przyływ adrenaliny. Co mogli znaleźć?

Nic. Podniósł się, zamierzając udać się do sypialni, ale drogę zagroził mu agent Venturi.

- Proszę tu zostać.

- To moje mieszkanie, do jasnej cholery.

- Mamy nakaz przeszukania. I w pańskim interesie jest z nami współpracować.

- A niby co robię?! - ryknął Eric. - Własną pierśią bronię wam dostępu?

Venturi napotkał jego wzrok.

- To było długie, męczące popołudnie - zauważył. - Ale dobrze panu radzę, niech się pan nie piekli...

Erica korciło, by walnąć pięścią w stół, w ścianę, w cokolwiek, ale się pohamował. Venturi skinął głową do jednego z dwóch mundurowych policjantów, którzy towarzyszyli agentom.

- Proszę przypilnować, żeby Jones tu został - powiedział, po czym zniknął w korytarzu.

Eric zaklął siarczyście. Klimatyzacja była włączona na maksimum, mimo to czuł się tak jak w piecu. Pot lał mu się po plecach strugami. Był niewinny, ale powoli zaczynało do niego docierać, że to może nie mieć najmniejszego znaczenia.

Po chwili do salonu wrócił Venturi, a za nim trzej postawni faceci o kamiennych twarzach; pierwszy niósł laptopa, a drugi plastikowe torby z książkami, których Eric nigdy na oczy nie widział. Trzeci, najstarszy i sprawiający wrażenie najsympatyczniejszego, trzymał pudło zawierające dokumenty bankowe.

Erica ogarnęła wściekłość, a jednocześnie poczuł narastający strach.

- Skąd żeście, u diabła, to wzięli? - spytał, wskazując na książki, które, jak się przekonał, dotyczyły programowania. -I nie możecie zabierać mojego komputera!

Agent specjalny Venturi popatrzył na policjanta w mundurze, po czym zmierzył wzrokiem Erica. Spojrzenie miał zimne, oskarżycielskie. Eric z przerażeniem zdał sobie sprawę, co za moment usłyszy.

- Ericu Jonesie - oznajmił Venturi zadowolonym z siebie tonem - jest pan aresztowany pod zarzutem kradzieży trzystu pięćdziesięciu miliardów dolarów z Banku Światowego.

Ericowi pociemniało przed oczami.

- To jakaś bzdura! Nonsens!

Venturi, nie zwracając uwagi na jego wybuch, ciągnął:

- Ma pan prawo do zachowania milczenia... Policjant szarpnął mu ręce i pociągnął je do tyłu.

Jakiś zwierzęcy instynkt podpowiadał Ericowi, by walczył i próbował się bronić. Eric nie posłuchał; nie chciał, aby dorzucono mu kolejny zarzut, że opiera się aresztowaniu.

- Cokolwiek pan od tej chwili powie, może być użyte przeciwko panu. Ma pan prawo do obrońcy...



## ROZDZIAŁ TRZECI

- Jake, obiecałeś!

- Wiem, Taro - odparł posepnie, rozglądając się po pustym pokoju hotelowym. - Przykro mi, ale nic nie poradzę.

- Powtarzasz to od miesięcy. A ja jedynie chciałabym ustalić termin. Czy proszę o zbyt wiele?

Nie, nie miała nadmiernych wymagań. Jednakże nie potrafił myśleć o ślubie i weselu, kiedy wszystko wkoło się waliło. Już nawet nie wiedział, kim sam jest. Urodził się w wyniku jakichś dziwnych doświadczeń genetycznych. Miał braci i siostry, o których istnieniu usłyszał dopiero niedawno. I jemu, i im grozi niebezpieczeństwo. Żli ludzie usiłują ich odnaleźć. Jego biologiczną matkę zamordowano dosłownie kilka tygodni po tym, jak nawiązała z nim kontakt. Potem porwano jego adopcyjnego brata. No a teraz ta sprawa z Erikiem.

- Jake, jesteś tam? - Tara ledwo skrywała irytację.

- Tak, oczywiście. - Nie umiał wyjawić swojej kulturalnej, twardo stąpającej po ziemi narzeczonej, kim jest i skąd się wziął na tym świecie. Nie był pewien, jak ona przyjmie tę wiadomość. Bał się też, czy zdradzając prawdę, nie narazi także Tary. Dlatego wołał milczeć. - Kochanie, wszystko się strasznie pokomplikowało.

Śledztwo wykazało, że...

Urwawszy w pół słowa, sięgnął po telefon komórkowy, który właśnie zadzwonił. Marszcząc czoło, spojrzął na ekran. Na widok nazwiska dzwoniącego przeszły go ciarki.

- Przepraszam, Taro, muszę kończyć. Mam pilną wiadomość.

- Jake, poczekaj!

- Wkrótce się odezwę. - Odłożył słuchawkę na widełki i wcisnął przycisk na komórce. Miał złe przeczucia. - Ingram.

Po pięciu minutach rzucił komórkę na fotel i z całej siły walnął pięścią w stylowe biurko z okresu Ludwika XIV.

Nie ujdzie im to na sucho!

W małym dusznym pokoju unosił się zapach środków dezynfekcyjnych oraz tytoniu. Z każdą mijającą sekundą pomalowane na jasnozielony kolor ściany zdawały się do siebie zbliżać. Stojąca na niewielkim stoliku kawa dawno już wystygła. Kilka minut temu Venturi i jego dwaj koledzy wreszcie zrozumieli, że Eric nie żartuje. Że bez obecności adwokata nic nie powie.

Wyszli, zostawiając go samego.

Jest oskarżony o największą kradzież w historii ludzkości. Gdy otoczony agentami wysiadł przed budynkiem policji, natychmiast otoczył go tłum fotografów i reporterów, z których każdy chciał napisać artykuł i pstryknąć zdjęcie. Przekrzykiwali się, zadając pytania.

- Dlaczego pan to zrobił? - chciał wiedzieć szczeniak, który wyglądał, jakby dopiero zdał maturę.

- Skąd pan wpadł na taki pomysł? - spytał ktoś inny.

- Gdzie jest forsa?

Klnąc w duchu i nie przejmując się tym, że pewnie ktoś go obserwuje przez lustro, Eric walnął pięścią w ścianę. Psiakrew, jest

niewinny. Wiódł skromne, uczciwe życie. Wrzucał monety do parkometrów i płacił podatki.

Ale to wszystko nie ma teraz znaczenia. Agenci FBI są pewni, że pojмали winnego. Mieszkanie przy Lincoln Park opuszczali zadowoleni, gratulując sobie sukcesu. Przywieźli Erica do aresztu, gdzie poddano go tej samej procedurze co morderców i dilerów narkotykowych. Sfotografowano go, wzięto odciski palców, pozbawiono zarówno rzeczy osobistych, jak i godności, poddano rewizji. Następnie, ubranego w pomarańczową bluzę i ogrodniczki, zaprowadzono do małego wilgotnego pokoju, w którym czekał Venturi ze swoimi dwoma kumplami.

Kwadrans później wyszli, dając mu czas, by się zastanowił, przemyślał swoje położenie. Tyle że on nie miał nad czym się zastanawiać, bo od początku mówił prawdę - że zaszła pomyłka. On, Eric Jones, nie ma nic wspólnego z kradzieżą miliardów z Banku Światowego. Nie jest hakerem, nie potrafi złamać żadnego kodu. Nigdy w życiu nie słyszał o Achillesie, dopóki to imię nie zaczęło pojawiać się w artykułach prasowych.

Jak to Jake powiedział? „Mają dużą władzę, duże wpływy i duże znajomości. Uczynią wszystko, żeby nie wpadł na ich trop”.

Eric zamknął oczy i wziął głęboki oddech, usiłując zrzucić żelazną obręcz, która zaciskała mu się wokół piersi. Ciekaw był, która jest godzina. Pewnie sporo po północy, ale nie wiedział, bo zabrano mu zegarek.

Usłyszał, jak ktoś otwiera, a potem zamyka drzwi. Czekał na odgłos zbliżających się kroków, lecz w uszach dzwoniła mu cisza.

- Cholera jasna, już wam mówiłem - zaczął, odwracając się - że bez adwokata nic nie... - Urwał w pół słowa i otworzył szeroko oczy.

Stała w progu, w szarych spodniach i żakiecie podkreślającym bladość twarzy. Długie włosy opadały jej na ramiona. Prawie nie miała makijażu. Wyglądała świeżo, niewinnie, jakby dopiero się obudziła. Ale z jej oczu wycierały smutek i powaga.

- Leigh, co... co ty tu robisz? - wykrztusił.

- Jake do mnie zadzwonił.

Jake? Psiakość, powinien był się domyślić.

- Prosiłem go, żeby tego nie robił. - Ogarnęła go bezsilna złość. - Żeby znalazł mi kogoś innego.

Wargi jej zadrżały.

- Znalazł mnie - powiedziała cicho, po czym weszła głębiej i położyła teczkę na niedużym stoliku. - Jak się czujesz? - spytała, badając go wzrokiem.

Na widok Leigh w tym okropnym pomieszczeniu żółć podeszła mu do gardła. Cudowna, promienna Leigh nie pasowała do tej ponurej nory.

- Nie chcę, żebyś tu była - warknął, postępując krok naprzód. Nie analizował własnych uczuć, po prostu nie chciał, aby ktokolwiek zrywał Leigh w środku nocy i kazał jej jechać do aresztu, w którym trzymano przestępców i najgorsze szumowiny. Nie chciał, by oddychała tym samym powietrzem co oni, by stąpała po tej samej

podłódze. A przede wszystkim nie chciał, aby widziała tu jego, pozbawionego swobody ruchów, godności, za to ubranego w ohydny pomarańczowy kombinezon. - Wyjdź. Proszę cię.

Nawet nie drgnęła.

- Nie mam najmniejszego zamiaru - odparła. Zaciśnął palce na poręczu krzesła. Chciał podejść bliżej, zmniejszyć dzielącą ich odległość i...

I co? Nie był pewien. Z jednej strony, korciło go, aby odprowadzić ją do drzwi, kazać jej wyjść i nie zawracać sobie nim głowy. Mniej więcej to samo, co powiedział jej przed dziesięcioma laty. Z drugiej strony, pragnął zmiażdżyć ją w uścisku, wtulić nos w jej włosy, przekonać się, czy nadal używa szamponu o zapachu jabłka.

Ponownie walnął pięścią w ścianę. Zawsze był dumny z tego, że w każdych okolicznościach potrafi zachować zimną krew. Przystępował do działania, gdy inni się wahali, podejmował decyzje, gdy inni się gubili. Całe życie tak postępował. Dlatego po śmierci ojca wyjechał do Cloverdale. Dlatego rozstał się z Leigh. Bo tego wymagała sytuacja; matka i Becky potrzebowały pomocy, a do nikogo innego nie mogły się o nią zwrócić.

Teraz on potrzebował pomocy i po raz pierwszy w życiu nie umiał sobie z tym poradzić. Ktoś, kto sam służy wsparciem, zazwyczaj nie potrafi korzystać ze wsparcia innych. Zwłaszcza wsparcia tak pięknej kobiety jak Leigh.

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze - powiedziała cicho. - Obiecuję ci.

Z jej głosu biła pewność siebie. Powinien poczuć się wzmocniony, podbudowany, uspokojony. Tak się nie stało; wstąpiła w niego furia. Przedtem, w zetknięciu z wrogością Venturiego i zaczepkami dziennikarzy, umiał się opanować; teraz, w obecności Leigh, miał ochotę cisnąć krzesłem o ścianę, przewrócić stolik, wylać na podłogę kawę...

- Te sukinsyny myślą, że rąbnąłem trzysta pięćdziesiąt miliardów dolarów! - wykrzyczał z wściekłością. - Nigdy w życiu nie ukradłem nawet gumy do żucia! Tylko raz przywłaszczyłem coś cudzego. Kartę ze zdjęciem Mike'a Schmidta, którą znalazłem na podłodze w bibliotece, kiedy byłem w trzeciej klasie podstawówki.

Uśmiech, który rozjaśnił twarz Leigh, na moment przeistoczył ją w dziewczynę, którą zapamiętał. W dziewczynę, której w każdy wtorek i czwartek szukał wzrokiem na prowadzonych przez siebie wykładach z ekonomii. Po chwili uśmiech znikł i znikła dawna Leigh. Jej miejsca zajęła elegancka prawniczka.

- Mam nadzieję, że nic im nie powiedziałaś? - spytała, wyciągając z teczki notes w biało-czarnej obwolucie.

Eleganckim piórem firmy Mont Blanc wpisała u góry strony jego imię i nazwisko, po czym coś zanotowała. Charakter pisma miała czytelny, staranny, taki jak dawniej. Ręce zaś szczupłe, wąskie, o długich palcach. Ręce pianistki, powiedział kiedyś, a ona roześmiała się wesoło.

- A co? Sądzisz, że mogliby wykorzystać informację o przywłaszczeniu karty ze zdjęciem Schmidta? -spytał drwiąco, chcąc złagodzić napięcie.

- Nie o tym mówiłam - odparła, unosząc wzrok. Uśmiechnął się, próbując pokazać, że jest spokojny, że wziął się w garść i że nie zdemoluje tego pomieszczenia.

Przez chwilę przyglądała mu się z poważną miną, po czym odwzajemniła uśmiech. Nagle poczuł się tak, jakby znów miał dwadzieścia pięć lat, a ona dwadzieścia. Kusiło go, by pogłodzić ją delikatnie po policzku i sprawdzić, czy skórę naprawdę ma tak jedwabistą, jak mu się wydaje. Tak jedwabistą, jak w jego wspomnieniach.

Jakby czytając w jego myślach, Leigh cofnęła się.

- Chodziło mi o sprawę pieniędzy - rzekła, zaglądając do notatek. Włosy niczym kurtyna zasłoniły jej twarz. - Czy rozmawiałeś z policją lub FBI na temat kradzieży w Banku Światowym?

Milczał. Jest oskarżony o zawłaszczenie trzystu pięćdziesięciu miliardów dolarów, a myśli o Leigh. O tym, że zbudzona w środku nocy nawet nie miała czasu się uczesać. Że ubrała się pośpiesznie i przyjechała, aby się z nim spotkać. Miała rację. Powinien się skupić na sprawie kradzieży. I zaraz to zrobi. Tylko najpierw... Boże, chciałby ją rozgryźć, dowiedzieć się, kim jest ta piękna kobieta z piórem w ręce. Z wyglądu przypominała dziewczynę, którą znał przed laty, lecz zachowywała się jak profesjonalistka. Najważniejsze, że nie odwróciła się od niego.



- Eric?

Powoli przeniósł na nią wzrok.

- Nie - odparł. - Z nikim o niczym nie rozmawiałem. Zażądałem obecności adwokata.

- Świetnie - oznajmiła. - Zaraz cię stąd wyciągnę. - Po jej wargach przemknął cień uśmiechu. - W pomarańczowym kolorze nie jest ci do twarzy.

Trzy miliony dolarów. Na samą myśl o tak astronomicznej sumie Leigh ogarniała wściekłość.

- Kaucja ma być zabezpieczeniem, a nie karą - mruknęła gniewnie, kiedy tylnym wyjściem opuszczali budynek policji. W holu od frontu kłębił się tłum rozochoconych dziennikarzy. - Tym razem sędzia mocno przeholował.

- Nie szkodzi. - Eric pchnął drzwi i przepuścił Leigh przodem.

Był wczesny ranek, lecz mimo to panował skwar. Słońce świeciło jaskrawo, na niebie nie było ani jednej chmurki. Wąska alejka sprawiała wrażenie rozgrzanego pieca.

Leigh czym prędzej zdjęła żakiet.

- A właśnie, że szkodzi - zaproponowała. - Zaraz po powrocie do biura zamierzam napisać skargę. Nie zasłużyłeś na tak wysoką kaucję. Jesteś niekarany, nie figurujesz w policyjnych kartotekach, wiesz jak wygląda prawdziwe życie. Nie ma podstaw sądzić, że uciekniesz i nie stawisz się na rozprawę.



Chcąc ją odciążyć, Eric wyjął jej z ręki teczkę. Nic nie powiedział. Leigh poczuła ucisk w piersi. Raz w życiu, dziesięć lat temu, widziała Erica załamanego, z trudem panującego nad emocjami.

- Zaparkowałam za rogiem - rzekła, przerywając ciszę.

Bała się, aby Eric nie zamknął się w sobie. Odkąd weszli do sali, w której przedstawiono mu wstępne zarzuty, wypowiedział może ze dwa słowa. Prokurator federalny ostro sprzeciwił się wnioskowi o wypuszczenie go za kaucją, ale Leigh walczyła jak lwica, tłumacząc, że dopóki nie udowodni mu się winy, jest niewinny. Eric zeszywniał, kiedy sędzia rzucił sumę trzech milionów, ale dalej milczał.

Zaprotestował dopiero wtedy, gdy Jake chciał zebrać potrzebne fundusze. Stanowczym tonem oznajmił, że sam się tym zajmie.

Zawsze był silny i odpowiedzialny, wybawiał innych z kłopotów. Kiedy role się odwróciły i to on potrzebował pomocy, czuł się zagubiony. Udało mu się zebrać wymagane dziesięć procent. Jake zaproponował, że na brakujące dziewięćdziesiąt procent da w zastaw swoje ranczo w Teksasie. Eric nie zgodził się. Ale został przegłosowany, zresztą nie było wyjścia. Jeśli nie stawi się na rozprawie, Jake straci majątek.

Wzdychając głęboko, Leigh zerknęła tęsknie na kawiarnię po drugiej stronie ulicy. Marzyła o kawie, ale wiedziała, że Eric musi się jak najszybciej znaleźć w ustronnym miejscu, z dala od ciekawskich spojrzeń. Bo choć miał na sobie spodnie i marynarkę, a nie więzienny strój, to i tak wyglądał makabrycznie.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała po raz setny.

Boże, ile by dała za lekki powiew wiatru! Opuścili budynek pięć minut temu, a ubranie już lepiło się jej do ciała. Żałowała, że przed wyjściem z domu nie upięła włosów w kok lub nie związała w koński ogon, ale w pośpiechu nie myślała o takich drobiazgach jak fryzura czy makijaż.

Była w łóżku, kiedy Jake zadzwonił. Nie, nie spała. Zaskoczona poranną wizytą Erica w kancelarii nie była w stanie zasnąć. Po raz pierwszy od dziesięciu lat zobaczyła ojca swojego syna. W dodatku bez obrączki.

Przez dziesięć lat starała się nie myśleć o nim, o bólu, jaki jej sprawił, o własnych pragnieniach i tęsknocie, lecz wystarczył jego głos, aby to wszystko poszło w zapomnienie.

Nie mogła przecież odwrócić się od niewinnego człowieka, od mężczyzny, którego kiedyś kochała. Sumienie by jej na to nie pozwoliło. Jeśli miała jakiegokolwiek wątpliwości, czy słusznie postępuje, angażując się w obronę Erica, znikły jak ręką odjął, kiedy ujrzała go w pomarańczowym kombinezonie. Nie zasługiwał na takie traktowanie. Ale najwyraźniej FBI oczekiwało, że do czasu rozprawy Eric pozostanie za kratkami.

- To na nich spoczywa obowiązek udowodnienia ci winy - poinformowała Erica, kiedy zbliżali się do szarej toyoty camry, z której tuż po północy pośpiesznie usunęła sreberka po gumie do żucia i karty ze zdjęciami graczy baseballowych. - Muszą przekonać ławę przysięgłych, że to ty dokonałeś kradzieży. Każda wątpliwość przemawia na twoją korzyść, a tych będzie dużo, bo jesteś niewinny.

Eric zacisnął dłoń na rękę Leigh, kiedy wsunęła kluczyk do zamka w drzwiach od strony pasażera. Zaskoczona, odwróciła się. Była uwięziona, nie miała możliwości ruchu.

Wstrzymała oddech. Wczoraj rano Eric Jones zmaterializował się po dziesięcioletniej nieobecności i zgarnął ją w objęcia, jakby rozstali się zaledwie dzień wcześniej. Jakby nie wylała morza łez. Czowała bicie jego serca, czuła znajomy zapach drzewa sandałowego... Nie odwzajemniła jednak uścisku.

Teraz marzyła o tym, by znów ją przytulił. Objęłaby go za szyję, obiecała mu, że wszystko będzie dobrze, że nie spotka go żadna krzywda, że ona będzie o niego walczyła. Chciała, by wiedział, że może na nią liczyć, że mimo bolesnych wspomnień, jakie wzbudza w niej samym swoim widokiem, nie zostawi go na lodzie.

Ale Eric nie wykonał żadnego gestu. Stał bez ruchu, z ręką zaciśniętą na jej dłoni i spojrzeniem wbitym w jej twarz. W jego oczach sympatia mieszała się z zadumą i zaciekawieniem.

- Co tak na mnie patrzysz? - spytała wreszcie. Odgarnął jej z policzka kosmyk ciemnych włosów.

- Zastanawiam się, kim jesteś.

- Słucham?

- Kiedy wczoraj do ciebie przyszedłem - ciągnął ochryplym głosem - zobaczyłem Leigh, którą znałem. Uśmiechniętą, inteligentną dziewczynę, która na moich zajęciach z ekonomii siadała w pierwszym rzędzie. I poczułem się dobrze. - Na moment umilkł, czekając, aż minie ich grupa turystów. - A potem ta dziewczyna znikła

i jej miejsce zajęła obca mi kobieta, piękna, elegancka, powściągliwa pani mecenas.

Która chłodnym tonem odmówiła mu pomocy. Nie powiedział tych słów na głos, ale Leigh wyczytała je z jego spojrzenia.

- Eric...

Położył palec na jej ustach.

- Kiedy teraz na ciebie patrzę - mówił szeptem -nie widzę dawnej beztroskiej studentki, ale nie widzę też obcej prawniczki. Więc się zastanawiam, kim jesteś.

Ileż to razy, leżąc wieczorem w łóżku, marzyła o tym, by Eric tak intensywnie się w nią wpatrywał. Ileż to razy usiłowała odtworzyć w myślach brzmienie jego głosu, tę zmysłową wibrację, która zawsze przejmowała ją dreszczem.

Korciło ją, aby pogłodzić go po twarzy, poczuć zarost okrywający policzki...

- Jestem Leigh - rzekła cicho, walcząc z sobą, ze swoimi pragnieniami i emocjami. Łączyła ich nie tylko przyjaźń, nie tylko wspólna przeszłość, ale również syn. - I nie pozwolę, żebyś odpowiadał za czyn, którego nie popełniłeś.

Przysunął się, zmniejszając dzielący ich dystans. Słońce prażyło niemiłosiernie.

- To mówi moja prawniczka czy moja przyjaciółka? Boże!  
Nadchodzące dni i tygodnie zapowiadają się

wyjątkowo ciężko. Wiedziała, że jako prawniczka sobie poradzi, ale czy podoła jako przyjaciółka?

- A czy to ma jakieś znaczenie? - spytała. Zmrużył oczy.

- Olbrzymie.

Potrafi wygłaszać w sądzie inteligentne oświadczenia wstępne i płomienne mowy końcowe, lecz ma trudności z wyjaśnieniem Ericowi, dlaczego ich relacje muszą zostać ograniczone do płaszczyzny zawodowej.

- Posłuchaj - rzekła tonem, jakiego używała w sądzie. - Szukałeś dobrego prawnika. - Przez dziesięć lat ani razu nie zadzwonił, ani razu nie przysłał kartki na święta. - I go znalazłeś. Nie mieszajmy do tego przyjaźni.

Spochmurniał. Po chwili zaś puścił jej rękę i cofnął się o krok.

- Żeby znaleźć prawnika, wystarczy zajrzeć do książki telefonicznej - mruknął.

Ale przyjaciela tak łatwo się nie znajduje.

Leigh zadumała się. Dziesięć lat temu jeden telefon przekreślił wszystko. Ciekawa była, czy również zmienił życie Erica. Chyba tak. Dawniej nie miał w sobie tej nerwowości, tej goryczy...

- Nie potrzebujesz żadnej książki telefonicznej - oświadczyła. - Wybronię cię.

Owszem, na sam jego widok odżyły w niej wspomnienia, ale była już dorosła i nie bała się wyzwania. Nie zamierzała opuścić Erica w potrzebie, ale nie zamierzała też pozwolić, aby ponownie zajął miejsce w jej sercu.

Już raz je złamał.

- Słusznie zrobiłeś, przychodząc do mnie - ciągnęła. - Znam cię i wiem, że nie popełniłeś żadnego przestępstwa. Poruszę niebo i ziemię, żeby oczyścić twoje imię. Nie dam zapudłować niewinnego człowieka.

- Nie chcę, żebyś czuła się zmuszona...

- Nie mam zwyczaju robić czegokolwiek wbrew swojej woli - przerwała mu. - Sama podejmuję decyzję, a gdy ją podejmę, to przy niej trwam. - Miała świadomość, że jej zaangażowanie w obronę Erica wiąże się z nieuchronnym ryzykiem, ale od chwili telefonu Jake'a wiedziała, że nie może postąpić inaczej. - A teraz chciałabym cię odwiedzić do domu, zanim spieczemy się na raka.

Uśmiech przemknął po jego wargach.

- Widzę, że wciąż lubisz rządzić.

- Niektóre rzeczy się nie zmieniają - odparła ze śmiechem.

- Zawsze to w tobie podziwiałem - rzekł, wsiadając do samochodu. - Twoją energię i pewność siebie.

Drogę do Lincoln Park odbyli w milczeniu. Zamiast prowadzić zdawkową rozmowę woleli wsłuchiwać się w szum klimatyzacji i ciche dźwięki bluesa.

Parę minut później Leigh skręciła w Clark i uśmiechnęła się do nastolatków grających w parku w baseball. Connor uwielbiał tę grę i był świetny na pozycji łącznika. W sobotę jego drużyna miała rozegrać pierwszy ważny mecz. Na razie chłopiec był u babci, która przyjechała po niego poprzedniego dnia, po telefonie Leigh, i obiecała odwiedzić go wieczorem na sobotni mecz.

Na myśl o matce ogarnęło Leigh wzruszenie. Ojca właściwie nie kojarzyła; jak przez mgłę pamiętała jego podniesiony głos, kiedy pijany urządził w domu awantury. Na szczęście, zanim skończyła siedem lat, rodzice się rozwiedli. Większość jej koleżanek mieszkała z ojcem i matką, ale Leigh zawsze uważała, że jeżeli dwoje ludzi się nie kocha, to ze względu na dziecko powinni się rozstać.

Matka wszystko robiła z myślą o córce; z czasem stała się jej najlepszą przyjaciółką. Kiedy dwudziestoletnia Leigh wyznała ze łzami w oczach, że jest w ciąży, Nancy Montgomery nie czyniła jej wyrzutów. Po prostu wzięła córkę w ramiona, przytuliła ją i zapewniła, że wszystko się dobrze ułoży. I miała rację.

Przeniosły się obie do Anglii, żeby Leigh, która dostała stypendium na Oksfordzie, nie musiała rezygnować ze studiów. Było im ciężko, ale razem jakoś podolały.

- Teraz w lewo - rzekł Eric, przerywając jej wspomnienia.

- Oj, niedobrze - mruknęła na widok tłumu dziennikarzy koczujących na ulicy. Mikrobusy z antenami na dachu blokowały przejazd. - Domyślam się, że tu mieszkasz?

Eric zaklął cicho.

- Cholerne hieny. Zaparkuj parę przecznic dalej; wejdę tylnymi drzwiami.

Tak też uczyniła.

- Zadzwoń po południu i przedstawię ci dalszy plan działania. - Odwróciwszy się, chwyciła leżącą na tylnym siedzeniu czapkę z daszkiem. - Weź to; może ci się przyda.

Zacisnął rękę nie na czapce, lecz na nadgarstku Leigh.

- Jesteś zmęczona, od wielu godzin nic nie jadłaś... Chodź do mnie, przygotuję lekki lunch.

Popatrzyła mu w oczy. To był błąd, bo poczuła, jak jej opór kruszeje.

- Wciąż smażę świetne omlety...

Przypomniała sobie, jak którejś nocy zasnęła u niego nad książką. Obudził ją docierający z kuchni zapach smażonego boczku i parzonej kawy.

- Dzięki, ale chyba się nie skuszę.

Bała się intymności. Nie chciała oglądać jego mieszkania, jego rzeczy. Wystarczyło jej, że spędzili razem noc. Wprawdzie na policji, ale...

- Muszę się przebrać, wziąć prysznic, a potem pojechać do kancelarii - wyjaśniła.

Nieprawda, musi oddalić się od Erica. Ochłonąć.

- Nie uciekaj ode mnie, Leigh. Proszę cię.

Nie lubiła tego słowa. Uciekają tchórze. I małe wystraszone dziewczynki.

- Nie uciekam - rzekła, ale nagle naszły ją wątpliwości: czy rzeczywiście? - Czekają mnie ważne obowiązki, między innymi przygotowanie się do twojej obrony. Muszę wrócić do biura, sporządzić kilka wniosków i petycji.

- Cały czas unikasz mojego wzroku. Myślisz, że nie wiem dlaczego?



Klimatyzacja była włączona, mimo to temperatura wewnątrz samochodu rosła z sekundy na sekundę. Leigh podniosła oczy, napotykać spojrzeń Erica.

- Nie unikam - skłamała. - Po prostu uważam, że powinniśmy skupić się na bieżących sprawach, czyli na oczyszczeniu twojego nazwiska.

- Wolałbym skupić się na tobie. Wstrzymała oddech.

- Eric, ja...

- Przejdźmy się - zaproponował. Naciągnął czapkę na głowę, zakrywając włosy. W jego oczach wciąż płonął żar. - Odrobina ruchu, świeże powietrze... Czego więcej można chcieć?

Zawsze wiedział, co powiedzieć, żeby mu uległa. Uśmiechając się w duchu, popatrzyła na uroczą uliczkę, przy której stały stuletnie kamienice. Pomiedzy zaparkowanymi samochodami dojrzała stary motor, chyba harleya. Drzewa rzucały zbawienny cień. Co ma do stracenia?

- W porządku. - Jak dobrze pójdzie, nie natkną się na żadnego dziennikarza. - Ale uprzedzam cię -dodała, chcąc rozładować napięcie - jeżeli słońce jeszcze mocniej przygrzeje...

- Nie pozwolę ci się roztopić. Wolnym krokiem ruszyli przed siebie.

- Zawsze chciałeś mieszkać w tej dzielnicy, prawda?

Podczas studiów na miejscowym uniwersytecie często łazili gdzieś na piwo i bilard. Potem, wracając wieczorem, często wędrowali przez Lincoln Park - podziwiali architekturę dziewiętnastowiecznych

domów i snuli marzenia. Marzenia Erica, przynajmniej te dotyczące miejsca zamieszkania, się spełniły.

- Tak. - Uśmiechnął się. - Mam ładne mieszkanie na ostatnim piętrze w jednej z tych starych murowanych kamienic. Wymagało sporego remontu, ale warto było.

- Gratuluję.

- Dzięki. - Przystanąwszy, ujął ją za rękę. - Leigh, jestem ci naprawdę wdzięczny. Za to, że przyjechałaś do mnie w środku nocy, że mnie nie odtrąciłaś. Że wierzysz w moją niewinność.

- Nie musisz dziękować - rzekła przez ściśnięte gardło.

- Muszę. Może po prostu wykonujesz swoje obowiązki, ale fakt, że podjęłaś się mojej obrony, wiele dla mnie znaczy.

Nigdy nie potrafiła się od niego odwrócić, na tym polegał cały problem. Nawet kiedy dowiedziała się, że Eric ma dziewczynę, którą zna niemal od dziecka, też nie umiała z niego zrezygnować. Po prostu zadowolila się przyjaźnią, mimo że każde jego spojrzenie, każdy dotyk przejmował ją dreszczem. Minęło dziesięć lat, ale nic się nie zmieniło. Nadal go kochała i wiedziała, że znów będzie z tego powodu cierpieć.

- Jesteś dla mnie czymś więcej niż „obowiązkiem” - przyznała.

Błysnął w uśmiechu zębami.

- Nigdy nie sądziłem, że spotkamy się w takich okolicznościach.

Ucieszyła się. A więc myślał o niej...

- Życie jest pełne niespodzianek. Od dawna nie próbuję zgadywać, co się wydarzy jutro lub pojutrze.

Zresztą, pomyślała, czasem lepiej nie znać przyszłości. Wtedy człowiek może cieszyć się chwilą i nie myśleć o smutku, jaki nadejdzie.

Eric potrząsnął głową.

- Fajnie cię widzieć, Leigh - rzekł serdecznym tonem. - Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak świetnie wyglądasz?

Roześmiała się wesoło.

- Akurat! Oboje moglibyśmy służyć za przykład tego, jak na człowieka wpływa brak snu. - Przyjrzała mu się uważnie. Miał na sobie tę samą koszulę i spodnie, w których przyszedł do kancelarii, tyle że teraz ubranie było nieświeże i wymięte. Nieogolone policzki stawały się coraz ciemniejsze, podobnie jak cienie pod oczami. - Wyglądasz paskudnie, Indy.

Indy... A więc Leigh pamięta, że tak go przezywano - bo pochodził z Indiany i nosił nazwisko Jones, jak słynny Indiana. Któregoś dnia jej syn spytał, czy mogłaby mu kupić jego ulubiony film. O mało nie zemdlą, kiedy okazało się, że chodzi o „Poszukiwaczy zaginionej arki”.

Eric zaśmiał się.

- Myślałem, że kobiety lubią taki dwudniowy zarost.

Pacnęła go lekko w ramię.

- Tak wam się tylko wydaje.

Ruszyli dalej. Eric wciąż trzymał ją za rękę. Czowała się dziwnie, a zarazem swojsko. Zawsze byli przecież przyjaciółmi; tylko raz uczynili wyjątek.

- Powiedz, co porabiałaś, odkąd się widzieliśmy? - spytał. - Jak ci się ułożyło w życiu?

- Bardzo dobrze - odparła automatycznie, ale po chwili zdała sobie sprawę, że powiedziała prawdę. Miała Connora, najwspanialszy podarunek od losu.

- A twoja mama? Jak się miewa?

- Doskonale. Zjeździłyśmy razem całą Europę. Pewnie nadal mieszkamybyśmy w Londynie, gdyby siostra mamy, ciotka Louise, nie zachorowała.

- No tak, to wszystko tłumaczy.

- Co tłumaczy?

- Dlaczego nie mogłem odnaleźć twojej mamy. Wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Szukałeś jej? Ścisnął mocniej jej dłoń.

- Tak. Kiedy nie mogłem odnaleźć ciebie. Ale okazało się, że po niej również ślad zaginął.

Nie odezwała się. Serce waliło jej jak młotem.

- Jake dał mi jakiś adres - kontynuował Eric. - Niestety, był już nieaktualny, a nowego nie zostawiłaś. Wiedziałem, że byłaś zaręczona z jakimś Anglikiem, pomyślałem więc, że poślubiłaś go i zmieniłaś nazwisko.

- Nie wyszło nam - powiedziała cicho.

Trevor był cudownym człowiekiem i uwielbiał Connora, ale nie potrafił pogodzić się z faktem, że ona cały czas wzdycha do innego. Po dwóch latach się rozstali.

- Cholera jasna! - Eric stanął jak wryty.

Zaskoczona jego gwałtowną reakcją na wieść o swoich zerwanych zaręczynach, Leigh skierowała wzrok na Erica, ale on nie patrzył na nią. Z furją w oczach wpatrywał się w coś ponad jej ramieniem. Domyśliła się, o co chodzi. Dziennikarze! Musieli ich wyśledzić.

Ale nikogo za nimi nie było. Na ulicy panowała senna atmosfera. Drzewa, samochody, żadnych ludzi. Tylko rower oparty o automat z gazetami...

Nagle zobaczyła wielkie zdjęcie na pierwszej stronie „World Inquisitor”, zdjęcie ponurego, zakutego w kajdany Erica, którego policjanci prowadzą na komisariat. Oraz tytuł: „Dziwolągi genetyczne: czy to jeden z nich?”

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Wszystko się w nim zagotowało.

- Co za drań! Co za łajdak! - Eric wepchnął ręce do kieszeni, szukając drobnych.

- O Boże... - Leigh podeszła bliżej.

Wsunął w otwór monetę i otworzył automat z prasą. Wyciągnął ze środka cały stos. Nie przejmował się tym, że dla innych nic nie zostanie; bądź co bądź te kłamstwa dotyczą jego życia.

- Myślałem, że w tym kraju człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy! - warknął, przeglądając pobieżnie artykuł.

Dziennikarz, niejaki M. H. Cantrell, nie tylko go osądził i skazał za kradzież miliardów, ale również insynuował, że motywem jego działania było coś więcej niż chciwość i brak poszanowania dla prawa.

- Co za kretyn! - zdenerwowała się Leigh, zaglądając Ericowi przez ramię. - Produkt inżynierii genetycznej? Dziwoląg natury?

Eric wyrwał pierwszą stronę, zmiął i cisnął z wściekłością na chodnik.

- Ktoś za to zapłaci!

- Z całą pewnością - poparła go Leigh. - Ale żeby pociągnąć faceta do odpowiedzialności, musimy zapoznać się z treścią artykułu.

- Schyliwszy się, podniosła z ziemi zmiętą papierową kulkę, po czym ją wygładziła. - Rany boskie! - jęknęła. - Uważają, że powstałeś w wyniku tego programu o nazwie Proteusz.

Eric pokręcił z niedowierzaniem głową. Kilka miesięcy temu były agent CIA opowiedział dziennikarzom fantastyczną historię o inżynierii genetycznej, zatuszowanym morderstwie i międzynarodowej szajce szpiegowskiej. Twierdził on, że w latach sześćdziesiątych rząd finansował eksperymenty genetyczne prowadzone przez grupę naukowców; chodziło o stworzenie ludzi o nieprzeciętnych cechach. Jedni mieli być wyposażeni w wyjątkowe zdolności intelektualne, inni w niezwykłą siłę. Podobno można było z góry ustalać, czy genetycznie zaprogramowane dziecko zostanie w przyszłości naukowcem, czy też poświęci się karierze sportowej. Oczywiście, dzieci miały się rodzić bez genetycznych wad, a zatem stanowiłyby okazy zdrowia. Te tajne badania otrzymały nazwę Proteusz.

Eric określił rewelacje agenta stekiem bzdur. Dziennikarze przeciwnie - mieli używanie. Przez kilka tygodni temat nie schodził z łamów prasy. Najpierw o Pro-teuszu doniósł „The Washington Post”, potem wszyscy o tym pisali. Brukowe poświęcały tej sprawie więcej miejsca niż najnowszym hollywoodzkim romansom i życiu erotycznym polityków. Dziennikarze postawili sobie za cel poznanie prawdy o wynikach eksperymentu. Tak zwane anonimowe źródła rządowe przyznały, że doświadczenia zakończyły się sukcesem; że w ich wyniku urodziło się kilkoro wybitnie utalentowanych dzieci, ale nikt nie wiedział dokładnie ile. Niektórzy mówili, że pięcioro, inni że sześcioro, ale byli też tacy, którzy zaklinali się, że co najmniej

dziesięcioro. Stuprocentowej pewności nie miał nikt, albowiem większość dokumentów dotyczących badań zniknęła.

W każdym razie eksperyment, który zaczął się tak obiecująco, został brutalnie przerwany. Według słów anonimowego informatora, główny naukowiec zginął zamordowany przez swych żadnych władzy wrogów, którzy następnie porwali dzieci, chcąc do własnych egoistycznych celów wykorzystać ich wyjątkowe zdolności. Podobno po jakimś czasie udało się odbić dzieci i je ukryć, wcześniej jednak porywacze wyczyścili im pamięć.

Według prasowych doniesień zrodzone w wyniku eksperymentu dzieci nadal żyły i miały obecnie po trzydzieści kilka lat. Każde z nich stanowiło potencjalne zagrożenie - to „chodzące bomby zegarowe”, jak pisali o nich dziennikarze. Dzieci dorastały w rodzinach adopcyjnych, nie mając świadomości, skąd się wzięły na tym świecie. Oczywiście nie miały pojęcia o swoich wyjątkowych zdolnościach i zagrożeniu, jakie się z tym może wiązać.

W swoim artykule M.H. Cantrell sugerował, że Eric jest jednym z owych „zaginionych” dzieci i że użył swej niezwykłej inteligencji, aby dokonać największej kradzieży stulecia.

- To szaleństwo - powiedziała cicho Leigh.

- Tylko dlatego, że jestem adoptowany, facet robi ze mnie jakiegoś pieprzonego geniusza.

- Hm... - Leigh uśmiechnęła się. - Zawsze uważałam, że jesteś piekielnie inteligentny.



- Ale na komputerach się nie znam - stwierdził ponuro. Ledwo potrafił edytować tekst, a co dopiero mówić o włamywaniu się do jakiejś bazy danych.

Oczy Leigh rozbłysły.

- Może na tym powinna polegać moja obrona? Na przekonaniu ławy przysięgłych, że wcale nie grzeszysz nadmierną inteligencją?

Wybuchnął śmiechem. Jego przyszłość - to, czy trafi za kratki, czy też pozostanie na wolności - miałyby zależeć od tego, czy jest normalny?

- Wyobrażam sobie tytuły prasowe: Eric Jones za głupi, by kraść miliardy.

Tym razem Leigh się roześmiała.

- No tak, ta linia obrony może ci zaszkodzić w interesach.

- Pobyt w więzieniu tym bardziej. Spowaźnieli. Eric przeczesał ręką włosy. Myślał, że już nic gorszego go nie spotka, a tu wygląda na to, że artykuł Cantrella może dolać oliwy do ognia. Trudniej będzie o sprawiedliwy proces.

- Chcę, żeby facet to odszczekał. Przecież ławnicy mogą się zasugerować i...

- Eric - przerwała mu Leigh. - Ludzie rzadko zwracają uwagę na to, co pisze się w gazetach.

- Takich rewelacji się nie ignoruje.

- Możemy się postarać, żeby Cantrell sprostował tę informację, ale nie sądzę, aby to cokolwiek dało. Raczej powinniśmy poprosić o przeniesienie miejsca rozprawy.

- Więc poprośmy.

- Albo... - Zawahała się. - Czy kiedykolwiek próbowałaś odszukać swoich rodziców biologicznych?

- Nie - odparł zaskoczony.

- Gdybyśmy zdołali udowodnić, że nie masz nic wspólnego z Proteuszem, pozbawilibyśmy przeciwnika dość istotnego argumentu.

- Nie. Wykluczone - oznajmił kategorycznym tonem. Jego matka nie była wystraszoną nastolatką, która od razu po porodzie oddała niemowlę do adopcji. Zajmowała się nim przez pełne dwa lata, zanim w końcu uznała, że ma dość. Nie pamiętał jej, nawet nie chciał pamiętać. Nie pamiętał też sierocińca, do którego go przywiozła. Jonesowie adoptowali go pół roku później; byli jedynymi rodzicami, jakich znał. Jedynymi, jakich potrzebował.

Leigh położyła dłoń na jego ramieniu.

- Wiem, że to dla ciebie drażliwy temat, ale jeżeli chcemy ukrócić te idiotyczne plotki...

- Mogę poddać się badaniu na iloraz inteligencji.

- Wyjdzie, że prawie wszystkich bijesz na głowę. To prawda. Psiakrew, nigdy nie pomyślał, że przyjdzie mu tego żałować.

- Musimy wymyślić coś innego - rzekł. - Skupić się na samej kradzieży. Przekonać ławników, że dowody rzeczowe znalezione w moim mieszkaniu zostały tam podłożone.

Leigh westchnęła.

- Słuchaj, próba odnalezienia rodziców biologicznych nie oznacza zdrady wobec rodziców adopcyjnych.

- Wiem. - Po prostu nie chciał mieć do czynienia z kobietą, która się go wyrzekła. - Zrozum, Leigh. Moje pochodzenie nie ma nic do rzeczy. To zwykła zasłona dymna. Ktoś usiłuje odwrócić uwagę wszystkich od prawdy.

- Ale dlaczego wybrano akurat ciebie?

- Ponieważ Jake zaczyna im deptać po piętach i chcą go zdyskredytować. - Opowiedział jej o tym, co mu Jake mówił na temat dochodzenia i pomyłce, jaką wróg popełnił, porywając zamiast niego jego brata Zacha. - Gdybym trafił za kratki, Jake straciłby wiarygodność i autorytet. Podejrzewano by, że usiłuje skierować dochodzenie na inne tory z powodu przyjaźni ze mną. Żeby mnie oczyścić.

Leigh odgarnęła włosy z twarzy. Oczy miała podkrążone. Nic dziwnego, pomyślał, skoro nie spała całą noc.

- To szaleństwo.

- Zgadzam się.

Ponownie zerknęła na zdjęcie skutego Erica, prowadzonego przez policjantów do radiowozu.

- Jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć.

- Co? - Nie podobał mu się jej posepny ton.

- Kiedy sędzia zarządził kaucję w wysokości trzech milionów dolarów, zadzwoniłam do mojego banku sprawdzić, ile mam na koncie.

- Nie powinnaś była - zaprotestował odruchowo.

- Ale zadzwoniłam. I dowiedziałam się, że tego dnia wpłynęła suma, za którą mogłabym spłacić dom, samochód i wysłać sy... -  
Urwała. Oczy jej pociemniały. - I wysłać mamę w podróż dookoła świata, o której zawsze marzyła.

Wpatrywał się w nią intensywnie.

- To znaczy ile?

- Pół miliona dolarów.

- Chryste! Kto je przekazał?

- Właśnie o to chodzi. Nie wiem.

Słyszał o takich praktykach, kiedy opłacani przez mafię prawnicy niespodziewanie odkrywają, że stan ich konta się podwoił.

- Nie miałem z tą sprawą nic wspólnego, Leigh. Uwierz mi.

Chciałby mieć takie pieniądze. Z drugiej strony, pomyślał, lepiej że nie ma. FBI na pewno uznałoby, że zdobył je na drodze przestępstwa, a nie ciężką, uczciwą pracą.

- W co ja wierzę, nie ma najmniejszego znaczenia - rzekła Leigh.

- Ważne, co o tym pomyśli prokurator. Ale nawet nie trzeba wysilać wyobraźni: ktoś, kto kradnie miliardy, może podarować swemu adwokatowi parę milionów, prawda?

Promienie słońca przedzierały się przez gałęzie wiązu i grzały ich w plecy, ale Eric dygotał z zimna. Wiedział z doświadczenia, że jeden moment, jedno niefortunne zdarzenie może zadecydować o wszystkim, obrócić życie o sto osiemdziesiąt stopni. Wtedy Leigh stała przy jego boku - i teraz też. Westchnął ciężko. Tęsknił za nią, za jej śmiechem, przyjaźnią, inteligencją, ale nie chciał, by z jego

powodu spotkała ją krzywda. Ktoś go śledzi, zna jego zwyczaje, prowadzi z nim jakąś dziwną grę. Powinien się trzymać jak najdalej od Leigh, nie narażać jej.

Całe życie to on opiekował się bliskimi, to on ich chronił, to on wiedział, jak uniknąć nieszczęścia. Teraz nie wiedział nic. Ale nie zamierzał się poddawać. Bez względu na to, jak potężny jest wróg, zamierzał go pokonać. W taki sposób, aby Leigh nie stało się nic złego.

- Nie powinienem był przychodzić do ciebie - odezwał się. - Nie chcę cię w to mieszać.

- Za późno, Eric. Zresztą tak łatwo się mnie nie pozbedziesz.

Tak łatwo jak dziesięć lat temu. Wyczytał to z jej spojrzenia.

- To się robi zbyt niebezpieczne. - Miał przeciwko sobie potężnych wrogów. Spreparowane przez nich dowody naprowadziły na jego ślad agentów FBI. W dodatku instynkt mu podpowiadał, że to dopiero początek.

Uściskawszy dłoń Leigh, popatrzył jej głęboko w oczy.

- Zrozum, nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś ci się stało.

Uśmiechem starała się dodać mu otuchy.

- Nie jestem tą dziewczyną, którą pamiętasz, Eric. Nie peszę się, nie wycofuję, nie uciekam. Jestem prawnikiem, prowadziłam wiele paskudnych spraw. Naprawdę się nie boję.

Krew się w nim zagotowała na myśl o tym, że ta piękna, odważna kobieta miewa do czynienia ze zbirami.

- Jak paskudnych?

- Słucham? - Zamrugła powiekami.

- Powiedziałaś, że prowadziłaś wiele paskudnych spraw.

Spytałem: jak paskudnych? Nie chcę, żeby spotkała cię jakaś krzywda.

- Nie spotka - zapewniła go. - Ani mnie, ani ciebie. Razem udowodnimy, że całe to oskarżenie kupy się nie trzyma. Zaufaj mi. Wkrótce wszystko będzie jak dawniej.

Nieprawda. Wiedział, że nic już nie będzie takie jak dawniej. Nawet jeżeli prokurator wycofa oskarżenie, to tych ostatnich dwóch dni nie da się wymazać z pamięci. Odnalazł Leigh i tylko to się liczy. Otrzymał od losu drugą szansę i nie zamierza jej zmarnować.

- Nie podoba mi się to - mruknął, ale znał upór Leigh. Teraz, gdy ją wciągnął w to bagno, na pewno nie zostawi go samego. Chyba że...

- Tylko nie próbuj żadnych sztuczek, Indy. - Cień uśmiechu przemknął po jej wargach. — Czy kiedykolwiek pod twoim wpływem zmieniłam zdanie?

Owszem, raz.

- A ta historia z cygarem? Pamiętasz? Wybuchnęła dźwięcznym śmiechem.

- Boże, a czy miałam wtedy wybór? Klęczałeś przede mną, błagałeś mnie. To było żalosne. Nie mogłam pozwolić, żeby chłopaki cię zobaczyły na kolanach.

Więc wzięła od niego cygaro, włożyła do ust... i chyba diabeł ją podkusił, bo się zaciągnęła. Dostała takiego ataku kaszlu, że Eric porządnie się wystraszył.

- Może teraz też by poskutkowało, co? Gdybym padł na kolana i zaczął błagać?

Zadał to pytanie żartem, toteż zdziwił się, gdy Leigh posmutniała, a w jej oczach zabłyśły łzy.

- Za późno - szepnęła.

Jeszcze długo po tym, jak się pożegnali, zastanawiał się, co chciała przez to powiedzieć. Za późno, aby mogła zrezygnować z jego obrony? Czy za późno, aby on mógł przeprosić ją za ból, jaki sprawił jej przed laty?

Obserwował ich z ukrycia.

- Jones wyszedł za kaucją - rzekł do słuchawki.

- A Ingram? - spytał głos na drugim końcu linii.

Spoglądając przez ciemne okulary, mężczyzna widział, jak Eric Jones bierze kobietę za rękę i ciągnie w stronę ulicy prowadzącej do swojego domu.

- Wciąż mu się wydaje, że może coś zmienić.

- Bo może. Może doprowadzić nas do odpowiedzi, których szukamy.

Tylko z tego powodu słynny teksaski bankier mógł się swobodnie przemieszczać z miejsca na miejsce. Jako więzień czy zakładnik na niewiele by się przydał.

- Wiesz, co masz robić?

- Tak. - Mężczyzna nie tylko wiedział, ale wręcz palił się do zadania. Takie okazje nie zdarzały się codziennie. Ani takie zarobki.

- W porządku. Załatw sprawę szybko. I czysto.

- Jasne.

Rozłączywszy się, poczuł przyływ adrenaliny. Jego ojciec harował jak wół za nędzne grosze. Był żalonym człowiekiem, który wiódł żalony żywot. Swemu jedynakowi ciągle powtarzał, że praca to rzecz święta. Dzięki pracy ma się dach nad głową i jadło na stole.

Ojciec mylił się. W wieku trzydziestu siedmiu lat zmarł na zawał. I po co tak harował?

Praca, owszem, daje utrzymanie. Ale dobra praca pozwala na dobre utrzymanie. I jak dobry seks z piękną kobietą sprawia ogromną satysfakcję.

Popołudniowe słońce wpadało do gabinetu. Leigh siedziała przy biurku, wpatrując się w zdjęcie, na którym Eric ściska dłoń bruneta w białym smokingu. Obaj są odprężeni, uśmiechnięci. Zdjęcie nie różniło się od tych, jakie miała w albumie z okresu studiów.

Tyle że przystojnym brunetem, którego dłoń Eric ściskał, nie był Jake Ingram, Matt Tynan ani Ethan Williams, lecz Nicoli Dusek, znany playboy i finansista z Europy Wschodniej, emisariusz wojskowego przywódcy Rebelii, generała Bruna DeBruzki. Zdjęcie, które pojawiło się w Internecie pół godziny temu, stanowiło dowód na związku Erica z Rebellią.

Niedobrze. Z drugiej strony, była to wskazówka, jakim tropem podąża prokuratura. Po bezowocnym spotkaniu z panią prokurator Leigh wiedziała, że ambitna, nieprzejednana Rebecca Salinger nie puści tego płazem i wywali z pracy osobę odpowiedzialną za przeciek.



- Dostałem zaproszenie na koktajl. Poszedłem. Eric pochylił się nad jej fotelem. Twarz miał tak

blisko, że na wszelki wypadek wołała na niego nie patrzeć. Zetknęłyby się nosami, ustami... Zapach drzewa sandałowego wdzierał się jej do nozdrzy, utrudniając koncentrację.

- Nie pamiętam, kto nas sobie przedstawił. No a gość nie podał mi prawdziwego nazwiska. Mówił, że nazywa się Yuri. Yuri Bozk... Bozk-coś-tam.

Leigh odsunęła się z fotelem w lewo, co jej pozwoliło wstać, nie ocierając się o Erica.

- Planowali to już od jakiegoś czasu - stwierdziła, mając nadzieję, że skoro odeszła od biurka, Eric też to zrobi.

Przed jego przyjściem schowała zdjęcie Connora do szuflady i sprawdziła, czy nigdzie na wierzchu nie leżą informacje o wywiadówkach lub terminach rozgrywek baseballowych. Mimo to obecność Erica jej przeszkadzała. Oczywiście wołała widzieć się z nim w biurze niż u siebie w domu. Lub u niego. Dom jest miejscem prywatnym, intymnym, ona zaś musi zachować chłodny umysł i obiektywizm. Na sprawy osobiste przyjdzie czas później.

- Długo rozmawiałeś z tym Dusekiem? - spytała.

- Wystarczająco długo, żeby ktoś nam pstryknął zdjęcie - odparł, podchodząc do okna z widokiem na jezioro.

- Mieliście później jakiś kontakt?

- Żadnego.

Przeniosła wzrok na błękitną taflę, odruchowo licząc żaglówki, które wyglądały jak małe dziecięce zabawki unoszące się w olbrzymiej wannie. Zazwyczaj widok jeziora działał na nią kojąco, dziś nie. Adrenalina, zmęczenie i niepokój sprawiały, że myśli kłębiły się jej w głowie. Nie spała ponad trzydzieści sześć godzin. Od tyluż godzin prawie nic nie jadła. Nie miała czasu. Nic dziwnego. Eric Jones, jej dawny przyjaciel, kochanek, ojciec jej dziecka, został oskarżony o kradzież stulecia. Prezydent osobiście domagał się jak najszybszego pojmania przestępcy.

- Miałem kilka telefonów z głównych stacji telewizyjnych. Zapraszają mnie na rozmowy...

- Lepiej nie. - Leigh wiedziała, że wszystko, co Eric powie, będzie szczegółowo analizowane, a potem będą go cytować, przekręcać jego słowa.

Dzwonił też Cantrell, zarówno do Erica, jak i do niej do biura. Proponował długi wywiad; mówił, że da szansę Ericowi ustosunkować się do wszystkich zarzutów.

- Oświadczenie, które daliśmy dziś do prasy, musi im na razie wystarczyć - dodała.

- A potem?

Odwróciła się twarzą do Erica. Mimo że się wykąpał i przebrał w spodnie khaki oraz czarny golf, wciąż wyglądał na człowieka z kłopotami. Miał ciemne wory pod oczami, usta zaciśnięte, spojrzenie pochmurne.

- Sprawę będzie prowadził sędzią Albright. To trudny przeciwnik. Konserwatysta i dogmatyk. Na pewno nie pójdzie nam na rękę.

- To znaczy? - Eric zmrużył oczy.

To znaczy, że czeka ich ciężka przeprawa.

- Do samego końca nie uzyskamy żadnych informacji - wyjaśniła Leigh. - Nie będziemy wiedzieli, jakie mają dowody przeciwko tobie.

- Tak można? Myślałem, że oskarżyciel musi pokazać obronie, czym dysponuje.

- To trochę skomplikowane. W sprawach federalnych najpierw zbiera się wielka ława przysięgłych. Na podstawie przedstawionego materiału dowodowego decyduje ona, czy sprawa ma trafić do sądu. Oczywiście prokuratura nie ujawnia członkom ławy wszystkich dowodów, tylko tyle, żeby zapadła pozytywna decyzja. W dodatku obrona nie uczestniczy w tym posiedzeniu, czyli argumenty strony przeciwnej poznaje dopiero podczas rozprawy. Chciałabym przesłuchać Venturiego, przepytać go o przebieg śledztwa, o informacje, które doprowadziły do twojego zatrzymania, ale obawiam się, że Albright nie wyrazi zgody. Tak jak mówiłam, będzie sztywno trzymał się zasad.

- Zasad? To jakiś absurd. Trudno w ciemno odpierać atak.

Leigh zmarszczyła czoło. Wprawdzie system prawny był tak skonstruowany, by chronić niewinnych, ale Eric ma rację: niektóre przepisy wyraźnie dają przewagę oskarżycielowi. W tym wypadku

wszystkim, począwszy od prezydenta, a skończywszy na zaniepokojonych obywatelach, zależy na jak najszybszym znalezieniu i ukaraniu winnego. Zamierzała walczyć jak lwica w obronie ojca swego syna, ale w głębi duszy miała świadomość, że jej wiedza, umiejętności i wiara w niewinność Erica mogą nie wystarczyć.

- Leigh? - Ujął ją palcami za brodę i zmusił, by na niego spojrzała. - Co ci jest?

Scandalous

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie miała czym oddychać. Była inteligentna, wybitna w swym zawodzie, lecz gdy Eric jej dotykał, gdy patrzył na nią w ten sposób, jej rozum się wyłączał, natomiast włączały się zmysły. Raz po raz czuła, jak zalewa ją fala pragnienia i tęsknoty.

Kiedyś całą duszą kochała tego mężczyznę. Nigdy nie zapomniała jego głosu, śmiechu, spojrzenia. Teraz, gdy gładził ją po brodzie, a wzrokiem przewiercał na wylot, poczuła straszliwy niedosyt. Chciała przytulić się do jego piersi, słyszeć bicie jego serca.

To była istna tortura. Biorąc głęboki oddech, cofnęła się o krok. Musi się skupić na ważniejszych sprawach, nie pozwolić na to, aby wspomnienia i przeszłość odwróciły jej uwagę od teraźniejszości.

- Posłuchaj... - Głos jej się załamał. Opanuj się, nakazała sobie w myślach. Odchrząknęła, a po chwili ciągnęła: - Nie można się poddawać. Po decyzji wielkiej ławy przysięgłych zwrócimy się o to, by prokuratura udostępniła nam listę świadków, których zamierza powołać, listę biegłych, kopie przesłuchań na policji, listę przedmiotów zabranych z twojego mieszkania, informację o tym, co znaleziono w twoim komputerze, i tak dalej.

Eric na moment przymknął oczy.

- Uważasz, że ława przekaze sprawę do sądu, prawda? Miała ochotę objąć go, uściskiem dodać mu otuchy, ale rozum jej mówił, by tego nie robiła. Było jej potwornie żal Erica. Oskarżony o przestępstwo, którego nie popełnił, powoli tracił grunt pod nogami.

Nawet jeżeli uzyska wyrok uniewinniający, zawsze znajdą się tacy, którzy będą wytykać go palcem. Niestety, na to nie ma rady.

Teoretycznie człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy, ale uniewinnienie często niczego nie zmienia. Ludzie i tak wiedzą swoje. Za człowiekiem niesłusznie oskarżonym - i oczyszczonym z zarzutów - długo ciągnie się cień podejrzeń.

Eric na to nie zasługuje. Przeszłość nie ma teraz najmniejszego znaczenia, liczy się wyłącznie przyszłość.

- Na siedemdziesiąt pięć procent - przyznała cicho Leigh.

Zaklął pod nosem.

- To co robimy?

Przeszła po miękkim wiśniowym dywanie do okrągłego stołu konferencyjnego, na którym leżały stosy papierów.

- Musisz mi o wszystkim opowiedzieć - stwierdziła, podnosząc długopis. - Usiądźmy.

Eric nie ruszył się z miejsca.

- Nie mogę.

No tak, pomyślała z rozczuleniem. Usiąść, pozwolić, by ktoś inny przejął ster w swoje ręce - to zupełnie nie w jego stylu. To on zawsze rządził i nigdy nie tracił głowy, gdy sytuacja wymykała się spod kontroli.

- No dobrze. - Zdawała sobie sprawę, że nie zmieni przyzwyczajęń Erica. - W takim razie odpowiedz mi na kilka pytań.

- Strzelaj.

Podszedł do stolika. Ruchy miał płynne, pełne wdzięku. Tak jak dawniej, tyle że wtedy był chudym chłopakiem, a teraz mężczyzną o barczystych ramionach i szerokiej klatce piersiowej. Swoją obecnością zdawał się wypełniać pokój.

- Powiedziałeś, że federalni zabrali ci z mieszkania komputer?

- Laptopa. Również wszystkie dyskietki.

- Jak się łączysz z Internetem?

- Poprzez stałe łącze.

- Niedobrze. Pewnie nie miałeś żadnych zabezpieczeń?

Pokręcił przecząco głową.

- Czyli łatwo się do ciebie włamać - stwierdziła.

- I podrzucić „dowody”?

- Właśnie. - Chętnie obejrzałaby zawartość plików, ale podejrzewała, że laptop został przewieziony do siedziby FBI w Quantico w stanie Wirginia. - Najwyraźniej federalni doszukali się związku pomiędzy twoim komputerem a kradzieżą w Banku.

- Wynosili jakieś podręczniki. Widziałem je, kiedy mnie aresztowali.

Leigh notowała pośpiesznie, układając w głowie strategię obrony. Jutro z samego rana zadzwoni w parę miejsc i zacznie realizować swój plan.

- Jakie podręczniki? - spytała.

- Chyba na temat tworzenia programów komputerowych.

- Były twoją własnością?

- Znaleźli je u mnie w sypialni, ale nigdy nie widziałem ich na oczy.

Westchnęła ciężko.

- Dranie.

Eric oparł się o ścianę i wypuścił z płuc powietrze.

- Boże, Leigh. Uszczypnij mnie w ramię i każ mi się obudzić.

Odwróciła wzrok. Żeby go obudzić, musiałyby spać z nim w jednym łóżku. Poczwała dreszcz.

- Chciałabym — odrzekła. Chciałaby, żeby wszystko, co się działo, było snem. - Mogę cię jednak pocieszyć, że na razie to są jedynie poszlaki. Żeby człowieka skazać, trzeba mieć niezbite dowody winy; poszlaki nie wystarczą. Do komputera każdy może się włamać, podręczniki można podrzucić, nawet to zdjęcie przedstawiające ciebie z Dusekiem o niczym nie świadczy. To, że przywitałeś się z facetem na przyjęciu, nie znaczy, że coś was łączy.

- Tego by tylko brakowało, żeby prokurator wziął nas za parę.

Leigh wybuchnęła śmiechem. Zawsze tak było -ironiczną uwagą potrafił rozładować napięcie. Zaczęła masować sobie kark.

- Czyli nie ma niezbitych dowodów, nie ma też motywacji. Bo co mogło tobą kierować?

Eric podszedł do stołu, przy którym siedziała.

- Pazerność?

- Wprawdzie trzysta pięćdziesiąt miliardów piechotą nie chodzi, ale jesteś biznesmenem, któremu się powiodło, masz własny dom oraz... - Urwała, zaskoczona jego bliskością.



- Daj, ja to zrobię - powiedział i zanim zdołała zaprotestować, położył ręce na jej szyi.

Zastygła. Ręce miał większe i silniejsze, niż zapamiętała. Wolno, miarowo masowały jej kark, ugniatały ramiona. Po chwili zamknęła oczy; przepelniała ją rozkosz. Ku własnej konsternacji nie zdołała powstrzymać błęgiego westchnienia.

- Jesteś spięta. - Głos Erica wdarł się w jej myśli. - Musisz uważać, bo nabawisz się koszmarne bólu głowy.

Ileż to razy upominał ją, żeby tak ciężko nie pracowała i wszystkiego w sobie nie tłumiała. Bez przerwy czynił jej zarzuty, że zbyt poważnie traktuje życie; powtarzał, że musi się odprężyć. I robił, co mógł, by jej ulżyć. Czasem kładła się na dywan, on zaś siadał na niej okrakiem i uciskając dłońmi jej plecy, dokonywał cudów.

Fizyczna bliskość Erica zawsze była dla niej źródłem radości, a jednocześnie torturą. Nic się nie zmieniło. Ponownie ogarnęła ją tęsknota, pragnienie, aby Eric spojrział na nią innym okiem. Od początku wiedziała, że jego serce należy do innej. Że ją, Leigh, traktuje wyłącznie jak kumpla.

Mimo to marzyła o rzeczach niemożliwych do spełnienia - o tym, by Eric spędził z nią resztę życia. Czuła się jak oszust; udawała przyjaciółkę, podczas gdy w skrytości ducha pragnęła, by odwzajemniał jej miłość. Woląла jednak przyjaźnić się z Erikiem, niż nie mieć z nim kontaktu.

Po dziesięciu latach ponownie się spotkali. I jej ciało w identyczny sposób jak dawniej reagowało na jego rękę. Zdobywając się na nadludzki wysiłek, wstała z krzesła i odeszła parę kroków.

- Nic mi nie będzie - rzekła, obracając się przodem. W tym samym momencie uświadomiła sobie swój błąd. Spojrzenie Erica, gorące, płomienne, działało na nią równie silnie jak jego dotyk. - Martwię się raczej o ciebie.

- Niepotrzebnie. Bywałem w gorszych opałach. Zaskoczył ją. Przez chwilę zastanawiała się, jak się potoczyło jego życie, kiedy po śmierci ojca wrócił do Gloverdale. Musiał zorganizować pogrzeb, zająć się pogrążoną w rozpacz matką, zaopiekować chorą narzeczoną, uratować rodzinny interes. Na pewno nie było to łatwe dla młodego faceta, na którego czekała ciekawa praca w znanej firmie maklerskiej w Chicago; dla faceta, który marzył o tym, aby zrobić karierę w świecie finansów.

- Jak tam twoja mama? Dziennikarze jeszcze nie zaczęli jej męczyć?

- Nie. - Mina Erica świadczyła o tym, że nie brał takiej możliwości pod uwagę.

Leigh odetchnęła z ulgą. Na myśl o starszej pani usiłującej opędzić się od tłumu drapieżnych, żadnych sensacji reporterów zrobiło się jej słabo. Nie знаła Susan Jones; rozmawiała z nią raz albo dwa razy w życiu, ale zapamiętała ją jako niezwykle sympatyczną kobietę o żywych oczach i serdecznym uśmiechu.

- To dobrze. Ale uprzedź ją, żeby wiedziała, czego się spodziewać. Jak znam życie, wkrótce zaczną do niej wydzwaniać.

- Nie zaczną. Mama nie żyje.

Leigh zeszywniała. Smutek w głosie i spojrzeniu Erica sprawił, że automatycznie wróciła pamięcią do tego zimnego wieczoru dziesięć lat temu, kiedy otepialemu Ericowi usiłowała wytłumaczyć, co się stało. Że jego ojciec zginął w wypadku. Że tym samym samochodem jechała jego narzeczona Becky, którą karetka zabrała do szpitala. Że w tej chwili lekarze operują Becky...

Do dziś prześladował ją wyraz twarzy Erica. I straszny jęk, jaki wydobył się z jego gardła.

Zmarła w zeszłym roku - dodał ochryple. -Dzień po Święcie Dziękczynienia.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Zazdrościła Ericowi świetnych relacji z rodzicami. Gdziekolwiek przebywał, zawsze na święta wracał do domu, a spośród wszystkich świąt najważniejsze w rodzinie Jonesów było właśnie Święto Dziękczynienia - pierwsze, jakie obchodzili razem, kiedy adoptowali trzyletniego Erica. Eric nie mógł się nachwalić tradycyjnych przysmaków swojej mamy: indyka, sosu żurawinowego, placka z dyni.

- Tak bardzo mi przykro - szepnęła Leigh, świadoma tego, jak niewiele można wyrazić słowami.

Po ustach Erica przemknął tęskny uśmiech.

- Mama wcale nie chciała dłużej żyć. Nigdy nie przeboleła śmierci męża.

- Długo chorowała?

- Właściwie w ogóle nie chorowała. Jeśli nie liczyć złamanego serca.

Leigh poczuła ucisk w piersi. Dobrze wiedziała, co to znaczy złamane serce.

- Zamieszkała ze mną, kiedy rozstałem się z Becky

- kontynuował Eric. - Miała dość zaawansowaną osteoporozę, ale umysłowo była sprawna. Codziennie rano przyrządzała mi śniadanie, a potem, kiedy jadłem, czytała mi na głos gazetę.

Leigh uśmiechnęła się do własnych myśli.

- Moi dziadkowie to robili - rzekła.

- Moi rodzice również. Głównie tata czytał mamie. Sprawiało im frajdę, kiedy znajdowali literówki albo błędy gramatyczne. - Podszedł do stołu i podniósłszy niezatemperowany ołówek, zaczął go obracać w dłoni.

- Spędziliśmy razem Święto Dziękczynienia. Nazajutrz zbudziłem się później niż zwykle, mniej więcej koło ósmej. Jeszcze nie całkiem oprzytomniałem, kiedy nagle zdałem sobie sprawę, że nie czuję zapachu kawy ani bekonu. Serce mi zamarło. Wiedziałem, co się stało. Po prostu wiedziałem. Zerwałem się jak oparzony i wybiegłem z sypialni.

Leigh nawet nie próbowała powstrzymać łez, które napłynęły jej do oczu.

- Leżała w łóżku. Lampka nocna była włączona, a zdjęcie taty stało przysunięte na skraj szafki. Mama. .. wyglądała spokojnie, jak osoba pogodzona z losem. Uśmiechała się, słowo honoru.

- To pięknie - szepnęła Leigh, wyobrażając sobie rodziców Erica, którzy spotkali się ponownie po niemal dziesięciu latach rozłąki.

Ołówek w rękach Erica pękł na pół.

- Nigdy nie została babcią. Była taka szczęśliwa, kiedy pobraliśmy się z Becky. Cały czas czekała na wnuka. Marzyła o wnuku. Ale historia lubi się powtarzać. Tak jak ona z tatą, tak i ja z Becky nie mogliśmy mieć dzieci. - Obie części ołówka upadły na dywan.

- Po naszym rozwodzie mama jakby straciła cel w życiu. Leigh domyśliła się, że Eric ma do siebie o to pretensje.

- To nie twoja wina - powiedziała cicho.

- Staralem się. - W jego oczach pojawił się błysk.

- Oboje próbowaliśmy ratować to małżeństwo. Nie wiem, dlaczego zajęło nam aż sześć lat, aby zrozumieć, że się nie kochamy.

Leigh wstrzymała oddech. Wiedziała, że prędzej czy później dojdzie do tej rozmowy, nie przypuszczała jednak, że to się stanie dzisiaj.

- Czasem człowiek jest ślepy, myli miłość z przywiązaniem. A czasem po prostu uczucie wygasa. Nie mamy na to wpływu.

- Może, ale tak nie powinno być. Becky i ja... mam wrażenie, że oboje graliśmy role w kiepskiej sztuce, która dawno powinna być

zdjęta z afisza. - Urwawszy, wbił wzrok w Leigh, - Zaczęło się psuć między nami jeszcze przed wypadkiem, w którym zginął tata. Potem... - Przeniósł spojrzenie na drugi ołówek, jakby i jego chciał złamać, po chwili jednak odsunął się od stołu. - Mineły prawie dwa lata, zanim Becky zdołała samodzielnie wykonać krok. Przecież nie mogłem jej zostawić. Nikogo poza mną nie miała.

- Stanowiliście parę od najmłodszych lat - powiedziała Leigh.

- To prawda - przyznał. - W każdym razie Becky zawsze czuła niedosyt, zawsze chciała czegoś, czego nie mogłem jej dać. Słyszałem, jak w nocy płacze. Nie potrafiłem jej pomóc. - Uśmiechnął się gorzko. - Kiedy uświadomiliśmy sobie, że to koniec, oboje poczuliśmy ulgę. Całymi latami oszukiwaliśmy się nawzajem, udawaliśmy zakochanych. Wydawało nam się, że kiedy na świat przyjdą dzieci, pustka, która nas przepelnia, zniknie. - Pokręcił smutno głową. - Tak się nie stało. Nie mam dzieci, a z Becky się rozwiodłem.

Leigh ogarnęły wyrzuty sumienia. Eric ma syna. Syna, o którego narodzinach nigdy mu nie powiedziała. Wspaniałego chłopczyka, który uśmiecha się w identyczny sposób jak jego ojciec.

Odwróciła wzrok, zdając sobie sprawę, jak wielką krzywdę wyrządziła Ericowi swoim milczeniem. Jak bardzo skrzywdziła mężczyznę, którego kocha ponad życie. I który byłby doskonałym ojcem. Podejrzewała, że nie wybaczy jej, że zataiła przed nim istnienie syna, mimo to wiedziała, że musi mu zdradzić swoją tajemnicę. Oczywiście nie teraz, nie dziś. Najpierw wyrwie go ze

szponów FBI, pomoże mu oczyścić imię, a potem... potem przedstawi mu syna.

Była przerażona tym, czego się dopuściła. Całe życie hołdowała prawdzie, walczyła o sprawiedliwość. Twierdziła, że każdy zasługuje na drugą szansę. I oto ona, zapalona orędowniczka szczytnych idei, postąpiła wbrew głoszonym przez siebie zasadom. Dziesięć lat ukrywała przed Erikiem prawdę, która mogła odmienić jego los.

Wtedy, przed dziesięcioma laty, zatajenie ciąży nie wydawało jej się czymś nagannym. Była młoda, wystraszona, załamana. Uważała, że postępuje słusznie, szlachetnie. Eric powiedział jej, że zamierza zostać w Cloverdale i ożenić się z Becky, że przeprasza ją za tamtą noc i ma nadzieję, że ona, Leigh, zdoła o niej zapomnieć. Zachęcał ją, aby pojechała do Oksfordu i poślubiła jakiegoś miłego Anglika, o czym zawsze przecież marzyła.

Na jego głowie spoczywało tyle obowiązków -opieka nad matką, nad Becky, ratowanie przed bankructwem rodzinnego interesu - że Leigh nie miała sumienia obarczać go kolejną sprawą. Poza wszystkim nie byli w sobie zakochani, a przynajmniej on jej nie kochał. Łączyła ich przyjaźń. W rozmowie telefonicznej przyznał, że żałuje tego, co się stało, nie chciała więc dobijać go informacją, że tej nocy poczęli dziecko. Dobrze wiedziała, co to znaczy mieć ojca, któremu własne dziecko ciąży niczym przykry obowiązek. Nie chciała, by spotkało to jej syna lub córkę.

Dlatego zdecydowała się na wyjazd.

Tyle że teraz oboje znów mieszkają w Chicago. I Eric ma prawo znać prawdę. Że jest ojcem. Że ma syna.

- Nie powinno tu być jakiegoś strażnika? - zdziwił się Eric.

Leigh rozejrzała się po podziemnym parkingu, na którym pracownicy jej kancelarii zostawiali samochody. Zazwyczaj wszystkie miejsca były zajęte przez mercedesy i beemki, ale o ósmej wieczorem parking świecił pustkami.

- Ed pewnie kręci się gdzieś w pobliżu. Podlegają mu dwa poziomy.

Odgłos kroków odbijał się echem o kamienne ściany. Eric przysunął się do Leigh; nie podobał mu się panujący w podziemiu półmrok.

- Wolałbym, żebyś nie schodziła tu sama. Ucieszyła się, słysząc zatroskanie w jego głosie.

- To bezpieczny budynek - powiedziała, wciskając przycisk na pilocie i czekając, aż samochód wyda charakterystyczny dźwięk. - Nie musisz się o mnie martwić.

Objął ją w pasie.

- Wieczorami takiej pięknej kobiecie zawsze ktoś powinien towarzyszyć.

Uśmiechnęła się. Latami walczyła o to, aby być traktowana na równi z mężczyznami. I osiągnęła cel. Słowa Erica sprawiły jednak, że poczuła się bardzo kobieco.

- Nic mi nie będzie. Jestem dużą dziewczynką i naprawdę potrafię o siebie...



- Cholera jasna!

Leigh odwróciła się. Serce zabiło jej mocniej. Samochód stał tam, gdzie go zostawiła przed paroma godzinami, tyle że drzwi od strony kierowcy były porysowane jakimś ostrym narzędziem.

Wyciągając ze spodni koszulę, Eric podbiegł do samochodu. Owinąwszy rękę w materiał, ostrożnie wyjął kartkę wsuniętą za wycieraczkę. Leigh przyśpieszyła kroku. Zerkając nad ramieniem Erica, przeczytała skierowane do siebie słowa: „Eric Jones straci opinię i wolność. Uważaj, żebyś i ty wszystkiego nie straciła”.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Eric natychmiast pociągnął Leigh za siebie, tak by znalazła się pomiędzy nim a ścianą. Żałował, że nie ma nic, co by mogło posłużyć mu za broń, wiedział jednak, że i bez broni będzie walczył do upadłego.

- Wiem, że tu jesteś, ty tchórze! - krzyknął, uważnie rozglądając się po ciemnym pomieszczeniu.

Jego słowa zadudniły echem.

- Eric, przestań - szepnęła Leigh. - Jedźmy stąd.

- Podnieca cię straszenie niewinnych kobiet?! - krzyczał dalej, czując, jak wstępuje w niego furia.

Ktoś chce go dopaść, zniszczyć. W porządku. Jest na to przygotowany. Ale nikt nie ma prawa czepiać się Leigh. Nie zamierzał stać bezczynnie; zabije każdego, kto choćby tknie ją palcem...

- To mnie chcecie! Mnie, do jasnej cholery! Ją zostawcie w spokoju!

- Eric, nie denerwuj się. Nic się nie stało... Odwrócił się do niej twarzą.

- Nic? Porysowany samochód, pogrożki! To ma być nic?

Zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

- No dobrze, ktoś zostawił kartkę za wycieraczką. Ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

- Skąd wiesz, że ten ktoś ograniczył się do kartki i do zniszczenia lakieru? Skąd wiesz, że nie uszkodził ci hamulców albo nie podłożył ładunku wybuchowego? - Na samą myśl o tym zrobiło mu się niedobrze. - Skąd wiesz, czy jak usiądziesz za kierownicą, to dożyjesz jutra?

Krew odpłynęła jej z twarzy, ale w głosie brzmiała siła.

- Chyba za dużo naoglądałeś się filmów.

Lecz to ostatnie czterdzieści osiem godzin odcisnęło na nim swoje piętno.

- Aresztowano mnie za czyn, którego nie popełniłem. FBI przeszukało moje mieszkanie. Są pewni, że dzięki znalezionym dowodom wpakują mnie za kratki.

Ponownie rozejrzał się po mrocznym parkingu. Instynktownie wyczuwał, że ktoś tam jest, że obserwuje ich z ukrycia. Ale nie chciał zostawić Leigh bez opieki, a samemu ruszyć na poszukiwanie wroga.

- Dziennikarze śledzą każdy mój krok, nie dają mi chwili spokoju. W dodatku przedstawiają mnie jako mutanta. - Starał się pohamować gniew; przychodziło mu to z trudem. - Więc myśl sobie, co chcesz. Może jestem paranoikiem, może faktycznie naoglądałem się filmów, ale nie pozwolę ci wsiąść do tego cholernego samochodu.

Leigh wytrzeszczyła oczy, otworzyła usta.

- Eric, ja... nie chciałam cię urazić.

Powinien był się ugryźć w język, zamiast wyładowywać na niej złość i frustrację. Leigh to ostatnia osoba, która mogłaby źle mu życzyć.

- Wiem - odparł. Przytuliwszy ją do piersi, wciągnął w nozdrza jabłkowy zapach jej włosów. Korciło go, aby wyjąć przytrzymującą je klamrę i pozwolić im opaść na ramiona. - Przepraszam. Po prostu nie chcę, żeby stała ci się krzywda.

Zaskoczyła go, otaczając go rękami w pasie.

- Nie martw się o mnie - szepnęła.

Wyczuł w jej głosie nutę rezygnacji. Jakby pogodziła się z myślą, że nie uniknie bólu.

- Łatwo ci mówić - odrzekł. - Ale nie pozwolę, żeby niewinni ludzie cierpieli.

- Ja też nie.

Determinacja, jaką ujrzał w jej oczach, dodała mu otuchy.

- Jesteś niesamowita, wiesz?

Uświadomił sobie, jak strasznie mu jej brakowało. Miała dwadzieścia lat, kiedy widzieli się po raz ostatni, ale już wtedy potrafiła stonować nerwową atmosferę, wprowadzić spokój i zapanować nad chaosem.

Powoli zbliżał usta do jej twarzy. Widział, jak ona unosi głowę, rozchyła wargi... Nagle odepchnęła go, usiłując się oswobodzić.

- Powinniśmy wezwać policję.

- Masz rację - przyznał Eric, wzdychając z rezygnacją.

Wiedział jednak, że przybycie policji nic nie da. Że policja nie powstrzyma drani, którzy chcą go zrobić w kradzież. I nie powstrzyma uczucia, jakie rodzi się pomiędzy nim a Leigh. Już dawno temu przekonał się, że co ma być, to będzie.

- Leigh? A jeśli poproszę cię, żebyś się wycofała? Nie mieszała się do tego?

Było to raczej pytanie retoryczne. Albowiem gdy Leigh coś postanowiła, w żaden sposób nie można jej było wybić tego z głowy, Ceniła lojalność, nie bała się walki, nigdy się nie poddawała.

- Nie mieszała? Ja już w tym tkwię po uszy. - Poglądziła go po twarzy. - Tak łatwo nie dam się zastraszyć. Bez względu na to, co jeszcze wymyślą, na pewno nie zrezygnuję z bronienia ciebie.

Tego najbardziej się bał. I chociaż uwielbiał jej dotyk, dźwięk jej głosu i widok twarzy, żałował, że uległ namowom Jake'a i złożył wizytę w kancelarii Brightman i Spółka.

- Wyglądasz wspaniale - powiedział Jake, obejmując Leigh.

Odwzajemniła jego uścisk. Obserwując ich czule powitanie, Eric poczuł ukłucie zazdrości. Pamiętał, że jemu na powitanie - po dziesięciu latach niewidzenia - podała tylko dłoń.

- Ty też, Sherlocku. - Rozciągnęła wargi w szerokim uśmiechu. - Miło cię znów zobaczyć.

- Ciebie również. - Nie puszczając Leigh, Jake obrócił się w stronę Erica. - I ciebie, stary.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, po czym wszyscy razem usiedli przy stoliku w rogu sali. Podczas studiów wpadali do Ranalli's Pizza tak często, że personel witał ich po imieniu i wiedział, co które z nich lubi jeść.

- Z papryką i pieczarkami? - upewnił się Jake. Eric pociągnął łyk piwa.

- Nic się nie zmieniło.

Leigh sprawiała wrażenie szczęśliwej, odprężonej, jakby całkiem zapomniała o przykrym incydencie na parkingu. Policja zjawiała się parę minut po wezwaniu, Venturi chwilę później. Dokładnie przeszukano samochód Leigh. Gdy okazało się, że nikt nie podłożył żadnego ładunku wybuchowego, pozwolono im odjechać.

Venturi nie krył, co o tym wszystkim myśli. Stwierdził, że bezmyślny akt wandalizmu i kartka wsunięta za wycieraczkę nie oznaczają próby wrobienia Erica w cokolwiek. Każdy mógł porysować samochód i zostawić kartkę z pogrózkami. Nawet sam Eric, dodał, po czym odwróciwszy się na pięcie, ruszył do swojego auta.

- Nie po raz pierwszy mi się to zdarza - zwróciła się Leigh do policjanta. - Obrońcy w sprawach karnych nie cieszą się przesadną popularnością.

Wypowiedziała te słowa lekkim, żartobliwym tonem, ale Erica przeniknął dreszcz.

Teraz siedziała naprzeciwko niego, niewiarygodnie piękna; oczy lśniły jej w ciepłym blasku migoczącej na stoliku świeczki. Po drodze napomknęła, że czuje zbliżający się ból głowy; zasugerował, by wyciągnęła z włosów kłamrę. Tak też zrobiła. Długie lśniące pasma otoczyły jej twarz. Miał ochotę je pogłodzić, sprawdzić, czy nadal są tak jedwabiste w dotyku.

- Stało się. - Jake zerknął na dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach zajmujących sąsiedni stolik, po czym zniżył głos. - Zostałem oficjalnie odsunięty od sprawy.

Leigh odstawiła szklankę.

- To śmieszne.

- Wszystko sobie zaplanowali - stwierdził Eric. Nie uszło jego uwadze, że Jake wybrał stolik w najbardziej ustronnym miejscu, i że usiadł zwrócony plecami do ściany. - Kimkolwiek są ci dranie, działają w sposób niezwykle przemyślany.

- Spokojna głowa, dopadniemy ich. - W głosie Jake'a pobrzmiwał lekki teksański akcent. - Bardziej niepokoję się o ciebie, Indy. Powiedz, jak to wszystko znosisz?

Eric zdusił w sobie przekleństwo i skupił się na faktach. Razem z Leigh opowiedzieli Jake'owi o tym, co się wydarzyło od rana; mówili jedno przez drugie, kończyli za siebie myśli i zdania, jakby nigdy się nie rozstawali i nie było w ich życiu dziesięciu lat przerwy.

- Dasz wiarę? - Leigh sięgnęła po swoją szklankę. - Sugerują, że Eric może być od urodzenia zaprogramowany tak, żeby popełniać przestępstwa! Boże, czego to ludzie nie wymyślą!

Jake mruknął coś pod nosem i odstawił z hukiem butelkę z piwem.

- Słuchajcie, to wcale nie jest tak niedorzeczne, jakby się wydawało. - Rozejrzawszy się po restauracji, dodał cicho: - Zwykle nie ma dymu bez ognia.

Zanim zdążył cokolwiek więcej powiedzieć, do stolika podeszła kelnerka trzymająca na wyciągniętych rękach dwie ogromne tace. Mężczyźni pośpiesznie zrobili miejsce na pizzę. Po odejściu kelnerki żadne z nich jednak nie rzuciło się do jedzenia.

- Jake? - Leigh pierwsza przerwała ciszę. - Co chciałeś powiedzieć? Ze pismak z „The Inquisitor” napisał prawdę? Że Eric może być produktem jakiegoś dziwnego eksperymentu?

W zatłoczonej sali panował gwar, ale dla trójki przyjaciół świat jakby przestał istnieć.

- Z dokumentów rządowych wynika, że w latach sześćdziesiątych rzeczywiście prowadzono badania genetyczne o nazwie Proteusz - oznajmił z powagą Jake.

- Przyszło na świat kilkoro dzieci, które następnie trafiły do adopcji.

Ericowi przeszły po plecach ciarki.

- Te dzieci... Uważasz, że stanowią jakieś zagrożenie?

- Istnieje hipoteza - odparł po dłuższej chwili Jake

- że zostały poddane hipnozie. Że wiodą podwójne życie: większość czasu zachowują się jak normalni praworządni obywatele, ale pod wpływem pewnych hipnotycznych bodźców stają się... hm, bezwolni. Mogą wtedy popełniać przestępstwa, których później nie pamiętają.

Leigh odgarnęła włosy z twarzy.

- To znaczy, że popełniają je nieświadomie? Bezwiednie?



Czyli teoretycznie Eric mógł włamać się do sieci komputerowej Banku Światowego i dokonać kradzieży. Teoretycznie może być Achillesem. Może być, jak pisali dziennikarze, chodzącą bombą zegarową, która lada moment wybuchnie, człowiekiem od dziecka zaprogramowanym do tego, by popełniać zbrodnie. Jake wypuścił z płuc powietrze.

- To wszystko są tajne informacje. Nie wolno wam nikomu o tym mówić.

Eric odsunął od siebie talerz z pizzą. Zapach pomidorów z czosnkiem i bazylią, który zwykle przywoływał tyle cudownych wspomnień, teraz przyprawiał go o mdłości.

- Jasne - obiecał.

- Oczywiście - dodała Leigh, nie spuszczać oczu z twarzy Jake'a.

- Niedawno było głośno o komandosie z elitarnej jednostki Navy SEAL, przydzielonym do ochrony amerykańskiej pani ambasador w Delmonico, której zamachowcy grozili śmiercią.

- Jeśli dobrze pamiętam - wtrąciła Leigh - chodziło o ambasador Samantha Barnes.

- Owszem.

- Czytałam o tym. Zdaje się, że kula trafiła kogoś innego?

- Komandosa - odparł Jake. - Facet o mało nie zginaj.

Eric uważnie przyglądał się przyjacielowi, który z całej siły zaciskał rękę na oszronionej szklance z piwem.

- Jaki to ma związek z badaniami genetycznymi?

- Komandos, który chronił tę kobietę, jednocześnie czyhał na jej życie. Tyle że nie miał o tym zielonego pojęcia.

- Boże! - szepnęła Leigh. - To w ogóle możliwe?

- Owszem. Za pomocą hipnozy można kontrolować umysł człowieka.

- Więc twoim zdaniem ten komandos jest jednym z dzieci zrodzonych w wyniku eksperymentów genetycznych? - spytała tonem obrońcy przystępującego do krzyżowego ognia pytań.

- Tego nie powiedziałem - odparł Jake wymijająco. - Powiedziałem tylko, że facet działał pod wpływem hipnozy.

Eric wzdrygnął się.

- Innymi słowy mógłbym ukraść miliardy dolarów, nic o tym nie wiedząc?

- Nie mów tak. - Leigh ścisnęła go za rękę. - Nawet tak nie myśl. Nie miałeś z kradzieżą nic wspólnego.

Ale dowody wskazywały na jego winę. Jeżeli wierzyć gazetom, planował kolejne przestępstwa. Pentagon, wieże kontrolne na lotniskach, elektrownie jądrowe - wszystkie ważne obiekty znajdują się w niebezpieczeństwie.

- To możliwe - oznajmił Jake, odpowiadając na pytanie przyjaciela.

Eric poczuł, jak na szyi zaciska mu się pętla.

- Czyli mogę być doskonałym programistą komputerowym, lecz nie mieć o tym zielonego pojęcia?

- Tak.

Z wrażenia pociemniało mu w oczach. Przeniósł spojrzenie ze skupionej twarzy Jake'a na Leigh, zastanawiając się, kim jest i co ma dalej robić ze swoim życiem.

Jake siedział w czarnym samochodzie i odprowadzał wzrokiem swych przyjaciół. Tak, właśnie przyjaciół. Bo Eric Jones jest jego przyjacielem, a nie bratem. Owszem, często w czwórkę, razem z Mattem i Ethanem, zachowywali się jak bracia - dziewczyny dały im nawet przydomek Blues Brothers na cześć bohaterów kultowego filmu z Aykroydem i Belushim - ale w głębi duszy wiedział, że nie łączy go z Erikiem żadne pokrewieństwo.

Eric został świadomie wytypowany jako sprawca skoku na Bank Światowy. Wrogowie chcieli przeszkodzić w dochodzeniu, które Jake prowadził; postanowili skierować śledztwo na inne tory, zanim wpadnie na ich trop.

Psiakrew! Nie pozwoli im wygrać! Przeczesując ręką włosy, westchnął głośno. Eric z Leigh znikli za rogiem. Na szczęście udało im się uniknąć dziennikarzy. Przez cały wieczór widział ukradkowe spojrzenia, jakie między sobą wymieniali. Zachowywali się tak jak dawniej. Niby Eric zawsze twierdził, że on i Leigh są tylko przyjaciółmi, ale reszta paczki nie do końca mu wierzyła.

Teraz Jake znał prawdę. Wiedział, że Eric i Leigh spędzili razem jedną noc, po czym Eric wrócił do Cloverdale i ożenił się z Becky.

A Leigh ma syna, którego nigdy nikomu nie pokazała. Nie widzieli nawet jego zdjęcia. Jake zawsze sądził, że ojcem chłopca jest

jakiś Anglik, teraz jednak zaczął podejrzewać, że sytuacja wygląda zupełnie inaczej.

- To nie powinno długo trwać - oznajmił Glenn Moore, prywatny detektyw, z którego usług często korzystała. - Dwa, góra trzy dni. Jak tylko coś będę wiedział, zadzwonię.

Leigh wyciągnęła na pożegnanie dłoń.

- Jestem ci ogromnie wdzięczna za pomoc.

- A ja tobie za wyciągnięcie mnie z kłopotów. Na pewno cię nie zawiodę.

Nie miała co do tego wątpliwości. Glenn jak nikt inny potrafił zdobywać potrzebne informacje. Poznała go wkrótce po powrocie z Londynu. Przyszedł do kancelarii Brightman i Spółka, szukając obrońcy. Okazało się, że na zlecenie klienta prowadził obserwację kilku domów w eleganckiej dzielnicy. Nie wiedział o tym, że człowiek, który go wynajął, dokonywał w tym czasie włamań. Mieszkańcy przypomnieli sobie, że jakiś obcy człowiek dzień i noc siedział w furgonetce zaparkowanej na końcu ulicy. Część skradzionych rzeczy policja znalazła w jego mieszkaniu.

Thomas Brightman nie był zainteresowany sprawą, Leigh zaś wzruszył wyraz desperacji malujący się w oczach mężczyzny. Podjęła się jego obrony. Wspólnymi siłami zdobyli dowody świadczące o niewinności Moore'a, natomiast cwaniak, który tak chytrze obmyślił sobie cały plan, wylądował w więzieniu. Od tej pory miała w detektywie wiernego pomocnika i sprzymierzeńca.

Pożegnawszy się z nim, podeszła do okna i popatrzyła na migoczące w dole jezioro. Błękit nieba zlewał się z błękitem wody. Zanosiło się na kolejny upalny dzień - trzeci, odkąd w jej gabinecie pojawił się Eric Jones.

Tuż przed siódmą rano, chcąc jak najszybciej zabrać się do pracy, przecisnęła się przez tłum dziennikarzy koczujących w holu. Poprzedniej nocy - na skutek zbyt dużej dawki adrenaliny i zbyt wielu wspomnień - prawie nie zmrużyła oka. W dodatku, przyzwyczajona do nieustannej paplaniny Connora i włączonego telewizora, nie mogła znieść ciszy, jaka panowała w domu.

Znów poczuła bolesny ucisk w piersi. Rozmawiała z synem wczoraj po powrocie do domu i dziś z samego rana. Wiedziała, że jest szczęśliwy u babci, mimo to straszliwie za nim tęskniła. I ogromnie bała się przyszłości.

Po raz pierwszy Connor spytał o ojca, kiedy miał dwa latka. Była zupełnie na to nieprzygotowana, ale przysięgła sobie, że nie będzie syna okłamywać. Wyjaśniła dziecku, że jego tatuś to dobry człowiek, tyle że nie może z nimi mieszkać. Oczywiście Connor, jak to dwulatek, koniecznie chciał wiedzieć dlaczego. Na to pytanie nie umiała mu odpowiedzieć.

W ciągu następnych lat Connor wielokrotnie dopytywał się o ojca, zazwyczaj w swoje urodziny i podczas Bożego Narodzenia. Czy kiedyś tatuś spędzi z nimi święta? Czy przyjedzie na jego urodziny?

Łzy napływały Leigh do oczu. Nie wiem, koteczku, odpowiadała chłopcu. Może kiedyś...

Ciekawa była, jak zareagują. Jak Eric zareaguje na wieść o synu. I jak Connor na wieść o ojcu. Czy zaakceptują się nawzajem? Ojciec syna? Syn ojca?

Czy wybaczą jej, że przez dziewięć lat trzymała ich od siebie na odległość? Że okradła ich z dziewięciu lat wspólnego życia?

Co będzie, jeżeli nie zdoła udowodnić niewinności Erica? Jeżeli Eric trafi do więzienia na dwadzieścia lat?

Czy kiedykolwiek sama sobie wybaczy?

Przewracała się z boku na bok, rozmyślając o tym całą noc. Za każdym razem, gdy zamykała powieki, stawał jej przed oczami obraz Erica na parkingu, jak własnym ciałem osłaniają przed ukrytym w mroku napastnikiem. Jeszcze nigdy nie widziała go tak rozwścieczonego.

Choć minęły prawie dwadzieścia cztery godziny, na wspomnienie wetkniętej za wycieraczkę kartki z pogrózkami ogarnął ją dziwny strach. Oddychając głęboko, potarła ręką szyję. Starła się nie myśleć o tym, jak Eric masował jej kark, o cudownej błogości, jaką wtedy czuła, ale chyba łatwiej byłoby jej włamać się do siedziby FBI w Quantico, niż usunąć Erica ze swojej pamięci.

Ostatni raz rozmawiała z nim wczoraj wczesnym popołudniem. Dziś poszedł do pracy, ale przełożeni poprosili go, by wrócił do domu. Obecność dziennikarzy, którzy towarzyszyli mu na każdym kroku, może jedynie zaszkodzić interesom. Dopóki nie odbędzie się proces i nie znikną wątpliwości co do jego udziału w kradzieży, lepiej będzie, aby jak najmniej rzucał się w oczy.

Przypomniała sobie irytację w głosie Erica. Prosił Leigh, by się o niego nie martwiła. Że wie, co ma zrobić.

Ona też wiedziała.

Z przedniego siedzenia wynajętego wozu obserwował, jak Leigh Montgomery opuszcza windę i idzie słabo oświetlonym parkingiem w stronę swojego samochodu. Na moment przystanąła, obejrzała się, po czym zdecydowanym krokiem ruszyła szybko przed siebie.

Rano stukot jej obcasów niósł się echem po całym parkingu, po południu jednak zmieniła buty na długie czarne kozaki, które już tak nie stukały.

- Zadaje zbyt wiele pytań - oznajmił kilka godzin temu zwierzchnik mężczyzny z wynajętego wozu. - Mówiłeś, że baba jest nieszkodliwa.

Użył trochę innych słów, ale...

- Nie przejmuj się nią. Sam się wszystkim zajmę.

Długonoga brunetka okazała się trudniejszym przeciwnikiem, niż zakładał. Zignorowała pierwsze ostrzeżenie, jakie jej wysłał, lecz jeszcze z nią nie skończył. Wkrótce i ona, i Jones przekonają się, że w tej grze nie mają żadnych szans.

Ingram też to zrozumie.

- Niczego nie znajdzie - obiecał swemu szefowi. Był pewien, że nikt niczego nie znajdzie. Mało kto wiedział, gdzie szukać odpowiedzi. - Wciąż błądzi.

- Trzeba ją odsunąć od sprawy.



„Jones niewinny” - głosił tytuł z pierwszej strony dzisiejszej „Chicago Tribune”. „Mój klient został niesłusznie oskarżony” - gazeta zacytowała wypowiedź

Leigh Montgomery. Mężczyzna nie spuszczał z niej wzroku; widział, jak Leigh wsiada do toyoty camry i zatrzaskuje drzwi. „On nie jest Achillesem. Nie jest przestępcą. Eric Jones jest niewinnym człowiekiem wytypowanym do odbycia kary za kradzież, z którą nie miał absolutnie nic wspólnego”. Zapaliła silnik; w mroku rozbłyły czerwone światła. „Nie spocznę, dopóki nie oczyszczę go z zarzutów”.

Mężczyzna wrzucił wsteczny bieg, wyjechał z miejsca parkingowego i ruszył za oddalającym się samochodem. Mylisz się, kochana, pomyślał. Nigdy nie oczyścisz Jonesa z zarzutów. Już ja się o to postaram.

Zbliżała się dziesiąta, kiedy Leigh skrzyła w zastawioną samochodami wąską uliczkę na południe od centrum. Z ośmiu widocznych latarni paliła się tylko jedna, a i to słabo. Większość sklepów i punktów usługowych była nieczynna. Mniej więcej w połowie ulicy Leigh zauważyła otwarty Salon Tatuazu; obok z obdrapanego budynku, w którym kiedyś mieściła się apteka, wysypał się na zewnątrz tłum ludzi. Przez otwarte drzwi dolatywała głośna muzyka.

Nie znalazłszy miejsca na ulicy, Leigh wjechała na nieduży placyk. Zanim zgasła silnik i wysiadła z auta, zerknęła ponownie do lusterka. Już nie wyglądała jak elegancka pani mecenas z dobrze prosperującej kancelarii prawnej. Użyła ostrzejszego makijażu, włosy



ściągnęła w koński ogon, elegancki kostium zamieniła na czarne dżinsy, czarny golf i skórzany żakiet. Dopelnieniem stroju były czarne buty za kostkę.

Zadowolona, że nie będzie odstawała od bywalców dzielnicy, sięgnęła po pojemnik z gazem łzawiącym, po czym włączyła komórkę. Była w tej części miasta już kilkakrotnie i nigdy nie miała kłopotów, ale wolała się zabezpieczyć.

Przypomniała sobie słowa Erica: wieczorami takiej pięknej kobiecie zawsze ktoś powinien towarzyszyć. Serce zabiło jej mocniej. Psiakość! To niesprawiedliwe, pomyślała. W ciągu tych dziesięciu lat powinna się była wyleczyć z Erica, a nie tęsknić za nim, marzyć o wspólnym życiu, pożądać go.

Tak się nie stało. Po rozstaniu, by nie zwariować z bólu, w miarę skutecznie stłumiła w sobie pragnienia i tęsknoty. Ale one nie znikły, nawet nie osłabły. Z każdą minutą, jaką teraz spędzała w towarzystwie Erica, dawne uczucia odżywały z coraz większą siłą.

Niestety, potrafiła przewidzieć koniec. Wiedziała, że z chwilą, gdy zdradzi Ericowi swój sekret, kiedy powie mu o jego synu, o wnuku, którego Susan Jones nigdy się nie doczekała, ostatnia szansa na miłość zgaśnie jak płomyk podczas wichury.

Trudno; widać tak nam jest pisane, tłumaczyła sobie w duchu. Teraz liczy się jedno: aby Eric nie spędził reszty życia w więzieniu. Miała jasno wytyczone cele. Oczyszczyć go z zarzutu kradzieży, dopaść tych drani, którzy usiłowali ją nastraszyć. A przede wszystkim zwalczyć pożądanie, jakie wzbudzał w niej sam widok Erica.

Jest jej klientem. Właśnie tak powinna o nim myśleć. Jak o kliencie, nie jak o byłym kochanku, nie jak o mężczyźnie, z którym się kochała, nie jak o ojcu

Connora. Te wszystkie określenia były zbyt osobiste, zbyt bolesne.

Westchnąwszy ciężko, otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu. Noc była parna. Przejeżdżająca nieopodal kolejka naziemna zagłuszała dźwięki muzyki jazzowej. Na czystym bezchmurnym niebie świecił jasno-pomarańczowy księżyc w pełni, który wyglądał jak wielka ognista kula.

Bądź tu, błagam...

Modląc się w duchu, opuściła ciemny placyk. Bądź tu. Nagle przystanęła i wyczuła słuch. Instynktownie wsunęła rękę do kieszeni opiętych džinsów.

Ktoś ją obserwuje. Czeka. Wyraźnie to czuła. Nie okazuj strachu, upomniała się w myślach. Od Blue Note dzieliło ją parę kroków. Tam będzie bezpieczna. Właściciel lokalu, Charlie Mac, zna ją. Jest przyjacielem Glenna Moore'a. Wiedziała, że przypilnuje, aby nikt jej nie nagabywał. A kiedy będzie chciała wyjść, odprowadzi ją do samochodu.

Ale najpierw musi dotrzeć do klubu.

Mocno ściskając w dłoni pojemnik z gazem, zeszła z chodnika na jezdnię. Za sobą usłyszała cichy szelest. Obejrzała się. Nie było żywego ducha. Jedynie cienie poruszały się na wietrze. Może,

pomyślała, to tylko kot, który wyszedł na łowy. Albo kawałek gazety toczący się po ulicy.

Próbując dodać sobie otuchy, zbliżyła się do Salonu Tatuazu. Już więcej nie patrzyła za siebie. Dawno temu przekonała się, że nie warto oglądać się wstecz; trzeba zawsze patrzeć przed siebie.

Łatwo powiedzieć. Serce waliło jej młotem. Porysowany samochód i kartka z pogrózkami najwyraźniej wywarły na niej większe wrażenie, niż sądziła.

Napięcie powoli ją opuszczało. Drzwi do Blue Note znajdują się niecałe pięćdziesiąt metrów dalej. Przed Salonem Tatuazu stała grupka młodzieży, trzech chłopaków i dwie rozchichotane dziewczyny, trochę dalej dwóch mężczyzn toczyło zażarty spór.

Za późno usłyszała odgłos kroków. Czyjeś ramię objęło ją w pasie i pociągnęło w stronę ciemnego, zabitego deskami budynku, w którym kiedyś mieściła się tania jadłodajnia.

Wiedziała, że musi coś zrobić: bronić się, próbować oswobodzić, potem rzucić do ucieczki. Grzmotnęła napastnika łokciem w brzuch, po czym z całej siły nadepnęła mu na nogę. Puścił. Błyskawicznie obróciła się, unosząc pojemnik z gazem. I raptem zastygła bez ruchu.

- Ostrożnie - rzekł Eric, kierując pojemnik w dół.

- Przecież nie chcę ci zrobić nic złego.

Przez chwilę nie odzywała się, wreszcie szok ustąpił miejsca złości.

- Ty idioto! - krzyknęła, uwalniając rękę. - Wiesz, jak mnie wystraszyłeś?!

- A wiesz, co ja poczułem, kiedy zobaczyłem, jak skręcasz do tej dzielnicy? - Był nie mniej zdenerwowany od niej. - Cholera jasna, powiedziałaś mi, że masz jakąś pilną sprawę do załatwienia.

- Bo mam - warknęła gniewnie. - Właśnie tutaj.

- Zmrużyła oczy. - Śledziłeś mnie?

Zacisnął zęby.

- Podejrzewałem, że coś knujesz.

- Nie miałeś prawa mnie śledzić. Mogłam psiknąć ci gazem w oczy!

- Nie zmieniaj tematu, Leigh - powiedział, zabierając jej pojemnik. - Nie powinnaś tu przyjeżdżać. Nie wolno ci ryzykować.

- Jesteś moim klientem, a nie ochroniarzem czy przyzwoitką.

Tak szybko, że nawet się nie zorientowała, co się dzieje, przygwoździł ją do ściany budynku. Czowała żar bijący z ciała, słyszała bicie jego serca, widziała błysk w oczach.

- Klientem? - spytał cicho, zbliżywszy usta do jej ucha. - Ochroniarzem? Przyzwoitką? Naprawdę myślisz o mnie w tych kategoriach?

Sama nie wiedziała, co ma myśleć. Kiedy stał tak blisko, że czuła każdą wklęsłość i wypukłość jego ciała, kiedy patrzył na nią takim wzrokiem, że przenikały ją dreszcze, traciła zdolność logicznego myślenia.

- Eric, proszę...

- O co prosisz?

Obejmij mnie, pocałuj! - miała ochotę zawołać.

- Puść mnie.

- Nie mogę. - Przysunął się jeszcze bliżej. - Nie rozumiesz?

Wciągnąłem cię w bagno. W coś, od czego powinnaś trzymać się z daleka. Nie chcę, żeby spotkała cię krzywda. Nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

Nogi miała jak z waty. Gdyby do niej nie przywierał, pewnie osunęłyby się na ziemię.

- Jestem dorosła - oznajmiła twardym tonem. - W nic mnie nie wciągnąłeś. - Zawahała się, po czym popatrzyła mu prosto w oczy. - Robię to, na co mam ochotę. Zawsze. Teraz też - dodała ochryple.

Przez moment milczał, jedynie świdrował ją wzrokiem. Nieopodal rozległ się pisk opon, ryk klaksonu. Nie zwrócili na to uwagi. Nie odrywając oczu od twarzy Leigh, Eric uniósł rękę i wsunął ją w ciemne, zaczesane do tyłu włosy.

- Boże, dopomóż - szepnął, przywierając ustami do jej warg.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Chociaż nie protestowała, wiedział, że nie powinien tego robić. Że to nieodpowiednia pora i miejsce. Ale nie mógł się powstrzymać.

Od dziesięciu lat Leigh istniała wyłącznie w jego wspomnieniach. Pamiętał tę jedną noc, kiedy ich usta się zetknęły i ciała zwały w gorącym uścisku. Przez dziesięć lat wmawiał sobie, że namiętność, jakiej doświadczyli, była wynikiem splotu okoliczności, potrzeby rozładowania stresu i napięcia. Przez dziesięć lat się okłamywał, nie chciał spojrzeć prawdzie w oczy.

Uważał Leigh za swoją przyjaciółkę, ale wspólne zajęcia, wspólna nauka, wspólne pizze i kawa, gra w pokera, rozmowy i żarty - wszystko to sprawiło, że więź, która ich łączyła, stawała się coraz głębsza. Walczył z uczuciem. Mimo że Leigh pociągała go fizycznie, traktował ją jak młodszą siostrę. Widział rozczarowanie w jej oczach, ale się tym nie przejmował. Przecież życie miał spędzić z Becky. Nawet gdyby Becky tak bardzo go nie potrzebowała, to istniały sztywne przepisy zabraniające wykładowcom wdawania się w romanse ze studentkami. Gdyby któryś z profesorów zaczął podejrzewać, że łączy go z Leigh coś więcej niż przyjaźń, przypuszczalnie zostałby wyrzucony z uczelni.

Ale nikt niczego nie podejrzewał. Przez długi czas nawet on sam nie zdawał sobie sprawy z własnych uczuć. Przekonał się o nich tamtej nocy, kiedy zrozpaczony po śmierci ojca, przestał się kontrolować. Kiedy przekroczył granicę.

- Leigh - szepnął, całując ją raz po raz.

Napierał na nią mocno, badał rękami jej ciało. Pamiętał, jak dziesięć lat temu reagowała na jego dotyk, jak zaciskała nogi na jego biodrach...

Tak bardzo jej znów pragnął. Całe życie czekał na tę chwilę. Dziesięć lat temu kodeks etyczny, przepisy, obowiązki i poczucie odpowiedzialności stały im na przeszkodzie. Teraz nie stało nic. Byli wolni.

Chciał ją całować, czuć smak jej warg. Zamiast tego ujął jej twarz w dłonie i odsunął się. Patrzył. Jedyne patrzył. Starał się przekonać, że to naprawdę ona - osoba z krwi i kości, a nie wytwór jego fantazji. Włosy miała długie, rozczochrane, oczy lśniące, spojrzenie zdziwione, usta wilgotne, lekko nabrzmiałe od pocałunku.

- Leigh - powtórzył cicho. - Nie pozwolę, aby stała ci się jakakolwiek krzywda.

Nie zamierzał zmarnować szansy; kolejna mogła się już nigdy nie nadarzyć. Przyciągnęła go do siebie i tym razem to ona zamknęła mu usta pocałunkiem. To ona tuliła się do niego, pieściła go, sprawiała wrażenie, jakby chciała się złączyć z nim w jedno.

- Eric, Eric... - powtarzała szeptem.

Wsunął nogę pomiędzy jej uda. Była rozgrzana, gotowa. Dyszała ciężko. Zacisnął rękę na jej piersi.

- Jesteś niesamowita, przepiękna... - mówił, obsypując ją pocałunkami. - Już nigdy cię nie puszczę.

Nagle poczuł, że Leigh przestaje reagować. Już nie obejmowała go, nie pieściła, nie oddychała ciężko.

- Hej? Małeńka? - Zaskoczony odchylił się, żeby spojrzeć jej w oczy.

Patrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem. Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Leigh? - Korciło go, by delikatnie pogłodzić ją po policzku, ale bał się. - Co ci jest? Źle się czujesz?

- Nie. Tak. - Przyłożyła rękę do ust, jakby chciała powstrzymać łkanie, po czym oswobodziła się i na chwiejnych nogach wyszła z mrocznego zaułka na oświetlony księżycem chodnik. - Nie możemy. Nie powinniśmy.

Przestraszyły go jej słowa, lecz bardziej od nich przeraził wyraz jej twarzy.

- Mylisz się. Możemy - zaproponował łagodnie. - Zawsze była między nami chemia. Zawsze coś do siebie czuliśmy, coś więcej niż przyjaźń. Chyba nie zaprzeczysz?

Smutny uśmiech osiadł na jej wargach.

- Nie, nie zaprzeczę. To uczucie było jednak zabronione.

- Ale teraz nie jest.

W jej oczach zalśniły łzy.

- Jest. W dalszym ciągu.

- Mylisz się, kochanie - powtórzył cichym, kojącym głosem.

Doskonale rozumiał jej wahania i obawy. Ma prawo mu nie ufać. Ale przecież przed chwilą drżała z pożądania. - Oboje jesteśmy dorosłymi



ludźmi, którzy nikogo nie muszą pytać o pozwolenie. Ja pragnę ciebie, a ty mnie. - Najlepszym tego dowodem były namiętne pocałunki w tym ciemnym zaułku, które nie wiadomo czym by się skończyły, gdyby Leigh nagle się nie opamiętała - Nie mamy mężów, żon, partnerów...

I wtem go olśniło. To, że Leigh nie nosi obrączki, nie znaczy, że jakiś szczęściarz nie zawładnął jej sercem.

- O to chodzi, tak? - spytał przerażony, że może być za późno. Że może w domu ktoś na nią czeka. Że może będą się w nocy kochać, podczas gdy on, Eric, będzie leżał w pustym łóżku i za nią tęsknił. - Nie jesteś sama? Masz kogoś?

Otarła łzę, która spływała jej po policzku.

- Niestety, to nie jest takie proste - szepnęła. - Tylu rzeczy o mnie nie wiesz.

- To mi powiedz - poprosił, gładząc ją lekko po szyi.

Odsunęła się.

- Nie, błagam. Nie dotykaj mnie. - Głos się jej załamał. - Nie możesz. Nie wypada...

- Ależ wypada. Wypada i bardzo tego pragnę. Bardzo cię pragnę.

- Jesteś moim klientem - oznajmiła z niespodziewaną siłą.

Wzięła głęboki oddech i podniosła wzrok. Na oczach Erica przemieniła się z namiętnej kobiety w chłodną i opanowaną. -

Prawnikowi nie wolno się zadawać z klientami. To wbrew etyce zawodowej. -Poprawiła żakiet, tak by zakrył jej piersi. - Jak widzisz, wciąż są zakazy.

- Ale nie muszą - rzekł. - Zresztą wkrótce one znikną.

- Może - przyznała - ale nie wybiegajmy myślą naprzód. Na razie wiem jedno: dopóki się ta sprawa nie zakończy, nie mogę się w nic angażować. I nie mogę pozwolić, aby cokolwiek, przeszłość lub terażniejszość, zaważyło na mojej ocenie rzeczywistości. Muszę pozostać bezstronna.

- Dasz radę, Leigh? - spytał, świadom, że on sam nie potrafiłby być obiektywny, gdyby chodziło o nią. - Pozostać bezstronna?

Czuła jego bliskość każdą komórką swego ciała. Nie, w stosunku do Erica nie potrafiła zachować bezstronności, traktować go tak samo jak Jake'a, Matta czy Ethana. Nie umiała zapomnieć o tym, że się kochali, że urodziła mu syna, że w swoich snach często pieściła go, całowała, a potem budziła się zlaną potem.

- Leigh? - Jego głos, głęboki i zmysłowy, wyrwał ją z zadumy. - Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Czy dasz radę pozostać bezstronna?

- Muszę. Nie mam wyjścia - odparła. Wiedziała, że jeśli będzie słuchała serca, a nie rozumu, Eric może trafić do więzienia i Connor nigdy nie pozna swojego ojca.

Pogładził ją palcem po policzku.

- Czy mam rozumieć, że gdybyś nie podjęła się mojej obrony, to byś pozwoliła się całować? Pozwoliłabyś, żebym cię zabrał do mojego mieszkania...?

Nie oddychała. Gdyby ją w tym momencie dotknął, przytulił, nigdzie by nie pojechali. Kochaliby się tu i teraz, w tym zaułku...

- Leigh? - Ujął ją za brodę. - Czy może chodzi o przeszłość? O tamtą noc?

Przeszył ją dreszcz. Ericowi należy się odpowiedź. Ale co mogła mu powiedzieć? Że owszem, chodzi o przeszłość, ale również o terażniejszość i przyszłość? Że się boi? Że marzy o tym, by znaleźć się w jego ramionach, ale nie chce znów być porzucona? Bo przecież tak się stanie. Kiedy Eric dowie się o istnieniu syna, zniechęci ją za to, że tak długo ukrywała przed nim prawdę.

Westchnął ciężko.

- Wiesz, nigdy sobie nie wybaczyłem tamtej nocy - powiedział cicho. - Wielokrotnie odtwarzałem wszystko w głowie, minuta po minucie, i zastanawiałem się, co wtedy we mnie wstąpiło? Jak mogłem być takim draniem?

Wierzyła mu. Ona też odtwarzała w myślach każdą sekundę. O ile jednak ona miała cudowne wspomnienia, on odczuwał żal i złość na samego siebie.

- Wcale nie byłeś draniem. - Uśmiechnęła się, próbując ukryć ból.

- Akurat! - Oparł ręce o ścianę budynku, ponownie odcinając Leigh drogę ucieczki. - Jesteś ostatnią osobą na świecie, którą chciałbym skrzywdzić, a jednak to zrobiłem.

- Przestań, Eric. Skrucha, wyrzuty sumienia... jakie to ma teraz znaczenie? Od tamtej nocy minęło wiele lat. Życie toczy się dalej.

Utkwił spojrzenie w jej twarzy.

- To prawda - przyznał. - Twoje życie, Leigh... czy było szczęśliwe? Czy gdybyś mogła, cokolwiek byś w nim zmieniła?

Z całą pewnością. Nie to, że kochała się z Erikiem i urodziła mu syna, ale to, że Eric zawsze traktował ją po przyjacielsku, że rano wyjechał do Cloverdale i już nigdy do niej nie wrócił.

- Przeszłości nie da się zmienić - odparła. - W tym tkwi problem. - Zamilkła na moment. - Wielu rzeczy o mnie nie wiesz. Takich, które mogłyby wpłynąć na twój stosunek do mnie.

- Nie wierzę.

Powiedz mu, usłyszała wewnętrzny głos. Powiedz. Nie mogła. Nie dzisiaj. Nie dopóki wisi nad nim prokuratorski topór.

- Kiedy patrzysz na mnie, widzisz dziewczynę, którą znałeś dziesięć lat temu. Ale już nią nie jestem. Ona od dawna nie istnieje.

Przestała istnieć, kiedy on poślubił Becky.

- Mylisz się, kotku - rzekł, uśmiechając się łagodnie. - Kiedy patrzę na ciebie, widzę piękną, inteligentną kobietę, którą chciałbym poznać znacznie lepiej.

Ona zaś, patrząc na niego, widziała chłopca, którego kiedyś kochała, widziała mężczyznę, w którego objęciach pragnęła się znaleźć, widziała klienta niewinnie oskarżonego o przestępstwo, za które na wiele lat mógł trafić do więzienia. Lecz przede wszystkim widziała ojca swojego syna.

- Potrzebujemy czasu, Eric.

- Nie wiadomo, czy będziemy go mieć – zauważył kwaśno. -  
Jeśli nie wydarzy się cud, może się okazać, że najbliższe dwadzieścia lat spędzę za kratkami.

Nie, tak się nie stanie. Nie zamierza do tego dopuścić. I dlatego musi zachować obiektywizm. Może przez resztę życia Eric będzie ział do niej nienawiścią, ale nie będzie siedział za przestępstwo, którego nie popełnił.

- Przydałaby ci się odrobina wiary w moje umiejętności -  
stwierdziła lekkim tonem.

Uśmiechnął się kwaśno.

- Wybacz, ale jakoś trudno mi uwierzyć w to, że odniesiemy sukces.

- Musisz zmienić nastawienie - rzekła, starając się skupić uwagę na bieżących sprawach. - Obalimy zarzuty i wygramy. Zobaczysz. Bez względu na to, co piszą w gazetach, wszystkie dowody przeciwko tobie są poszlakowe, a takie bez trudu można skompromitować. -  
Odgarnęła włosy z twarzy. - Jest tylko jeden sposób, żeby pokonać hakera. Trzeba skorzystać z usług innego.

Zmrużył oczy. W Leigh wstąpiła nowa siła.

- Może nie mamy dostępu do twojego komputera, ale każdy zostawia jakieś ślady w cyberprzestrzeni. Nawet taki geniusz jak Achilles.

- Ślady, które FBI przeoczyło?

- Ślady, których FBI nie szukało, skoro miało już dowody przeciwko tobie. - Ujęła go za łokieć i wolnym krokiem ruszyła przed siebie. - Ale my je znajdziemy.

- Jak?

- Z pomocą Haka. Chłopak nazywa się Henry Crance, ale nosi ksywę Hak, od hakera. Potrafi włamać się w każdy system. Musimy tylko go odnaleźć.

Nie odnaleźli Haka, przynajmniej nie w obskurnym klubie jazzowym, w którym najczęściej spędzał wieczory. Czekali kilka godzin, po czym wreszcie się poddali. Zostawili jedynie prośbę, żeby się z nimi skontaktował.

Odezwał się nazajutrz, około trzeciej po południu.

- Oczywiście dokładnie śledzi całą sprawę - poinformowała wieczorem Erica. Wcześniej była w sądzie. - Obiecał, że poszpera w komputerach Banku Światowego i da nam znać, jeśli zauważy coś ciekawego.

Eric odwrócił się od okna.

- Naprawdę jest taki dobry?

- Tak - potwierdziła Leigh. - To przerażające, co taki dzieciak potrafi.

Eric pokręcił głową.

- Potem okaże się, że Achillesem jest jakiś pryszczaty małolat z Des Moines, który z nudów bawi się komputerem ojca.

Wzruszyła ramionami. Eric podszedł do minibaru stojącego w rogu gabinetu.

- Masz na coś ochotę?

- Nie, dziękuję.

Nalał sobie szklankę wody mineralnej.

- Wspomniałaś o innych śladach...

- Hakowi najbardziej by się przydał twój laptop, ale...

- Ale ma go FBI. I FBI na pewno nie będzie szukało dalszych śladów, skoro prezydent nalega, żeby jak najszybciej aresztować winnego.

Miał rację. Wszystkim się spieszyło.

- Słuchaj, a Matt i Ethan? Nie mogliby pomóc? Mają rozległe znajomości.

Eric wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Założę się, że któregoś pięknego dnia Matt zostanie prezydentem i mianuje Ethana szefem CIA.

Leigh poczuła, jak opuszcza ją napięcie. Taki scenariusz jest całkiem realny. Matt pracuje w Białym Domu, a Ethan zawsze mętnie odpowiada na pytania dotyczące tego, czym się zajmuje. Hm, jeżeli ktokolwiek ma znajomości w FBI i może prosić o dokładne sprawdzenie komputera Erica, to tylko ci dwaj, Matt Tynan i Ethan Williams.

- Kiedy ostatnio z nimi rozmawiałaś? Opróżnił szklankę jednym haustem.

- Kilka miesięcy temu. Nagrali mi się na sekretarkę po moim aresztowaniu, ale... - Zmarszczył czoło. - Nie oddzwoniłem. Co miałbym im powiedzieć?

- Wiedzą, że jesteś niewinny. Dzwonili, żeby oferować ci wsparcie.

Tak jak je oferowali po śmierci jego ojca. Leigh zadzwoniła do nich po tym, jak Eric otrzymał wiadomość z Cloverdale. Przybyli natychmiast. Jake próbował załatwić bilet lotniczy dla Erica, a pozostali po prostu swoją obecnością starali się dodać mu otuchy. Eric był w szoku; to on zawsze wybawiał przyjaciół z kłopotów, a nagle role się odwróciły. Nie potrafił sobie z tym poradzić.

Teraz też nie potrafił ani prosić o pomoc, ani jej przyjąć. Na szczęście Leigh się tym nie przejmowała. Wiedziała, co ma robić, i to robiła.

- Może byśmy zjedli razem kolację, co? - spytała. - Padam na nos i na myśl o tym, że miałabym cokolwiek gotować, robi mi się niedobrze.

Odstawił szklankę na stół.

- Świetnie. Proponuję Chez Paul's. Albo Harry Carry's, jeśli wolisz włoskie jedzenie.

Ślinka napłynęła jej do ust, Leigh jednak miała inne plany.

- Bo ja wiem? - Spojrzała na zegarek. - Prawdę mówiąc, nie chce mi się znów być w centrum uwagi.

Zaraz zbiegliby się reporterzy, ludzie przystawaliby, wskazywaliby Erica palcem. Ale to nie był jedyny powód, dlaczego nie chciała jeść w miejscu publicznym. Marszcząc czoło, rozejrzała się po swoim gabinecie.



- Te ściany wychodzą mi już bokiem. Może byśmy pojechali do ciebie?

- Do mnie? Do mojego mieszkania?

Słyszała zdziwienie w jego głosie, widziała błysk radości w oczach. Przez moment czuła wyrzuty sumienia. Po wczorajszych pocałunkach pewnie liczył na to, że będą kontynuować pieśczoty w bardziej komfortowych warunkach. No cóż, rozczaruje się.

- Moglibyśmy zamówić pizzę - rzekła, - Albo coś od Chińczyka. I omówić parę ważnych kwestii.

Jego oczy płonęły gorącym blaskiem;

- Jakich kwestii? - spytał.

Całą wczorajszą noc rozmyślała o jego ustach i rękach, odtwarzała w myślach każdy dotyk i spojrzenie. Nie pamiętała o bólu i kłamstwach, po prostu marzyła o tym, by znaleźć się w ramionach Erica. Wydawało jej się, że już dawno wyrzuciła go z serca, ale to nieprawda. Nie pozbyła się go, jedynie nauczyła się ignorować pragnienia i tęsknotę. Otrząsnąwszy się z zadumy, wróciła do jego pytania.

- Musisz mi dokładnie opowiedzieć o swoim aresztowaniu. O tym, jak się agenci zachowywali, co mówili. Chciałabym przedstawić Hakowi jak najpełniejszy obraz.

- Jasne. - Uśmiechnął się promiennie.

Zakochała się w jego uśmiechu jeszcze przed pierwszym wykładem. Zwlokła się z łóżka bladym świtem, by zdążyć na zajęcia. Weszła do sali wykładowej, pewna, że się wynudzi, ale zobaczyła

Erica Jonesa w świeżej białej koszuli i spodniach khaki. Uśmiechnął się, a jej serce zabiło mocniej. I od tamtej pory waliło jak oszałałe.

- Panie Jones, kiedy pan wreszcie przerwie milczenie? Jest pan winny czy nie?

- Bez komentarza - warknął Eric. Trzymając Leigh za rękę, przeciskał się przez tłum dziennikarzy czekających na dole przed jego budynkiem.

- Wystarczy nam krótkie oświadczenie. Niczego więcej nie chcemy.

- Co ma przeciwko panu FBI? Przekręciwszy klucz w zamku, pchnął drzwi, po czym szybko je zamknął, zanim dziennikarska horda zdołała się wcisnąć za nim i Leigh do środka.

- Boże, istny cyrk.

- Niedługo im się znudzi - powiedziała Leigh. -Znajdą sobie inny temat.

Zaklął pod nosem. Jego sąsiedzi byli zdumiewające wyrozumiali, ale wiedział, że ich cierpliwość się skończy. Jego własna była na wyczerpaniu. Przedstawiciele mediów i agenci FBI chodzili za nim krok w krok. Badali każdy najdrobniejszy aspekt jego życia.

W drodze na górę milczał. Leigh również. Nie puszczając jej dłoni, wsunął klucz do zamka, ale go nie przekręcił. Stali w mrocznym holu, nie odzywając się do siebie. Po raz pierwszy, odkąd na nowo pojawił się w jej życiu, Leigh chce wejść do jego mieszkania. Być z nim sam na sam. Pamiętał jednak, co mu mówiła wczoraj. Że

jest jego obrońcą, a on jej klientem. Że obowiązują ją pewne zasady etyczne.

Przyjechali tu, ponieważ była zmęczona. I ponieważ przeszkadzało jej, że w miejscach publicznych wszyscy się na nich gapią.

Nie rób sobie żadnych nadziei, powtarzał w myślach. Otwórz drzwi, wejdź do środka, zamów pizzę...

Ale kiedy spojrzał na Leigh, kiedy zobaczył jej rozchylone wargi, lśniące oczy, włosy opadające na ramiona, rozsądek go opuścił.

Zawsze uważał, że jest piękną kobietą, ale o ile jego kumple nie mogli się nachwalić jej długich, zgrabnych nóg, on na pierwszym miejscu stawiał jej oczy. Duże, piwne, o długich rzęsach. Oczy, z których wyzierał głód wiedzy, głód życia. Teraz dostrzegał w nich dziwną mieszaninę siły i delikatności, strachu i determinacji. Jakby perspektywa wejścia do jego mieszkania podniecała ją, a zarazem napawała przerażeniem.

Ogarnęła go złość na samego siebie. Dał Leigh wyraźnie do zrozumienia, że pragnie, aby ich relacje stały się bliższe, ale nie chciał wzbudzać w niej lęku. Pragnął, aby wchodząc do jego mieszkania, czuła to samo co on: radosne oczekiwanie.

- Leigh... - Odgarnął jej kosmyk za ucho. - Jesteś pewna? - Nie umiał odczytać wyrazu jej oczu.

- Przecież sama zaproponowałam - odrzekła. Delikatnie musnął palcem jej usta.

- Gdybyśmy wczoraj byli tu, a nie na ulicy, wylądowalibyśmy w łóżku, wiesz?

Tym razem dojrzał w jej oczach żal i tęsknotę. Odsuwając jego dłoń twarzy, Leigh uśmiechnęła się smutno.

- Nie przyjechałam tu, żeby się z tobą kochać, Eric. Oboje jednak wiedzieli, że prędzej czy później to nastąpi.

- Jestem cierpliwy. - Ich wczorajszy pocałunek nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jej uczuć. - Nie zamierzam cię ponaglać. Po prostu chcę, żebyś wiedziała, że już nigdy nie wyrządę ci krzywdy. Że już nigdy przeze mnie nie będziesz cierpiała.

- Coś bym wypła - oznajmiła dziwnie ochryłym głosem. - Strasznie tu gorąco.

Odwróciwszy się, Eric przekreślił klucz w zamku i otworzył drzwi do swojego królestwa.

- Zapraszam...

Weszła do środka i rozejrzała się z zaciekawieniem. Hol łączył się z dużym salonem wyposażonym w nowoczesny telewizor, sprzęt grający, skórzaną kanapę i wygodny rozkładany fotel z podnóżkiem, który Eric kupił sobie na pocieszenie po rozwodzie. Ściany były białe, bez zbędnych dekoracji; jedynie naprzeciwko telewizora wisiały oprawione w ramki dwie grafiki przedstawiające chicagowski stadion baseballowy Wrigley Field. Na starej drewnianej skrzyni, która służyła za stół, leżały porzucane pisma i książki - gdyby Eric wiedział, że wróci do domu z Leigh, pewnie by je posprzątał, ale przynajmniej nigdzie nie walały się puszki po piwie ani torby z

resztkami jedzenia. Co jeszcze zobaczyła? Wysoki sufit - pamiętała, że zawsze takie lubił - zdobiony białą sztukaterią, piękne drewniane podłogi oraz duże, pozbawione zasłon okna, przez które wpadały ostatnie promienie słońca.

- Przepięknie - oznajmiła, wchodząc głębiej. Zerknęła w stronę kuchni i uśmiechnęła się. - Pasuje do ciebie.

- Rozgość się. - Wskazał ręką kanapę. - Czy oprócz szklanki wody mógłbym ci zaproponować kieliszek wyśmienitego cabernet, które...

- Polecam osiemnastoletnią whisky marki Glen Morangie... - rozległ się głos za jego plecami.

Eric odwrócił się, gotów do odparcia ataku. Widok, który ujrzął, sprawił, że otworzył ze zdumienia usta.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Trzech wysokich, dobrze zbudowanych mężczyzn, w których oczach lśniła determinacja, leniwym krokiem, z nonszalancją, jakby mieszkanie należało do nich, wyłoniło się z kuchni.

- No, czas najwyższy. - Matt Tynan, krótko ostrzyżony brunet o zawadiackim spojrzeniu, wyglądał stanowczo za młodo jak na doradcę prezydenta. - Już myśleliśmy, że będziemy musieli rozpocząć wieczór bez was.

- Nie przejmuj się, Indy. - Uśmiechając się szeroko, Ethan Williams podszedł bliżej i poklepał Erica po ramieniu. Jak zwykle miał koszulę z podwiniętymi rękawami i mokasyny wsunięte na gołe stopy. - Czekaając na ciebie, postanowiliśmy się rozgościć.

- Wiesz, stary - Jake uniósł szklanekę pod światło - te nowe trunki, które pijasz, są o niebo lepsze od tej taniochy, którą kiedyś kupowałeś.

Eric stał oszołomiony wizytą dawnych przyjaciół. Po chwili pokręcił z niedowierzaniem głową. Kiedyś byli nierozłączni; życie traktowali lekko, problemy zbywali śmiechem i wzruszeniem ramion. Wydawało im się, że są dorośli. Wszystko zmieniło się tego dnia, gdy zmarł ojciec Erica. Wtedy naprawdę zaczęli dorastać. Każdy z nich obrał inną drogę - Matt wszedł w świat polityki, Ethana wciągnęły jakieś sprawy międzynarodowe, o których nikomu nie opowiadał, Jake'a zafascynowały finanse - ale ich przyjaźń przetrwała.

- Nie pomyśleliście, łobuzy jedne, że może trzymam tę whisky na specjalną okazję? - spytał ze śmiechem Eric.

- Jasne, że pomyśleliśmy - odparł w imieniu pozostałych Ethan, wyciągając z kieszeni talię kart. -I uznaliśmy, że ta okazja właśnie nadeszła.

Eric patrzył ze wzruszeniem na przyjaciół kręcących się po mieszkaniu; zachowywali się tak jak dawniej, gdy ich największym problemem było przygotowanie się do egzaminów albo rozstrzygnięcie, którą dziewczynę zaprosić na piątkową imprezę. Wiedział, w jakim celu się tu zebrałi. I dlaczego Leigh była taka zdenerwowana.

Skierował na nią wzrok. Stała przy kanapie z tak promiennym uśmiechem, że serce zabiło mu szybciej.

- To dlatego nalegałaś, abyśmy wpadli do mnie?

Przypomniał sobie, co powiedziała tuż przed wejściem do mieszkania: „Nie przyjechałam tu, żeby się z tobą kochać”.

- Mam nadzieję, że nie jesteś zawiedziony? Niewiele się zastanawiając, podszedł do niej, objął

ją w tali i pocałował w usta. Na oczach wszystkich. Może nie przyjechała, żeby się z nim kochać, ale postąpiła wspaniałomyślnie. Zwołując starą paczkę, sprawiła mu cudowną niespodziankę.

- Absolutnie nie - odparł, puszczając ją. Leigh Montgomery mogła go zaskoczyć, ale nie zawieść.

Nieustraszona, walcząca na sali sądowej jak lwica, ochrzczone przez dziennikarzy mianem Barakudy... ta wspaniała kobieta

odwróciła skromnie wzrok. Erica korciło, aby ująć ją za brodę, zmusić, by na niego spojrzała. Ale nie mógł, bo Jake właśnie objął Leigh w pasie i cmoknął w policzek.

- Ależ z niej wyrosła niesamowita laska - zauważył, zerkając na Matta i Ethana.

Eric oderwał oczy od ręki Jake'a w pasie Leigh, powtarzając sobie w duchu, że po pierwsze, on sam nie ma do Leigh żadnych praw, a po drugie, Jake to jeden z jego najlepszych kumpli. To właśnie Jake poinformował go o tym, co zamierza FBI i to on poradził mu, aby zwrócił się po pomoc do Leigh.

- Leigh zawsze była idealna - mruknął. - Była, jest i będzie.

Leigh popatrzyła mu w oczy, po czym przeniosła spojrzenie na Matta i Ethana, którzy tasowali karty.

- Czy ja też mogę dostać buziaka? - spytał Ethan, podchodząc bliżej.

- Hej, 007! Nie zapominaj, że jesteś żonaty - upomniał go żartem Matt.

Ethan dźgnął go łokciem w bok.

- I to mówi facet, który w ciągu ostatnich paru godzin trzy razy dzwonił do narzeczonej? Czego się boisz, stary? Że dziewczyna przejrzy cię na wylot i się rozmyśli?

Leigh uścisnęła ich obu.

- Dzięki, chłopcy, że przyszliście.



- Drobiazg. - Mart mrugnął do niej porozumiewawczo. - Może wreszcie my zdołamy pomóc naszemu har-cerzykowi. Dotąd zawsze on nas wyciągał z opresji.

- Podobno FBI ci depcze po piętach - rzekł z wesołym błyskiem w oku Ethan, wyjmując z kieszeni kubańskie cygaro i wręczając je Ericowi. - Wiesz, mam jednego czy dwóch kumpli, których mógłbym poprosić o pomoc.

- Tych anonimowych, bezimiennych kumpli, którzy tak naprawdę to nie istnieją? - spytał żartem Matt.

W odpowiedzi Ethan wzruszył tylko ramionami.

- Pizza będzie lada moment - ogłosił Jake.

- Tym razem rozgromię Indy'ego! - oznajmił Ethan, kolejno podając każdemu z mężczyzn ogień. - Do dziś nie zapomniałem tych czterystu dwudziestopięciocentówek, które ode mnie wygrał.

- Ja też cię kocham, Con. Bądź grzeczny, słuchaj babci, a ja przyjadę po ciebie za dwa dni.

- Będziesz mi kibicować w sobotę?

- No pewnie! Za nic w świecie nie przegapiłabym twojego meczu.

- Fajnie.

Parę minut później Leigh zakończyła rozmowę i przycisnęła komórkę do serca. Stała na tarasie z widokiem na cichą ulicę w dole. Znad jeziora Michigan wiał lekki wiatr, ale powietrze było ciepłe i wilgotne. Jak to w sierpniu w Chicago. Nie narzekała; wkrótce się ochłodzi.

Może jej uczucia też ostygną?

„Leigh zawsze była idealna. Była, jest i będzie”.

Eric wiedział, jak ją rozpałić. Ale rozpałił ją nie tylko słowem, w tym tkwił problem. Każde jego spojrzenie, każdy dotyk przejmował ją dreszczem. Nic się nie zmieniło. Tak było dawniej i tak jest dziś.

Dziesięć lat temu niełatwo jej było oprzeć się urokowi przystojnego, pewnego siebie młodzieńca. Nieporównanie jednak trudniej było nie ulec dojrzałemu mężczyźnie o niebieskich oczach, który nie krył, czego pragnie.

Zerknęła przez ramię do pokoju, w którym czwórka przyjaciół siedziała przy stole, zaśmiewając się głośno z jednej z barwnych opowieści Matta o życiu w Białym Domu albo z jakiejś fantastycznej przygody Ethana. Widząc ich razem, Leigh poczuła się spełniona. Jakby wreszcie po latach ułożyła ponownie kawałki łamigłówki.

Starając się nie rozkleić, oparła się o ścianę, po czym osunęła na podłogę, tuż obok donicy pełnej geranium. Chciała wyjść zaraz po tym, jak przyniesiono pizzę, ale mężczyźni dosłownie rzucili się do drzwi, własną pierśią zagradzając jej drogę. W dodatku Ethan schował jej kluczyki do samochodu. Musi zostać, oznajmili.

Przez godzinę czy dwie siedziała w rozkładanym fotelu, patrząc, jak drużyna Cubs przegrywa z drużyną Astros i słuchając dowcipnych komentarzy, co rusz przerywanych salwami śmiechu. Unoszący się w powietrzu zapach cygar przypomniawszy jej dawne czasy. W pewnym momencie wyszła na zewnątrz, by zadzwonić do Connora. Strasznie za nim tęskniła. Odkąd się urodził, rzadko się z nim rozstawała.

Codziennie dziękowała Bogu za to, że ma tak fantastycznego syna. Kiedy po ciężkim dniu w sądzie wracała do domu, wystarczył uśmiech chłopca, aby świat znów nabrał jasnych barw.

„Mamusiu, jaki jest mój tata?”

„Podobny do ciebie, kochanie. Mądry, dobry, silny, lojalny. I tak jak ty, grywał na pozycji łącznika”.

Łzy zawisły jej na rzesach. Musi mu powiedzieć. Musi im obu powiedzieć. To nie ulega wątpliwości. Nie była jedynie pewna, jak zareagują na to, co usłyszą. Czy z oczu Connora nie zniknie miłość, a z oczu Erica pożądanie?

- No, jak tam?

Ujrzała za sobą Jake'a. Nawet nie słyszała, jak rozsuwa drzwi balkonowe.

- W porządku.

Zanim zdążyła się podnieść, usiadł przy niej.

- Chciałaś zaczerpnąć świeżego powietrza? Spojrzała na telefon komórkowy, który wciąż ścisnęła w dłoni.

- Tak jakby.

Wybuchy śmiechu, które dobiegały z pokoju, mieszały się z dźwiękami bluesa dochodzącymi z pubu na dole. Leigh uśmiechnęła się rzewnie. Z czwórki mężczyzn najbliższy był jej Eric, ale zaraz po nim Jake. Podejrzewała, że Jake doskonale zdaje sobie sprawę z jej uczuć wobec Erica, ale ani razu nie poruszył z nią tego tematu. Przez chwilę kusiło ją, aby oprzeć głowę na jego ramieniu, jak to robiła podczas studiów. Był dla niej jak starszy brat, którego nie miała:

ciepły, serdeczny, spolegliwy. To niesamowite, pomyślała, że lata mijają, świat się zmienia, ale więzy prawdziwej przyjaźni są trwałe.

- Mam nadzieję, że się na mnie nie gniewasz?

- Ja? Na ciebie? Za co? Zawahał się, zanim odpowiedział.

- Za to, że skierowałem do ciebie Erica. Wolno wypuściła z płuc powietrze.

- Słusznie zrobiłeś - rzekła cicho.

Przez chwilę wpatrywał się uważnie w jej twarz, jakby usiłował coś więcej z niej wyczytać.

- Twój syn, Leigh... czy on...

- Tak. - Kiedyś przed laty przyznała się Jake'owi, że ma syna i ubłagała go, by nikomu o tym nie mówił. Nie wyjaśniła mu, dlaczego to dla niej takie ważne. - Tak - powtórzyła i łzy napłynęły jej do oczu.

Przytulił ją mocno.

- Boże, Leigh. Przepraszam...

Uniosła twarz. Nie próbowała ukryć łez. Była zmęczona ukrywaniem wszystkiego, udawaniem dzielnej i silnej.

- Nie wiedziałam, jak mu powiedzieć. - Głos się jej załamał. - Nie chciałam zniszczyć mu życia.

- Nie zniszczyłabyś.

Ona jednak wiedziała swoje.

- Nie mów mu, Jake. Dobrze? - poprosiła. - Błagam cię. Jeszcze nie teraz.

Popatrzył jej w oczy.

- Oczywiście, Leigh - obiecał. - Nie ode mnie powinien to usłyszeć.

Zrozumiała, co ma na myśli.

- Kiedy skończy się ten koszmar... - Zamilkła, starając się opanować emocje. - Kiedy Eric zostanie oczyszczony z zarzutów, wtedy... wtedy mu powiem.

- Co mi powiesz?

Serce jej zamarło. Odwróciwszy się, zobaczyła Erica ze szklanką wody w ręce i pytaniem w oczach.

- Leigh? - Podszedł bliżej. - Płaczesz? Nie była w stanie wydobyć głosu.

- Co się, do diabła, dzieje? - spytał zaniepokojony.

- Nic. - Jake dźwignął się na nogi i podał Leigh rękę. - Nie przejmuj się, kwiatuszku. Jestem pewien, że Tara i ja wkrótce dojdziemy do porozumienia. - Poglądził Leigh po policzku, po czym uśmiechnął się do Erica. - Ona w ogóle się nie zmieniła. Wciąż się wzrusza, słuchając o naszych problemach miłosnych.

Leigh szybko zorientowała się, co jest grane. Odetchnąwszy z ulgą, poklepała Jake'a po ramieniu.

- Koniecznie do niej zadzwoń. Jak tylko wrócisz do domu - poinstruowała go. - Przepróż ją. Błagaj o wybaczenie.

W oczach Jake'a pojawił się dziwny wyraz.

- Gdyby to było takie proste...

Zdała sobie sprawę, że on również ma problemy.

- Czasem to jedyne, co możemy zrobić - powiedziała. -

Przeprosić osobę, którą skrzywdziliśmy. Przeszłości nie zmienimy, choćbyśmy bardzo chcieli.

- Ja obawiam się o przyszłość.

Zacisnęła powieki. Niektóre rzeczy były nieuchronne. I czasem nie sposób było zawrócić z obranej drogi.

Eric przeniósł spojrzenie z Jake'a na Leigh i z powrotem na Jake'a.

- Co, wciąż masz kłopoty z Tarą? Jake przeczesał ręką włosy.

- Miała nadzieję, że skoro odsunięto mnie od dochodzenia, to wrócę do domu i ustalimy datę ślubu. - Wykrzywił wargi w ironicznym uśmiechu. - Ona nie rozumie, że nie mogę wszystkiego rzucić, po prostu otrzepać rąk i zapomnieć o całej sprawie.

- Widocznie nie zna cię tak dobrze jak my - stwierdziła Leigh. Zastanawiała się jednak, czy napięcie malujące się na twarzy Jake'a rzeczywiście ma związek z kobietą, której się oświadczył. - Gdyby знаła, wiedziałyby, że nie zostawisz przyjaciela w potrzebie.

Jake zamyślił się; zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, na taras wyszli Matt z Ethanem.

- Mówiłem ci, że się nas boją - oznajmił teatralnym szeptem Matt i z uśmiechem, na widok którego dziewczyny na studiach mdlały, zwrócił się do Erica i Jake'a: - No co, mięczaki? Chyba nie chcecie po raz kolejny przegrać z mistrzem Mattem?

Przez chwilę panowała cisza, po czym obaj mężczyźni, do których skierowane były te słowa, ryknęli śmiechem.

- Zdaje się, że nasz przyjaciel ma bardzo selektywną pamięć - zauważył Eric.

- Albo to, albo alkohol szybciej uderza mu do głowy niż dawniej - stwierdził lekkim tonem Jake.

- Dobra, dobra. Akurat dlatego, że mnie alkohol uderza do głowy, wy dwaj uciekliście z kuchni?

- Uciekliśmy, bo zaczęły nas mdlić te wasze peany na cześć Kelly i Carey. Poker to gra, przy której się klnie, a nie wzdycha za ukochaną.

Leigh z trudem powstrzymała śmiech. Słuchając przekomarzań i żartobliwych docinków, miała wrażenie, że czas stanął w miejscu. Cieszyła się, że mimo upływu lat i różnych zainteresowań ich przyjaźń przetrwała.

Cieszyła się też, że wpadła na pomysł zaproszenia chłopaków na partyjkę pokera. Czterej muszkietierowie, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Kiedy Eric zostanie oczyszczony i wszystko wróci do poprzedniego stanu, Ethan, Matt i Jake nadal będą przy nim tkwić - przyjaciele na dobre i na złe.

- Zobaczysz, następnym razem przegrasz. Masz to jak w banku!

Stojąc w otwartych drzwiach, Eric roześmiał się wesoło. Ethan od dziesięciu lat zapowiadał, że następnym razem go pokona. Jeszcze ani razu mu się nie udało.

- Jasne, 007. Marzyć każdemu wolno.

- Leigh śpi jak zabita - oznajmił Matt, dołączając do przyjaciół. - Nie miałem sumienia jej budzić. Ucałuj ją ode mnie.

Eric zerknął na zewnątrz. Kiedy weszli do środka, żeby rozegrać jeszcze jedną partyjkę pokera, Leigh została na tarasie. Wyciągnięta wygodnie na leżaku, wpatrywała się w gwiazdy na niebie. Musi z nią porozmawiać. Podszuchawszy kawałek jej rozmowy z Jakiem, zorientował się, że jemu, Ericowi, Leigh nie do końca ufa; że Jake'owi potrafi się zwierzać, a jemu nie.

Wtedy na tarasie płakała. Przez niego.

- Żałuję, że ją w to wciągnąłem - powiedział do przyjaciół. - Z mojego powodu niepotrzebnie się naraża.

- Dziwi cię to? - spytał Ethan. - Długonogiej nigdy nie brakowało odwagi.

Długonoga. Dziesięć lat temu Eric wybuchnął złością, żądając od przyjaciół, aby nie mówili w jego obecności o Leigh. Od tamtej pory nie słyszał określenia Długonoga, które Matt z Ethanem nadali pięknej studentce na cześć jej wspaniałych nóg.

- Boję się o nią. Już raz dostała list z pogrózkami. - Opowiedział przyjaciółom o porysowanym samochodzie i kartce za wycieraczką. - Jeżeli ci dranie chociaż tkną ją palcem, to przysięgam, że gorzko tego pożałują. I wówczas trafię za kratki nie za kradzież, lecz za...

- Nie trafisz - przerwał mu Jake.

- Z samego rana zadzwonię do paru osób - dodał Ethan - i poproszę o dokładne sprawdzenie twojego laptopa.

- Ja też poruszę niebo i ziemię - obiecał Matt. Eric uśmiechnął się szeroko. Był oskarżony o skok na bank, rząd naciskał na FBI, by jak najszybciej skazano winnego, dziennikarze nie odstępowali go na



krok, liczył się z perspektywą wieloletniego więzienia, mimo to czuł się największym szczęściarzem na świecie. Miał trzech oddanych przyjaciół, a na jego tarasie spała najcudowniejsza kobieta pod słońcem.

Zmysłowy zapach drzewa sandałowego wdzierał się do jej snu. Ziewając, przeciągnęła się leniwie, po czym otworzyła oczy. Otaczał ją nieprzenikniony mrok, przynajmniej takie odniosła wrażenie; dopiero po chwili, rozglądając się wkoło, zobaczyła przyćmione światło dochodzące z pokoju oraz rysującą się na jego tle sylwetkę mężczyzny.

Serce natychmiast zabiło jej mocniej, senność minęła, wróciła pełna świadomość. Przypomniała sobie radość Erica na widok przyjaciół, żarty, śmiech, znajomy aromat kubańskich cygar oraz swoje zmieszanie, kiedy Eric wyszedł na taras i zastał ją zapłakaną w ramionach Jake'a. Nagle uzmysłowiła sobie, że musiała zasnąć.

- Eric? - spytała głosem ochryplym od snu. Wciąż miał na sobie tę samą koszulę, tyle że podwinął rękawy, oraz jasne džinsy. - Która godzina?

Rozciągnął usta w uśmiechu.

- Dochodzi trzecia. - Wyszedł na taras i usiadł obok na krześle. - Przepraszam, nie chciałem cię budzić.

Podniecała, a zarazem drażniła ją jego bliskość. Starła się nie myśleć o tym, że są sami pod rozgwieżdżonym niebem. Na wszelki wypadek opuściła nogi na podłogę i usiadła.

- Gdzie chłopcy? - Obejrzała się przez ramię.

- Poszli. - Pochylił się i zanim zorientowała się, co robi, pocałował ją w policzek. - To od Marta - rzekł. Następnie całusa złożył na jej czole. - To od Ethana. A to... - przytknął wargi do jej nosa - od Jake'a.

Przeniknął ją dreszcz. Wiedziała, że musi rozładować atmosferę.

- O rany! Nawet nie wiesz, ile dziewczyny na studiach by dały za cztery całusy od czterech najprzystojniejszych facetów na kampusie!

Ugryzła się w język, ale było już za późno.

- Na razie dostałaś tylko trzy - zauważył Eric, po czym wsunąwszy rękę w jej włosy, ponownie zbliżył wargi.

Tym razem nie pocałował jej w czoło, policzek lub czubek nosa, lecz w usta. Delikatnie i czule, bez tej żarliwości co wczoraj. Serce waliło jej jak oszalałe. Korciło ją, aby opaść z powrotem na leżak, pociągnąć ze sobą Erica i kontynuować to, co zaczęli wczoraj.

- Eric...

Nie potrafiła mu się dłużej opierać. Zanim jednak zdołała cokolwiek uczynić, odsunął się. Nie cofnął rąk: jedną nadal obejmował ją w pasie, drugą gładził po włosach.

- A ten? - spytała ochryple.

- Ten czwarty jest ode mnie - odparł szeptem. Wstań, wyjdź, zanim będzie za późno, nakazywał jej wewnętrzny głos. Głos rozsądku. Wiedziała, że powinna go posłuchać, skierować się ku drzwiom, wsiąść do samochodu i odjechać, ale nie była w stanie wykonać ruchu.

- Czy wszystkim prawniczkom w ten sposób okazujesz swoją wdzięczność? - spytała, zdobywając się na lekki ton.

Ponownie rozciągnął usta w uśmiechu, na widok którego ciarki przebiegały jej po plecach.

- Nie, tylko tym, które potajemnie organizują rozgrywki pokerowe.

- Rozumiem.

Wstań, głupia, wyjdź! Znów zlekceważyła wewnętrzny głos. Wpatrywała się w twarz Erica, jakby nie było dziesięciu lat rozłąki, zdrady, tajemnic. Panującą na tarasie ciszę przerywały przyśpieszone oddechy i hipnotyczne cykanie świerszczy.

- Szukałem cię.

Nie musiał nic dalej tłumaczyć; wiedziała, że chodzi mu o sprawy sprzed dziesięciu lat.

- Sam mi kazałeś wyjechać do Oksfordu.

- Ciagle o tobie myślałem - przyznał cicho. ~ Nie zasłużyłaś na to, co cię spotkało.

Poczuła ucisk w piersi. Mur, który z takim mozołem udało jej się wznieść wokół siebie, powoli zaczynał pękać. Nie chciała rozmawiać o przeszłości. Bała się.

- Eric... - Zmieniła nieco pozycję, usiłując zwiększyć dystans między nimi. - Proszę cię. Nie wracajmy do tamtych dni. - Póki jego przyszłość jest niepewna, wolała skupić się na teraźniejszości. - Minęło tyle czasu. Byliśmy przyjaciółmi. Potrzebowałeś pomocy, a ja podałam ci rękę. No i stało się. Po prostu.

Urwała. Zależało jej na tym, by ją dobrze zrozumiał.

Odchrząknęła i po chwili ciągnęła:

- Po to są przyjaciele. Żeby sobie pomagać. Tamtej nocy chciałam z tobą zostać, pocieszyć cię...

Uśmiechając się łagodnie, ujął ją za rękę.

- Ja też chciałem, żebyś została. Potrzebowałem cię. - Nagle spoważniał. - Ale nie myśl, że potem o tobie zapomniałem. Często zastanawiałem się, jak ci się w życiu wiedzie. Pragnąłem, żeby spełniły się wszystkie twoje marzenia.

- Ja również. Żeby spełniły się twoje.

- Wiesz - zacisnął powieki - bałem się, czy nie zaszłaś wtedy w ciążę. Wiele razy o tym myślałem. Wyobrażałem sobie, jak dzwonisz do mnie i mówisz mi, że będziemy mieli dziecko.

Przez moment siedziała zszokowana. W głosie Erica słyszała cały wachlarz emocji, od strachu na myśl o ciąży, po radość i ulgę, że jego obawy się nie sprawdziły. Czy dziecko byłoby tak wielkim nieszczęściem? - miała ochotę spytać.

- Nie zadzwoniłam - rzekła cicho. Nie zadzwoniła, bo nie umiała powiedzieć mu prawdy.

- Ja też nie dzwoniłem - oznajmił ze smutnym uśmiechem. - Chciałem, ale póki byłem żonaty, uważałem, że nie mam prawa.

- Nigdy nie ukrywałeś, że zamierzasz się z nią ożenić - przypomniała mu Leigh. Kiedyś przed laty wysłuchała opowieści o wychowywanej przez matkę dziewczynce, która wprowadziła się do sąsiedniego domu, kiedy Eric miał pięć lat, i o przyjaźni, która z

czasem przekształciła się w młodzińcze zafascynowanie. Często zastanawiała się później, czy Becky zdaje sobie sprawę, jaką jest szczęściarą. - A mnie zawsze traktowałeś jak kumpla.

Pokręcił gniewnie głową.

- Oszukiwałem się. Sądziłem, że to, co łączy mnie z Becky, wystarczy, aby stworzyć udaną rodzinę. Myliłem się.

Nie potrafiła się opanować. Uśmiechając się tęsknie, zacisnęła rękę na dłoni Erica.

- Przykro mi.

Zabrał rękę i przysunął ją do jej policzka.

- Brakowało mi ciebie, Leigh. Twojego uśmiechu, twojej odwagi, determinacji. Ale nie potrafiłem cię znaleźć. Nie mogłem znieść myśli, że cię straciłem, że wyszłaś za mąż i żyjesz u boku innego faceta.

Napotkała jego wzrok.

- Nie wyszłam - rzekła. Nie mogłaby poślubić innego mężczyzny, skoro patrząc na syna, zawsze widziała Erica.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę.

Przywarł ustami do jej ust. Nie miała czasu się odwrócić czy zaprotestować.

- Eric...

- Wiem. - Odsunął się, zanim zdążyła się do niego przytulić. - Powinienem zwolnić tempo.

Usiadł na leżaku, po czym wyciągnął się.

- Połóż się koło mnie - szepnął. - Nie będę cię już więcej całował. Obiecuję. Chyba że sama będziesz chciała.

Gotowa była się założyć, że Eric słyszy łomot jej serca.

- Hm, wydajesz się bardzo pewny siebie - stwierdziła, marząc o tym, by mu ulec. Aby wyciągnąć się obok, poczuć jego ciało...

- Czasem warto podjąć ryzyko.

- Jest strasznie późno. Powinam już iść.

- Jeszcze kilka minut. Proszę.

Była mądrą kobietą. Wiedziała, że nie powinna się zgadzać, bo tylko narazi się na nowy ból. Ale w tym momencie odrzuciła rozum, zdała się na serce. Położyła głowę na piersi Erica i przymknęła oczy.

- Leigh?

Uniosła głowę. Wpatrywał się w jej oczy. „Nie będę cię już więcej całował - powiedział - chyba że sama będziesz chciała”.

Chciała. Strasznie chciała. W tym tkwił cały problem. Erica Jonesa zawsze chciała.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zamrugnęła gwałtownie powiekami. Poranne promienie słońca raziły ją w oczy. W nocy śniło jej się, że Eric ją całuje, potem bierze na ręce, wnosi do mieszkania i kładzie na swoim wielkim łóżku. Prosi ją, by się nie bała, że nie będzie ponaglał, niech wszystko toczy się własnym rytmem. Czowała jego ciało obok swojego i zastanawiała się, jak by to było kochać się z Edkiem powoli, niespiesznie, tak by każda sekunda trwała wieczność.

Wystraszona, poderwała się na łóżku. I z przerażeniem zobaczyła, że nie jest u siebie, tylko w sypialni Erica.

Zza drzwi dopływał zapach kawy. Leigh potarła czoło. Z jednej strony, korciło ją, aby wymknąć się po kryjomu, z drugiej strony, wiedziała, że tak postępują tchórze. Nie, ona pójdzie do kuchni, podziękuje Ericowi za gościnę, powie mu, że musi wrócić do domu, by się przebrać, bo ma na dzisiaj zaplanowanych kilka ważnych spotkań.

W kuchni zobaczyła kubek stojący przy ekspresie do kawy, a obok na blacie karton jajek. Na drewnianej deseczce leżał kawałek bekonu, plastry cebuli oraz dwa pomidory. Na niewłączonej płycie czekała patelnia.

Leigh ogarnął niepokój. W mieszkaniu panowała kompletna cisza.

- Eric? - Rozejrzała się. Na szklanym blacie stolika, na którym wczoraj chłopcy grali w karty, leżała rozłożona gazeta. - Eric?

Cisza. Serce zaczęło jej bić niespokojnie. Coś złego musiało się wydarzyć. Przecież wszystko wskazywało na to, że jeszcze niedawno Eric tu był, przygotowywał śniadanie...

I nagle spostrzegła przewrócone krzesło, kawę wylaną na ścianę, rozbity kubek na podłodze. Boże, jęknęła w duchu. Przeszła parę kroków dalej. Na wąskim regale zobaczyła brązową kopertę oraz zdjęcie przedstawiające ją i Erica całujących się w ciemnym zaułku, dosłownie kilka metrów od „Blue Note”. W tym momencie olśniło ją. Wiedziała, dlaczego Eric cisnął kubek na podłogę i przewrócił krzesło. Wiedziała, dlaczego nie zareagował na jej wołanie.

Drżącymi rękami chwyciła ze stołu papierową serwetkę i podniosła zdjęcie. Na odwrocie przeczytała: „Jedno zdjęcie warte jest tysiąca słów. Może wreszcie zgodzisz się na rozmowę?”

Wbiegłszy do windy, wcisnęła przycisk oznaczony numerem 15. Miała nadzieję, że nie jest jeszcze za późno. Tym razem M.H. Cantrell posunął się za daleko! Wścibiński dziennikarz, który nękał Erica prośbami o wywiad, zostawił na odwrocie zdjęcia adres swojego hotelu. Drań myślał, że groźbą osiągnie cel. Mylił się.

Eric nie rozmawiał z przedstawicielami mediów, zwłaszcza z bydlakami, który insynuowali, że jest produktem badań genetycznych. Wiedział, że dziennikarze potrafią przeinaczać słowa, a przecież wszystko, co powie, może być później wykorzystane przeciwko niemu w sądzie. Był człowiekiem rozsądnym, odważnym, nie dającym sobą manipulować.



Winda zatrzymała się na dziesiątym piętrze. Do kabiny wsiadły dwie roześmiane nastolatki, które wcisnęły przycisk jedenastego piętra. Leigh przygryzła ze zniecierpliwieniem wargi.

Ledwo drzwi się rozsunęły na piętnastym piętrze, usłyszała podniesiony głos Erica.

- Jeżeli to zdjęcie ukaże się gdziekolwiek, przysięgam, że tego pożałujesz!

- Ty mi grozisz, Jones? Chyba żartujesz. Głosy niosły się hotelowym korytarzem.

- Bynajmniej, Cantrell. Nawet nie wiesz, do czego jestem zdolny, kiedy mnie ktoś zezłości. Dobrze ci radzę, nie wtykaj nosa do mojego życia...

Raptem Leigh zobaczyła, jak Eric napiera na uchylone drzwi oddzielające go od chudego dziennikarza.

- Eric, nie! Przestań! Odwrócił się.

- Nie podchodź, Leigh. To cię nie dotyczy.

- On nie jest tego wart! - zawołała, przyśpieszając kroku. - Nie może nas skrzywdzić.

Cantrell wybuchnął śmiechem.

- Proszę, proszę. Barakuda mknie na pomoc. Widząc, że Eric nie zamierza się poddać, Leigh czym prędzej wsunęła się pomiędzy obu mężczyzn.

- W ten sposób niczego nie osiągniesz - oznajmiła. Eric zacisnął zęby.

- Nie pozwolę, żeby ta szuja zniszczyła twoją opinię.

- Zdjęcie, na którym się całujemy, na pewno jej nie zniszczy - powiedziała, po czym zerkając na Cantrella, dodała: - Ale stosowanie grózb i wymuszanie pieniędzy może zniszczyć pańską.

- Wymuszanie pieniędzy? - Dziennikarz zbladł.

- Proszę mi oddać negatywy. - Leigh wyciągnęła z torebki telefon komórkowy. - Możemy to załatwić pomiędzy sobą albo mogę zadzwonić po policję. Wybór należy do pana.

- Nie złamałem prawa.

- Jeszcze nie - przyznała Leigh. - Ale z chwilą, gdy puści pan to zdjęcie do druku, naślę na pana policję. Zanim się pan obejrzy, wsadzą pana do paki.

Cantrell uniósł butnie brodę, ale w jego oczach malował się wyraz porażki.

- Chciałem po prostu uzyskać materiał, przedstawić fakty...

- Fakty nieistniejące - warknął Eric. - Wyssane z palca. W których nie ma żdźbła prawdy.

- Strasznie jesteś pewien siebie, Jones. - Powłócząc nogami, dziennikarz zniknął w pokoju; po chwili wyłonił się, trzymając podłużną białą kopertę. - Ale prawda wyjdzie na jaw. Zobaczysz. Prawdy nie ukryjesz.

Eric wyciągnął mu z ręki kopertę, wyjął ze środka negatywy i uniósł je do światła.

- Jaką mam gwarancję, że to jedyne egzemplarze? Dziennikarz wykrzywił usta w uśmiechu.

- Żadnej.

- Psiakrew, Cantrell...

Leigh zacisnęła rękę na ramieniu Erica.

- Spokojnie. On nie puści tych zdjęć.

- Ale prawdę napiszę. O tym, co rząd ukrywa przed społeczeństwem. Że żyje wśród nas co najmniej pięć osób, kobiet i mężczyzn, zrodzonych w wyniku eksperymentu genetycznego. Te osoby są jak bomby zegarowe gotowe w każdej chwili wybuchnąć.

Eric był przerażony sobą; tym, jak łatwo dał się wyprowadzić z równowagi. Gdyby nie Leigh, pewnie wylądowałby w więzieniu oskarżony o pobicie dziennikarza. Z drugiej strony, ten drań zasłużył na pobicie - chciał zniszczyć opinię Leigh.

Zaciskając ręce na kierownicy, Eric wpatrywał się w zatłoczoną jezdnię, myślami jednak był gdzie indziej. Czuł się jak marionetka w rękach pozbawionego twarzy animatora, który porusza sznurkami i śmieje się zadowolony z rezultatów.

„...co najmniej pięć osób, kobiet i mężczyzn, zrodzonych w wyniku eksperymentu genetycznego... bomby zegarowe gotowe w każdej chwili wybuchnąć”.

Słowa Cantrella ciągle dźwięczały mu w głowie. Miał ochotę zbyć je wzruszeniem ramion, ale parę dni temu Jake również o tym wspomniał - o genetycznie zaprogramowanych dzieciach. Z dokumentów rządowych wynikało, że w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku faktycznie prowadzono badania genetyczne w wyniku których przyszło na świat kilkoro dzieci Dzieci, którym skasowano wspomnienia z pierwszych lat życia, później zostały

oddane do adopcji. Dorastały w nowych rodzinach nieświadome swego pochodzenia i niezwykłych umiejętności. Nieświadome tego, jakie mogą stanowić zagrożenie.

Eric zaklął pod nosem. W głębi duszy nie wierzył, że jest jednym z tych dzieci, ale nie potrafił obalić hipotezy Cantrella. Jonesowie wzięli go z sierocińca, którym opiekowały się siostry zakonne. Nie otrzymali żadnych informacji o jego wcześniejszym życiu; wiedzieli jedynie, że przyprowadziła go do sióstr kobieta, która oznajmiła, że nie może się dłużej opiekować energicznym dwulatkiem.

Eric nigdy jej nie szukał. Jonesowie w zupełności wystarczali mu jako rodzice. Ale to nie znaczyło, że nie zastanawiał się nad swoim pochodzeniem. Kim jest jego biologiczna matka? Kim ojciec? Które z nich ma niebieskie oczy? Które dołek w policzku? Po kim odziedziczył wysoką, atletyczną budowę? Po kim umiłowanie do baseballa? Czy ma braci lub siostry? A może siostrzeńców lub bratanice?

Jako dziecko, snując te rozmyślenia, czuł wyrzuty sumienia; jako dorosły mężczyzna - odczuwał złość. Bo co to za różnica, po kim co odziedziczył? Odpowiedzi nie są ważne. Liczy się to, że matka go nie chciała.

Teraz jednak... znajomość przeszłości mogłaby być pomocna w udowodnieniu, że on, Eric Jones, jest normalnym facetem, a nie produktem inżynierii genetycznej.

Niestety, jedyna osoba, która mogłaby mu udzielić jakiegokolwiek odpowiedzi, jego adopcyjna matka Susan, już nie żyje. A on nawet nie znał nazwy sierocińca, z którego go zabrano. Nigdy go to wcześniej nie interesowało.

Zamyślony, skręcił w Michigan Avenue. Z Leigh rozstali się w hotelu; mieli się spotkać po południu u niej w kancelarii. Nagle przed oczami stanął mu widok Leigh śpiącej w jego łóżku, jej ciemnych jedwabistych włosów rozrzuconych po poduszce. Tak bardzo chciał położyć się obok, zgarnąć ją w ramiona, ale...

Z zadumy wyrwał go dzwonek telefonu.

- Jones, słucham - powiedział do komórki.

- Eric, to ja.

Natychmiast domyślił się, że coś musiało się wydarzyć.

- Co się stało? - spytał z ciężkim sercem. Leigh westchnęła głęboko.

- Chodzi o Haka.

Dopiero po chwili skojarzył, że Hak to ten młody człowiek, którego Leigh poprosiła o prześledzenie „elektronicznych tropów”, które FBI mogło przeoczyć.

- Co się stało? - powtórzył.

- Podpalono mu mieszkanie. Dziś z samego rana, kiedy spał.

Obudził go kot; razem wydostali się przez okno.

Eric pokręcił z rezygnacją głową.

- Cholera jasna. Obserwują nas, znają każde nasze posunięcie.

- Wiem. - Leigh sprawiała wrażenie zmęczonej. -

Na szczęście Hak jest teraz w bezpiecznym miejscu. W dodatku udało mu się wynieść z mieszkania komputer.

Eric wjechał na parking pod budynkiem. Wziął z automatu bilet, po czym skręcił w stronę miejsc zarezerwowanych dla gości kancelarii.

- Znalazł już coś?

- Jeszcze nie jest na sto procent pewien. Musi poszperać.

W telefonie Erica rozległy się trzaski.

- Sygnał mi zanika. Będę u ciebie za kilka minut. Wtedy pogadamy.

- W porządku. Eric... dziękuję.

- Wiesz, po wczorajszej nocy... - Trzaski zagłuszyły jego głos.

Leigh roześmiała się.

- .. miło z twojej strony. - Ledwo słyszał co drugie słowo. -

Pudełko... jeszcze nie otworzyłam... ale podejrzewam, że są śliczne...

Zaparkował w ciasnym miejscu przeznaczonym dla mniejszego samochodu.

- Jakie pudełko?

- ...zobaczymy za kilka minut.

- Leigh, poczekaj! - wrzasnął.

Ale było już za późno. Rozmowa została przerwana.

Zgasił silnik, otworzył drzwi, nie przejmując się stojącym obok lśniącym czarnym mercedesem, i ile sił w nogach rzucił się w stronę windy.

Nie wysłał Leigh żadnego pudełka.

Odłożywszy słuchawkę, usiadła wygodnie w fotelu i zaczęła masować skronie. Czas naglił. Wielka ława przysięgłych miała się zebrać za niecały tydzień. A potem. .. potem ciągnący się bez końca proces.

Nie może do tego dopuścić. Nie może pozwolić, aby Erica sądzono i skazano za przestępstwo, którego nie popełnił. Przed południem rozmawiała z prywatnymi detektywami, których wynajęła; nic konkretnego nie znaleźli, ale byli nastawieni optymistycznie. Potrzebowali jeszcze kilku dni.

Hak powiedział to samo. Nie chciał robić jej zbyt dużych nadziei, ale wszedł w system Banku Światowego i trafił na kilka dziwnych śladów. Jeden prowadził do jej konta, na którym codziennie pojawiała się suma pięćdziesięciu tysięcy dolarów i codziennie z niego znikala. Hak znalazł kilka innych ciekawostek, ale nie wchodził w szczegóły.

Leigh westchnęła. Szkoda chłopaka. Był mądry, o ilorazie inteligencji, jakiego można tylko pozazdrościć. Powinien studiować informatykę na uniwersytecie chicagowskim, a nie mieszkać w jakiejś norze i dla draki włamywać się do systemów informatycznych. Była przerażona, gdy usłyszała, że wszystko poza komputerem stracił w pożarze, ale Hak zapewnił ją, że w sumie niewiele tego było.

Pewnie nie kłamał.

Przysięgła sobie, że wynagrodzi mu straty, jakie poniósł. Najpierw udowodni, że Eric nie miał z kradzieżą nic wspólnego, a potem wyśle chłopaka na studia.

Po chwili wstała z fotela i podeszła do niedużego stołu konferencyjnego, na którym leżało przysłane z kwiaciarni podłużne pudełko z kwiatami od Erica. Julia wniosła je do gabinetu, tuż zanim Hak zadzwonił. Leigh zdążyła poprosić sekretarkę, by położyła pudełko na stole, gdy zadzwieczał telefon. Potem była tak przejęta informacją o pożarze, że kwiaty całkiem wyleciały jej z głowy. Przypomniała sobie o nich, kiedy rozmawiała z Erikiem i niechcący zerknęła w stronę stołu.

Uśmiechając się, przycisnęła pudełko do serca. Nawet nie pamiętała, kiedy ostatni raz ktoś podarował jej bukiet. Powoli pociągnęła za koniec grubej czerwonej wstążki, następnie uniosła wieko i odsunęła na bok cienki zielony pergamin. Widok, który ujrziała, zmroził jej krew z żyłach.

Eric wypadł z windy, zanim jeszcze drzwi się do końca rozsunęły.

- Julio, gdzie Leigh? Sekretarka zmarszczyła czoło.

- U siebie w gabinecie - odparła. - Coś się stało?

- Natychmiast wezwij ochronę - polecił Eric, po czym rzucił się pędem przed siebie.

Ludzie, których mijał, przystawali i patrzyli na niego jak na wariata, ale nic sobie z tego nie robił. Zresztą czuł się jak wariat. Dobiegłszy do gabinetu Leigh, nie tracił czasu na pukanie. Po prostu pchnął drzwi.

Stała na końcu pokoju, przy niedużym stole.

- Leigh!



Nie drgnęła. Wpatrywała się pod nogi, na ucięte główki czarnych róż, które wypadły ze złotego pudełka.

Eric odetchnął z ulgą, ale po chwili zalała go fala gniewu. Przeklinając siarczyście, podszedł do Leigh i obrócił ją twarzą do siebie.

- Kochanie?

Była blada jak trup, wargi jej drżały, głos też.

- Ja myślałam... myślałam, że są... od ciebie. Wiedział, że nie należy niczego dotykać, chociaż był pewien, że ani na kwiatach, ani na pudełku policja nie znajdzie odcisków nadawcy. Czubkiem buta rozsunął czarne główki. Pod jedną z nich ujrzał mały kartonik.

„To ostatnie ostrzeżenie”.

Coś w nim pękło. Miał tego dość.

- Do jasnej cholery! - Chwycił Leigh za rękę i ruszył w stronę drzwi. - Nie będziemy się tak bawić!

Stał bez ruchu w promieniach jaskrawego słońca, które wpadało przez okno do mieszkania, i spoglądał na dwór. Po drugiej stronie ulicy trzech kilkunastoletni chłopcy siedzieli na schodkach prowadzących do domu, śmiali się, żartowali, ale Leigh podejrzewała, że Eric nawet ich nie widzi. W jednej ręce trzymał szklanekę whisky, a właściwie ścisnął z całej siły, jakby chciał ją zgnieść, druga ręka zwisała wzdłuż ciała, zaciśnięta w pięść. Emanowała z niego wściekłość. Całym sobą zdawał się ostrzegać: nie podchodzić, nie zbliżać się, do mnie. Leigh nie wiedziała, co począć.

Nie odezwał się, odkąd niemal siłą wyciągnął ją z kancelarii. Upierała się, że powinni zawiadomić policję, ale Eric już nie wierzył w skuteczność policji. Co mu dało przestrzeganie zasad, bycie praworządnym człowiekiem? Tylko to, że ktoś go straszył, że mu groził i grał na nosie. Nie zamierzał dłużej tego tolerować.

W samochodzie, podczas drogi do domu, nie odezwał się słowem. Potem z gniewnym błyskiem w oku, wciąż w milczeniu, przecisnął się przez tłum dziennikarzy koczujących przed budynkiem. Teraz dalej milczał. Leigh jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie.

- Eric... Powiedz mi, o czym myślisz. Ramiona i plecy jeszcze bardziej mu zeszywniały.

- Lepiej, żebyś nie wiedziała - odrzekł szorstko, jakby chciał ją do siebie zniechęcić.

- Więc po co mnie tu przywiozłeś?

- Naprawdę musisz pytać? - warknął.

Kusiło ją, aby wyciągnąć rękę, pogłodzić go po plecach, ale instynkt mówił jej, że to zły pomysł.

Przypomniała sobie, co powiedział do Cantrella: „Nawet nie wiesz, do czego jestem zdolny, kiedy mnie ktoś zezłości”. To ją martwiło. Bo faktycznie nie wiedziała.

- Eric, proszę cię. Nigdy nie zamykałeś się tak przede mną. To nie leży w twojej naturze.

- A skąd wiesz, co leży? - spytał cicho. - Skąd wiesz, jaki się stałem? W ciągu tylu lat wiele się może wydarzyć.

- To prawda. - Wolno wypuściła powietrze. -Wiele może się zdarzyć i wiele może się zmienić, ale nie my sami.

Odwrócił się gwałtownie. W jego oczach płonął ogień.

- Przestań, Leigh. Zrozum, nie chcę, żeby stało ci się coś złego. Nie chcę... - Zbliżywszy się o krok, uniósł rękę, po czym opuścił ją zrezygowany. - Nie próbuj mnie pocieszać. Ja... po prostu sobie nie ufam. Nie wiem, kim jestem i co mi może strzelić do głowy...

Usiłowała się skupić, opanować gonitwę myśli.

- Nie bądź śmieszny, Eric. Na pewno nie jesteś żadnym genetycznie zmutowanym tworem natury. Nie dokonałeś skoku na Bank Światowy i nie wyrządzisz mi krzywdy.

- Krzywdy nie, ale...

Zanim zorientowała się, o co mu chodzi, przywarł ustami do jej ust. Całował ją długo, namiętnie, jakby całymi latami czekał na tę chwilę i bał się, że okazja może się już nigdy nie powtórzyć.

- Dziesięć lat - szepnął, wsuwając rękę w jej włosy. - Dziesięć lat marzyłem o tym, żeby cię dotknąć, sprawdzić, czy to, co do siebie czuliśmy tamtej nocy, przetrwało...

- Eric...

- To niesamowite, Leigh. Że po tylu latach znów jesteś blisko, że widzę twój uśmiech, że słyszę twój głos. - Przytulił ją mocniej. - Nawet sobie nie wyobrażasz, co w tym momencie czuję. Przepelnia mnie radość, bo cię odnalazłem, a zarazem strach, że mogę cię znów stracić. I że przeze mnie może ci się stać krzywda.

Jako prawniczce nigdy nie brakowało jej argumentów. Na tym polegała jej praca: aby wysłuchać, zebrać dowody, przedstawić logiczny wywód. Teraz jednak czuła się jak bezbronna dziewczynka oszołomiona nadmiarem wrażeń.

- Eric...

Na jego twarzy malowało się podniecenie, ale i napięcie.

- Boję się, Leigh. O ciebie. Żałuję, że posłuchałem Jake'a i przyszedłem prosić cię o pomoc.

- Tak, przyszedłeś - szepnęła. Przyszedł i przewrócił jej świat do góry nogami.

Wysunął rękę z jej włosów, odgarnął kosmyk za ucho, po czym czubkiem palca delikatnie obrysował jej wargi.

- No właśnie. Straszny ze mnie egoista. Nawet nie pomyślałem o tym, jaki moja wizyta może wywrzeć wpływ na twoje życie. I teraz znalazło się ono w niebezpieczeństwie.

- Tego nie wiemy - zaprotestowała. - Wiemy tylko, że ktoś się wystraszył, a to znaczy, że zbliżamy się do prawdy.

- Nie zapominaj o pogroźkach. To nie są żarty, Leigh. Ten, kto usiłuje dobrać mi się do skóry, nie przebiera w środkach. Wolę gnić w więzieniu, niż pozwolić, żebyś ty zginęła w ogniu walki.

Wzdrygnęła się. Wiedziała, ile ryzykuje.

- Nic mi nie będzie - oznajmiła jednak. Eric pokręcił głową.

- Próbowałem... - Przytulił ją mocniej. - Psiakrew, naprawdę próbowałem trzymać się twoich zasad.

- Nie chodzi o zasady... - Urwała. Nie miała siły mówić dalej.

Zasady? Kto by się nimi przejmował? Chodzi o coś znacznie ważniejszego: rozsądek, trafne decyzje, dobro i zło. Chodzi o jedną zimową noc sprzed dziesięciu laty, o rozstanie, o konsekwencje. O to, jak z pozoru błahe zdarzenie może zmienić życie mężczyzny, który ma dostatecznie wiele problemów na głowie, i niewinnego chłopca, który nie wie, jak okrutny bywa los.

Spojrzenie Erica spochmurniało.

- Ilekroć na ciebie patrzę, tamte lata znikają. Po prostu rozplývają się. I z trudem się hamuję, żeby cię nie dotknąć. O tak... - Przesunął rękę wokół jej piersi. - Albo nie pocałować... O tak...

Nogi miała jak z waty. Nie była w stanie się skoncentrować, myśleć o kłopotach, kradzieży, procesie. Drżała z podniecenia. Chciała, by ręce Erica błędziły po jej ciele, by obejmował ją mocno, całował, by położył się na niej i nigdy jej nie puścił. Pragnęła tego od dziesięciu lat. Ciągłe budziła się zrana potem, uśmiechnięta, spełniona po cudownej nocy, która niestety była odległym wspomnieniem...

Wiedziała jednak, że musi się wziąć w garść, póki jeszcze może.

- Eric...

- Już raz cię straciłem. I drugi raz nie popełnię tego błędu.

- Może nie będziesz miał wyboru - szepnęła, czując, jak łzy napływają jej do oczu.

Odsunął się tak, by spojrzeć jej w twarz.

- Każdy ma wybór - rzekł, ocierając jej z policzków łzy. - Można żyć w strachu, bojąc się jutra, albo żyć terażniejszością, czerpiąc radość garściami. Milczała.

- Nie skrzywdzę cię, Leigh - obiecał, ponownie zbliżając do niej usta. - Przysięgam na wszystko, że już nigdy nie sprawię ci bólu.

Wiedziała, że Eric jej nie okłamuje. Ale wiedziała też, że nie dotrzyma słowa. Wewnętrzny głos poparty instynktem samozachowawczym i zdrowym rozsądkiem mówił jej, by oswobodziła się z objęć, zostawiła go i odeszła. Lecz serce, wyobraźnia i tęsknota dyktowały co innego.

Erica Jonesa, przystojnego, pewnego siebie chłopaka знаła na wylot. Ale Eric Jones, nieco zgorzkniały, boleśnie doświadczony przez życie mężczyzna stanowił dla niej zagadkę. W dodatku fascynował ją jak nikt dotąd. Każde spotkanie z nim, każda rozmowa ukazywały nowe aspekty jego osobowości: siłę, lojalność, determinację, troskliwość, łagodność, zmysłowość. Wszystkie te cechy stanowiły piekielnie groźną -i atrakcyjną - mieszankę.

Eric Jones może ją uszczęśliwić lub zepchnąć na dno rozpacz. Jednakże ona - kosztem własnego szczęścia - również może zmienić jego życie. Powiedział przed chwilą, że każdy ma wybór. To nieprawda - ona nie ma.

- Skąd wiesz, że ja tobie nie sprawię cierpienia? - spytała cicho.

- Gotów jestem zaryzykować.

Uległa jego argumentom, jego rękom i ustom. Odrzuciła rozsądek. Jeszcze przez moment usiłowała sobie przypomnieć, dlaczego pójście do łóżka z Erikiem byłoby niedobrym pomysłem, ale im namiętniej ją całował, im czulej pieścił, tym bardziej chciała się w

niego wtopić. Stłumione pożądanie odżyło na nowo; przez dziesięć lat czekało uśpione, a teraz...

Leigh przestała myśleć, przestała walczyć z sobą. Mężczyzna, którego kochała, którego pragnęła i który śnił jej się niemal każdej nocy, wreszcie się zmaterializował. Już nie musi kochać się z nim w snach, może na jawie.

Wczoraj zasnęła, słysząc powolne, miarowe bicie jego serca. Teraz też je słyszała - waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

- Zrobię, co mi każesz - szepnął, odpinając kolejne guziki jej bluzki. - Jeśli każesz mi przestać, to przestanę.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przestań.

Słowo to utknęło jej w krtani. Wiedziała, że powinna podjąć wyzwanie, powiedzieć, że nie chce, nie może. Eric nie nalegałby, do niczego by jej nie zmuszał. Nie był człowiekiem, który narzuca swoją wolę. Ale zamiast się odsunąć, objęła Erica za szyję i przywarła do niego z całej siły. Zmysły zajęły miejsce rozumu. O niczym nie myślała, po prostu czuła.

- Nie - szepnęła. - Nie.

Znieruchomiał z ręką na jej piersi. Kiedy uniósł głowę, zobaczyła żar w jego oczach. Uśmiechnęła się. Tak, to jest mężczyzna, którego pragnie i kocha. Którego zawsze pragnęła i zawsze kochała.

- Nie przerywaj - wyjaśniła. - Kochaj mnie. Do utraty tchu.

Myślał o niej nieustannie, wspominał ją, pragnął jej. Nawet wtedy, gdy dzielił ich ocean, gdy ożenił się z Becky, gdy słyszał, że Leigh zamierza wyjść za mąż za Anglika. Nie potrafił o niej zapomnieć. Ciągłe się zastanawiał, co porabia, jak jej się wiedzie. Zastanawiał się i tęsknił. Czasem tłumaczył sobie, że pamięć płata mu figle, że ich wzajemne pożądanie wcale nie było tak wielkie. Że wraca wspomnieniami do przeszłości i ją upiększa tylko dlatego, że jego małżeństwo okazało się nieudane. Ale teraz znał prawdę. Nic nie upiększał, pamięć miał dobrą.



- Kochaj mnie - szepnęła zmysłowo. - Kochaj... Chwycił ją w ramiona i ruszył do sypialni, gdzie stało wielkie puste łóżko - łóżko, w którym spała wczoraj, podczas gdy on patrzył na nią rozmiłowanym wzrokiem.

Dzisiejszej nocy będzie inaczej. Ona nie będzie spała kamiennym snem, a on nie będzie pieścił jej oczami. A przynajmniej nie tylko oczami. Również dłońmi, ustami, językiem. Zbada każdy centymetr jej ciała, obsypie ją pocałunkami i pieszczotami. Będzie nadrabiał zaległości z dziesięciu lat. Będzie słuchał głosu serca, zamiast kierować się jakimś niedorzecznym poczuciem obowiązku. Pragnął Leigh całym sobą - psychicznie, emocjonalnie, fizycznie. Zawsze tak było. Bez niej czuł się kaleką, jakby brakowało mu kawałka samego siebie.

- Bez przerwy o tobie myślałem.

- Ja o tobie też. - Uśmiechając się, położyła ręce na jego piersi, po czym zaczęła je wolno przesuwając w dół. - Widziałam cię w snach. Patrzyłeś na mnie z pożądaniem, tak jak teraz...

Jęknął cicho.

- Ty też mi się śniłaś. - Odpinał guziki jej bluzki. Miał ochotę zedrzeć z Leigh ubranie, ale się powstrzymał. Czekał na tę chwilę dziesięć lat, może poczekać jeszcze dziesięć minut. - Uśmiechałaś się tak jak teraz...

Stała obok łóżka w beżowych spodniach i koronkowym staniku. Bluzka leżała na podłodze.

- W moich snach pieściłeś mnie językiem, aż błagałam, żebyś mnie posiadał...

Omiał się na nią nie rzucił. Wykazując maksimum opanowania, rozpiął jej stanik, po czym musnął jej nabrzmiące sutki.

- Tak? - spytał.

- Tak. - Oddech miała przyśpieszony. - Kochaj mnie...

Po chwili leżeli w łóżku nadzy, złączeni w miłosnym uścisku, spragnieni siebie. Całując Leigh, Eric powtarzał w duchu, że tym razem jej nie straci. Nie pozwoli jej odejść. Nagle przypomniał sobie o czekającym go procesie. Szybko jednak odsunął od siebie ponure myśli. Kiedy ludzie się kochają, nic nie może stać na drodze do ich szczęścia.

- O tak, tak, cudownie... - szeptała, oplatając go mocno nogami.

Kiedy przytuliła się do niego mocno i głośnym szeptem wypowiedziała jego imię, Eric poczuł się, jakby odnalazł swoje szczęście. Jakby po dziesięciu latach męczącej wędrówki wreszcie wrócił do ukochanego domu. I ukochanej kobiety.

Kochali się jeszcze kilka razy, ostatni raz gdy na dworze zaczynało już świtać. W sercu Leigh radość mieszała się z rozpaczą. Drżała z rozkoszy, a łzy napływały jej do oczu. Tego pragnęła - być z Erikiem.

Często mówiła sobie, że gloryfikuje tamtą jedną noc. Że prawda nie dorównuje wspomnieniom. Myliła się. Rzeczywistość okazała się piękniejsza od marzeń. Leigh westchnęła błogo. Kochała tego mężczyznę do szaleństwa.

Promienie słońca wpadały przez szpary w drewnianych żaluzjach. Podobnie jak tamtego zimowego poranka, wkrótce trzeba będzie wstać i się pożegnać.

Tym razem na zawsze.

To Eric jest oskarżony i czeka go proces, ale to ona, Leigh, popełniła błąd. Kierowały nią szlachetne pobudki, ale to żadne wytłumaczenie. Okradła Erica, pozbawiła go syna, do którego przecież miał prawo. Niestety, przeszłości nie da się zmienić, czasu nie sposób cofnąć. Nie ma magicznej różdżki, która naprawiłaby zło.

- Leigh - szepnął jej do ucha. - Jesteś moja. Już nigdy cię nie puszcę.

Razem przeżyli orgazm. Eric leżał z uśmiechem na twarzy, ona z wyrazem zadumy.

Jedna chwila, jedna decyzja, jedna pomyłka.

Żaden sen nie trwa wiecznie.

Powoli się budziła. Śniło jej się, że kochała się z Erikiem, że wraz z nim wzniosła się na szczyty rozkoszy, jakiej dotąd nie знаła. W oddali zagrzmiało, potem błyskawica rozjaśniła przysłonięte chmurami niebo.

Nagle materac się ugiął. W tym momencie Leigh uświadomiła sobie, że nie jest sama. Że to, co brała za sen, wcale snem nie było. Tuż obok leżał Eric; spędzili razem noc. Niewiele spali; w ciągu paru godzin starali się nadrobić zaległości, zaspokoić dziesięcioletni głód.

- Śpij, skarbie - szepnął, całując ją lekko w usta.

Wstrzymała oddech. Udawała, że śpi, ale serce waliło jej młotem. Bała się, czy jej nie zdradzi. Chciała jeszcze chwilę pomyśleć; nie była gotowa spojrzeć Ericowi w oczy.

Piorun uderzył gdzieś niedaleko. Szyba zadrżała. Materac znów się ugiął - tym razem Eric wstał. Leigh otworzyła oczy dopiero, gdy usłyszała oddalające się od łóżka kroki. Przez moment obserwowała, jak Eric znika w łazience. Nie zaniknął drzwi; wszedł do wanny, zaciągnął zasłonę prysznicową i puścił silny strumień wody.

Kusiło ją, żeby pójść za nim do łazienki, umyć mu plecy, pozwolić jemu namydlić swoje piersi, uda i brzuch. A potem... Otrząsnęła się. Wiedziała, co musi zrobić. Już raz popełniła błąd, teraz musi go naprawić.

Wstała pośpiesznie z łóżka, zgarnęła z podłogi bieliznę. Drżącą ręką zapięła guziki bluzki, zaciągnęła suwak u spodni. Chwyciwszy buty, skierowała się ku drzwiom. Nawet nie zerknęła do łazienki.

Na zewnątrz padał deszcz. Wyszła z budynku, szczęśliwa, że dziennikarze pojechali na noc do domów, i zaczęła rozglądać się za taksówką.

Ogarnęła go złość. Kiedy on stał pod ciepłym strumieniem wody, wyobrażając sobie, że powoli namydla ciało Leigh, ona zerwała się z łóżka, ubrała i wyszła. Tak jak on przed laty. Psiakrew! Skreślił z szerokiego bulwaru w wąską uliczkę, wzdłuż której rosły stare wiązy i klony. Promienie słońca z trudem przedzierały się przez gęste korony. Po obu stronach ulicy ciągnęły się duże murowane domy.

A zatem to tu Leigh mieszka, pomyślał, przejeżdżając koło młodej kobiety w opiętych spodenkach, która najwyraźniej uprawiała jogging.

Chciał ruszyć za Leigh od razu po wyjściu z łazienki. Chciał zmusić ją do rozmowy – zarówno o tym, co się wydarzyło dziesięć lat temu, jak i o tym, co czuli do siebie ostatniej nocy. Przecież pragnęła go równie silnie, co on jej. Westchnął ciężko. Wiele ich łączy, ale i wiele dzieli. W ciągu jednej szalonej nocy nie sposób wymazać wszystkich win. Nic dziwnego, że Leigh się boi.

Tym razem będzie inaczej, przysiągł sobie. Zerknąwszy na kartkę z adresem, skręcił w podjazd prowadzący do piętrowego domu z czerwonej cegły, po czym ostro zahamował, by nie rozjechać pokrytego błotem dziecięcego rowerku. Tak, tym razem będzie się słuchał głosu serca. I nie podda się bez walki.

Walka... Przypomniał sobie bilecik dołączony do róż: „To ostatnie ostrzeżenie”.

Wyłączył silnik, ale nie potrafił wyłączyć myśli. Cholera, Leigh ma rację. Podążają właściwym tropem

i stąd te ostrzeżenia. Ona uważała to za dobry znak, on natomiast obawiał się o jej bezpieczeństwo. Nie, nie pozwoli jej skrzywdzić. Wysiadł z auta. Powietrze nadal było duszne. Mimo że od razu po wyjściu spod prysznic chciał ruszyć za Leigh, odczekał do wieczora, by dać jej czas na ochłonięcie. Jedną rzecz wiedział ponad wszelką wątpliwość: że wczorajsza noc stanowi początek ich wspólnego życia. Nie spieszyło mu się. Mają przed sobą całą przyszłość.

Skierował spojrzenie na dom. Nie zdziwił go widok ustawionych na werandzie glinianych donic z kolorowymi kwiatami ani starannie przycięty bukszpanowy żywopłot i różowe niecierpki kontrastujące z zielenią trawnika. Zza domu dobiegało szczekanie psa. Ciekaw był, czy to pies Leigh. Tak niewiele o niej wie.

Zaskoczył go jednak widok przymocowanej do słupa obręczy do gry w kosza. Słup był zardzewiały, ale siatka sprawiała wrażenie nowej. Po chwili Eric przypomniał sobie, że dwudziestoletnia Leigh czasem grywała w koszykówkę; niekiedy, wykorzystując swój wdzięk i urodę, potrafiła sprytnie odebrać przeciwnikowi piłkę i dalekim rzutem zdobyć punkt. Walcząc z napierającą falą wspomnień, krętą cementową ścieżką zbliżał się do drzwi. Właśnie o czymś takim marzył - o domu w cichej podmiejskiej dzielnicy, gdzie sąsiedzi pomagają sobie, a dzieci bezpiecznie bawią się na trawie.

Mieli z Becky dom, ale nic poza tym.

Dzieci się nie doczekali. Eric często widział siebie w roli ojca: ze swoją córeczką, która po matce odziedziczyła czarne włosy i bystre spojrzenie, jeździł na rowerze, a z synami, którzy po nim odziedziczyli jasne czupryny i zamiłowanie do baseballu, chodził na mecze.

Jego dzieci, jego krew. Nagle zasepił się. Nic nie wie o swoim pochodzeniu. No cóż, dawno już pogodził się z faktem, że biologiczni rodzice oddali go do adopcji. Jonesowie byli najcudowniejszymi rodzicami, jakich można sobie wymarzyć. Kochali go; dzięki nim miał prawdziwy dom i szczęśliwe dzieciństwo. Gdy pukał do drzwi,

ponownie przypomniał sobie słowa Cantrella: „Pięć osób, kobiet i mężczyzn, zrodzonych w wyniku eksperymentu genetycznego... bomby zegarowe gotowe w każdej chwili wybuchnąć” - i znów poczuł wściekłość. Ten dureń o niczym nie ma pojęcia. On, Eric, nigdy...

Raptem drzwi się otworzyły.

- Cześć - powitał go rezolutny chłopiec o gęstych ciernoblond włosach i jasnych niebieskich oczach. Miał na sobie koszulkę i spodnie do baseballa, jak u prawdziwego gracza zabrudzone trawą na kolanach. - Przyszedłeś do nas?

- Prze-przepraszam - wydukał po chwili Eric. - Musiałem pomylić adres. Szukam Leigh Montgomery.

Chłopiec uśmiechnął się szeroko, ukazując dołeczek w policzku. Ericowi serce załomotało.

- Wcale się nie pomyliłeś - oznajmił chłopiec, po czym oglądając się za siebie, krzyknął: - Mamusiu! Jakiś pan do ciebie!

Mamusiu? Rany boskie! Dzieciak jest synem Leigh!

- Jaki pan? - spytała Leigh, wyłaniając się z głębi domu, ze ściereczką do naczyń przerzuconą przez ramię.

Stała jak wryta. Do tej pory Eric widział ją w eleganckich kostiumach, w których chodziła do pracy. Teraz ubrana była w koszulkę chicagowskich Cubsów oraz postrzępione dżinsowe szorty, które odsłaniały jej nogi. Włosy miała uczesane w koński ogon.

Widząc przerażenie na jej twarzy, Eric z miejsca domyślił się prawdy. Przez moment nie mógł złapać tchu.

- To ja - wykrztusił.



- Eric...

Nie miał cienia wątpliwości. Oczy chłopca... Boże, to są jego oczy! Codziennie rano spoglądają na niego z lustra. Trzymał w mieszkaniu pudełko zdjęć ze swojego dzieciństwa. Chłopiec na zdjęciach i ten, który otworzył mu drzwi, są podobni jak dwie krople wody.

Leigh urodziła jego dziecko. Ma syna.

- Connor - zwróciła się do chłopca głosem drżącym ze zdenerwowania. - Idź z Bruiserem na spacer, zanim się ściemni, dobrze?

Chłopiec zerknął na Erica, po czym przeniósł wzrok na matkę.

- Jesteś pewna? Bo wiesz, mogę zostać...

Eric poczuł ucisk w piersi. Chłopiec usiłuje ją chronić. Jego syn chce chronić matkę. Przed własnym ojcem.

- Nie, idź - odparła Leigh i zbliżywszy się do drzwi, potargała syna po włosach. - Wszystko w porządku, naprawdę.

Connor popatrzył na nią bez przekonania, ale po chwili wzruszył ramionami i posłusznie poszedł w stronę kuchennych drzwi. Zostali sami. On, ona i kłamstwo, które się wydało. Milczeli. Dopiero kiedy chłopiec wyszedł z domu, Eric wydobył z siebie głos.

- To moje dziecko - rzekł półgłosem. - Mój syn. Leigh uniosła dumnie głowę.

- Ma twoje oczy - oznajmiła mocnym, zdecydowanym głosem. - I tak jak ty, kocha baseball.

- O Chryste. - Zakręciło mu się głowie. - Jak mogłaś?



Wczoraj się z nim kochała, jej ciało nie miało przed nim tajemnic. Ale ona miała. Psiakrew! Tyle lat jego matka modliła się o wnuka. Zmarła, nie wiedząc, że posiada wnuka, który był dokładną kopią dziewięcioletniego Erica.

- Na miłość boską, kochaliśmy się. Jak mogłaś całować mnie, lecz ani słowem nie napomknąć, że mamy dziecko?

- Zamierzałam ci powiedzieć, ale dopiero po sprawie.

- Po sprawie? Miesiąc wcześniej, miesiąc później, co za różnica, prawda? Skoro i tak minęło dziesięć lat.

- Nie mogę zmienić przeszłości - oznajmiła smutno. Setki pytań krążyły mu po głowie, ale głównie chciał

wiedzieć, dlaczego tyle lat milczała. Dlaczego nic mu wcześniej nie powiedziała? Kropelki potu osiadły mu na czole. Marzył o tym, by znaleźć się w klimatyzowanym wnętrzu, a jednocześnie bał się zostać z Leigh sam na sam. Nie ufał własnym emocjom.

- On wie? - spytał wreszcie.

- Nie.

- Myśli, że umarłem?

- Nie. - Łzy napłynęły jej do oczu.

- Więc co? Że go porzuciłem? - Zrobiło mu się niedobrze.

- Nie. - W jej głosie brzmiała desperacja. - Tego bym nigdy nie powiedziała.

Przyjrzał się Leigh uważnie - wczoraj leżała w jego łóżku, kochała się z nim gorąco; dziś, patrząc na nią, widział obcą osobę,

która tylko momentami przypominała tamtą sprzed lat. Tamtą, którą kochał.

Poczuł się zawiedziony i zdradzony.

- Sam już nie wiem, co byś zrobiła, a czego nie

- mruknął. - Leigh, którą znałem, nigdy by mnie w tak ważnej sprawie nie okłamała.

- Eric, którego znałam, wrócił do domu i ożenił się ze swoją szkolną sympatią - przypomniała mu. - Nie kochał mnie, kochał inną.

Usłyszał ból w jej głosie, zobaczył go w jej oczach. I uświadomił sobie, że Leigh mówi prawdę.

Choć nie do końca. Bo przecież nie kochał Becky, jedynie mu się tak wydawało.

Wszedł do holu i przysunąwszy dłonie do twarzy Leigh, delikatnie wytarł łzy z jej policzków. Widział ją we łzach tylko raz - tej nocy, gdy zmarł jego ojciec. Oboje wtedy płakali. I wtedy poczęli Connora.

- Nieprawda - powiedział cicho. - Kochałem ciebie. Odwróciła się gwałtownie, jakby nie mogła znieść jego dotyku.

- Przestań! - Oczy płonęły jej gniewem. - Nie dotykaj mnie. I nie mów, że mnie kochałeś.

- Cholera jasna, Leigh, czego się spodziewałaś?!

- krzyknął, zaciskając ręce na jej ramionach. - Nagle dowiaduję się, że mam dziewięcioletniego syna, o którym nie raczyłaś mnie powiadomić! Uważasz, że powinienem przyjąć tę informację ze spokojem? Wolisz usłyszeć, że nigdy dla mnie nic nie znaczyłaś? Że

przespaliśmy się i więcej o tobie nie myślałem? Sądzisz, że nie zastanawiałem się, co by było, gdybym nie wrócił do domu? Że nie zastanawiałem się, co by zrobiła Becky? Straciła władzę w nogach; nie chciałem, żeby straciła również chęć do życia. - Na moment urwał. - Powiedz, to wolisz usłyszeć? Że nie obchodzi mnie własne dziecko? Że fakt jego istnienia niczego nie zmienia?

- Jeśli to prawda, to tak, chcę to od ciebie usłyszeć. Zaklął pod nosem, zanim jednak zdołał cokolwiek powiedzieć, zza pleców Leigh dobiegł ich cichy głosik.

- Mamusiu? To prawda? Ten pan jest moim tatą?

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Leigh zamarła. Ogarnęło ją przerażenie; nie wiedziała, co robić. Nagle zachwiała się. Dłonie Erica zacisnęły się mocniej na jej ramionach.

- Puść mnie - odczytał z ruchu jej warg. Cofnął ręce. Powoli odwróciła się twarzą do syna, który stał obok, ze smyczą w garści, wpatrując się w nią oczami takimi samymi jak oczy jego ojca.

- Mamusiu? - Podszedł bliżej. - Dobrze się czujesz?

Eric przysunął się, tak by ją chwycić, gdyby straciła przytomność.

- Tak, kochanie - odparła przez ściśnięte gardło. - Myślałam, że zabrałeś Bruisera na spacer.

Chłopiec zmrużył oczy.

- Wydawało mi się, że słyszę podniesione głosy. Leigh zmusiła się uśmiechu. Connor, jej dzielny mały rycerz.

- Nie, po prostu rozmawialiśmy. Chłopiec zerknął z zaciekawieniem na Erica.

- To prawda? On jest moim tatą?

Leigh ponownie zakręciło się w głowie. W tym samym momencie poczuła, jak Eric obejmuje ją w pasie.

Była mu za to wdzięczna. Parę minut wcześniej w jego twarzy widziała furję, ale teraz, w obecności dziecka, zachowuje się bez zarzutu.

Przez te wszystkie lata starała się być uczciwa w stosunku do syna; tłumaczyła mu, że tatuś przebywa daleko, ale gdyby mógł, to na pewno chętnie zamieszkałby z nimi. Teraz mieszkają w jednym mieście; Connor zasługuje na to, by poznać prawdę. Boże, zawsze sądziła, że zdąży się przygotować do rozmowy z synem. Że będzie widziała, co powiedzieć. Nie przypuszczała, że ojciec i syn będą na nią patrzeć, czekając, aż potwierdzi ich pokrewieństwo.

- Connor. - Poglądziła syna po włosach. - Przedstawiam ci Erica Jonesa, mojego przyjaciela z czasów studenckich.

W oczach chłopca pojawił się błysk podniecenia.

- To ten słynny złodziej?

- Eric tego nie zrobił - odparła Leigh, czując, jak ręka na jej talii zaciska się mocniej.

Rumieniec zabarwił policzki chłopca.

- O rany! I on naprawdę jest moim tatą?

Przez moment Leigh szukała właściwej odpowiedzi. I znalazła ją.

- Tak.

Chłopiec z powagą wpatrywał się to w matkę, to w obcego mężczyznę, który parę minut temu zastukał do ich drzwi, po czym szeroko się uśmiechnął, demonstrując uroczy dołeczek w lewym policzku.

- Super! - ucieszył się. - Jutro powiem kolegom.

- Synku... - Leigh wyciągnęła rękę do Connora.

- Wprowadzisz się do nas? - Nie zwracając uwagi na matkę, chłopiec patrzył wyczekująco na Erica.

- Nie - odparła szybko Leigh, zdając sobie sprawę, że z chwilą, gdy postanowiła utrzymać ciążę w tajemnicy przed Erikiem, przekreśliła szansę na to, aby kiedykolwiek mogli być rodziną. - Eric ma własne mieszkanie.

Chłopiec posmutniał.

- A nie chcesz mieszkać z nami?

Eric ukląkł, tak by mieć twarz na poziomie oczu chłopca. Napięcie i złość wyparowały z jego spojrzenia.

- Niczego bardziej nie pragnę - oświadczył z głębokim przekonaniem, obdarzając Connora ciepłym uśmiechem.

- To dlaczego się nie wprowadzisz? - Connor zawsze wydawał się doroślejszy niż jego rówieśnicy, teraz jednak zachowywał się jak typowy dziewięciolatek, który całe życie wychowywał się bez ojca.

- To dość skomplikowane, myszko - rzekła Leigh, posyłając Ericowi ostrzegawcze spojrzenie. - Później o tym porozmawiamy, a na razie pożegnaj się z Erikiem.

- Już odjeżdżasz? - spytał chłopiec. Wargę mu drżała, jakby zaraz miał się rozpłakać.

Eric z Leigh ponownie wymienili spojrzenie.

- Tak, ale wrócę - obiecał Eric, wstając. Zacisnął dłoń na ramieniu syna, jakby nie chciał - lub nie mógł - go puścić. Connor wbił wzrok w człowieka, którego kopią stanie się za dwadzieścia kilka lat.

- Chyba nie pójdziesz do więzienia, co?

- Ależ skąd! - odparł dziarsko Eric. - Twoja mamusia jest świetnym obrońcą. Powinieneś o tym wiedzieć - dodał.

- No wiem. - Chłopiec zerknął zawstydzony na matkę.

- Całe szczęście! - oznajmiła lekkim tonem Leigh. - Bo inaczej musiałabym nad tobą popracować!

Connor roześmiał się, po czym znów przeniósł spojrzenie na Erica.

- Lubisz baseball?

- Bardzo.

- Gram jako łącznik. Chciałbym dostać się do Cub-sów. Moja drużyna wygrała dziś pierwszy mecz w rozgrywkach międzyszkolnych, jutro gramy następny. Przyjdziesz pokibicować?

Leigh popatrzyła na Erica błagalnym wzrokiem. Nie! Powiedz, że nie.

- Z przyjemnością - odparł Eric. - Wiesz, ja też byłem łącznikiem.

- Serio? - Oczy chłopca lśniły z podniecenia. - Moim idolem jest A-Rod. Nie gram jeszcze tak dobrze jak on, ale kiedyś...

- Kiedyś na pewno mu dorównasz.

Leigh z ciężkim sercem obserwowała ojca i syna, zdumiona tym, jak łatwo nawiązują kontakt. Dzieliła ich różnica wieku, łączyły zaś więzy krwi. Eric był stworzony do roli ojca. Wiedziała, że nigdy nie wybaczy jej, że zataiła przed nim istnienie Connora, ale wiedziała też, że zaakceptuje syna, pokocha go i będzie takim ojcem, o jakim

Connor marzył. Takim, który chadza na mecze baseballowe, pomaga w odrabianiu lekcji, słucha, daje dobre rady, pokazuje, jak żyć.

Wzruszenie odebrało jej głos, łzy napłynęły do oczu. Słońce opadało coraz niżej na horyzoncie.

- Con - zwróciła się do syna. - Twój tata i ja mamy wiele spraw do omówienia.

- Wiem, wiem. Mam wziąć Bruisera na spacer. - Chłopiec wyszczerzył zęby w uśmiechu, po czym spojrzał na Erica. - Cieszę się, że przyjechałeś. Mama zawsze mówiła, że mam fajnego tatę, ale nie wiedziałem, czy cię kiedyś poznam.

Eric zacisnął rękę na ramieniu syna.

- Jutro przyjdę ci pokibicować.

- Super! - zawołał chłopiec i skinąwszy na psa, wyszedł na zewnątrz.

Zostali sami. Miała świadomość, że powinna coś powiedzieć, ale nie była w stanie wydobyć głosu. Paraliżował ją ból wyzierający z oczu Erica.

- Nie możesz mnie pozbawić syna, Leigh - rzekł po chwili. - Zbyt wiele mnie ominęło. Odtąd chcę być częścią jego życia.

- Nie zamierzam ci tego zabraniać.

Obejrzał się. Przez otwarte drzwi widział chłopca bawiącego się na podjeździe z Bruiserem.

- Pobierzemy się - stwierdził głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji. - Najszybciej jak to będzie możliwe. Potem...



- Nie - przerwała mu, smutna i zdezorientowana. Całe życie marzyła o Ericu. Wyobrażała sobie, jak z miłością w oczach, głosem przepojonym uczuciem, prosi ją o rękę; wyobrażała sobie, jak snują plany na przyszłość, jak się razem starzeją... - Nie - powtórzyła.

Podszedł krok bliżej i ujął ją za łokcie.

- Dzieciak zasługuje na to, żeby mieć rodzinę.

- I ma. Ma mnie, moją mamę, a teraz ciebie.

- Nie chcę być niedzielnym ojcem.

- Ja też tego nie chcę. Ale ślub nie jest rozwiązaniem. Przecież my się wcale nie znamy.

- Jakoś nam to wczoraj nie przeszkadzało. Przeszył ją dreszcz.

- Nie wystarczy dobry seks, żeby małżeństwo było udane.

- Nas łączy nie tylko dobry seks - zauważył. - Ale również dziecko.

- No właśnie, i to dziecko powinno mieć prawdziwą rodzinę! - odparła gniewnie, dając upust nagromadzonym emocjom. - Powinno mieć rodziców, którzy się kochają, a nie takich, którzy są razem z poczucia obowiązku.

- Cholera jasna!

- Eric...

- Jak mogłaś, Leigh? Uniosłaś się honorem? Jakim prawem? Przecież to mój syn. - Maską wściekłości opadła, odsłaniając twarz ściągniętą bólem. - Jak mogłaś mi o nim nie powiedzieć? Dlaczego chciałaś ukryć przede mną mojego syna?

Od dnia, w którym przekonała się, że jest w ciąży, pragnęła podzielić się z Erikiem tą radosną nowiną. Całymi latami obserwowała mężów swoich ciężarnych przyjaciółek, którzy skakali wokół żon, gotowi spełnić każdą ich zachciankę. Widząc szczęście w ich oczach, próbowała sobie wyobrazić Erica, jak głaszcze ją po brzuchu i masuje jej obolały krzyż.

Bądź silna, powtarzała sobie w duchu. Skup się. Myśl o procesie. Zarówno w Londynie, jak i tu, w Chicago, wygrywała najtrudniejsze sprawy. Nie załamie się teraz, nie pozwoli na to, żeby Eric zburzył jej spokój.

Chmurne niebieskie oczy, zacięty wyraz twarzy, zaciśnięte usta... Patrząc na Erica, uświadomiła sobie, że chociaż się wczoraj kochali, to w gruncie rzeczy stoi przed nią obcy facet. Przystojny, wysoki, ziejący furia obcy facet.

- Nie wiedziałam, jak postąpić - przyznała szczerze.  
- Najprościej było powiedzieć prawdę. Coś w niej pękło.  
- Prawdę? - Oswobodziła ręce. - Chcesz znać prawdę? - W porządku, wygarnie mu prawdę! - Prawda jest taka, że tamtej nocy przed dziesięciu laty połączyła nas rozpacz, a nie miłość. Szukałeś pocieszenia, a ja byłam pod ręką.

Cierpiał po śmierci ojca, a ona, szaleńczo zakochana, nie potrafiła go odtrącić. Potem dokonała wyboru i postanowiła urodzić dziecko, ale...

- Twierdzisz, że mnie kochałeś. Może tak, ale na pewno nie tak, jak ja ciebie. Wiedziałam, że masz dziewczynę i nie odwzajemniasz

moich uczuć, lecz to mnie nie powstrzymało. Rano, kiedy było po wszystkim, stałam owinięta prześcieradłem, wciąż czując twój zapach, twój dotyk, wciąż przeżywając w myślach każdą chwilę, a ty cmoknąłeś mnie w czoło, podziękowałeś za to, że jestem taką cudowną kumpelką i wyszedłeś, zatraskując za sobą drzwi. Nawet się nie obejrzałeś. Chciałam umrzeć... Spochmurniał.

- Leigh...

- Przyjechałam na pogrzeb twojego ojca. Wiedziałaś o tym? Oczywiście, że nie. Ale nie szkodzi. Przyjechałam, bo cierpiałam razem z tobą, bo chciałam dodać ci otuchy...

- Powinnaś była mi powiedzieć.

- O ciąży? Kiedy? Kiedy zadzwoniłeś z informacją, że nie wracasz do Chicago, że zostajesz w Clo-verdale ze swoją mamą i Becky? Kiedy przeprosiłeś mnie za tamtą wspólnie spędzoną noc i poradziłeś, żebym wyjechała do Oksfordu?

Eric podrapał się nerwowo po nosie.

- To nie fair.

- Życie jest nie fair. Przekonałam się o tym na własnej skórze.

- Na miłość boską, Leigh! Nie wiedziałem, że jesteś w ciąży.

Korciło ją, żeby spytać: Czy zrobiłoby to różnicę? Ale ugryzła się w język. Nie ma to teraz znaczenia.

Całymi latami marzyła o małżeństwie z Erikiem. Chociaż nadal tego pragnęła, to jednak uznała, że Connor zasługuje na lepszy los - nie powinien mieszkać w domu, w którym ojciec patrzy na matkę z niechęcią, złością i pogardą.

- Wtedy nie chciałam twojej litości, tym bardziej nie chcę jej teraz - oznajmiła.

- Litości? - warknął. - O czym ty mówisz?

- Znam cię, Eric. - Uśmiechnęła się smutno. Porzucony przez rodziców chłopiec wyrósł na odpowiedzialnego mężczyznę, na którym można polegać. Nie zawiódł matki, gdy została sama, nie zawiódł chorej Becky i nie zawiódłby jej, Leigh, gdyby wiedział o jej ciąży. - Wiem, jakimi zasadami się kierujesz. Gdybym ci powiedziała o dziecku, wziąłbyś sobie kolejny ciężar na barki. Może nawet zaproponowałbyś mi ślub.

- Kolejny ciężar? Mówimy o dziecku! O moim synu!

Później pozwoli sobie na płacz, na chwilę słabości. Na razie musi pozostać silna i nieugięta.

- I moim. Nie chcę, aby Connor dorastał w rodzinie, w której ojciec z matką pobrali się tylko dlatego, że zapomnieli o prezerwatywie. - Na moment umilkła. Żądał, by była z nim szczerą? W porządku. - Wiem, jak to jest - ciągnęła. - Moi rodzice pobrali się z powodu tak zwanej wpadki. Z biegiem lat coraz bardziej się nie lubili. Nie potrafili na siebie patrzeć ani z sobą rozmawiać bez gniewu i wrogości.

Za ten stan rzeczy Leigh zawsze winiła siebie. Gdyby nie ona, rodzice żyliby oddzielnie. Może każde byłoby szczęśliwe z innym partnerem.

- Zrobię wszystko - dodała głosem przepojonym uczuciem - aby oszczędzić tego koszmaru mojemu dziecku.

- Leigh, nie jestem twoim ojcem.

- Tak, wiem. Ale wiem też, że małżeństwo zawarte z niewłaściwych pobudek nie ma szansy przetrwać.

- Boże - westchnął Eric, zaciskając powieki. Po chwili otworzył oczy.

- Przeszłości nie można zmienić - szepnęła. Słońce znikło już na horyzoncie. W holu panował półmrok.

- To prawda - przyznał. - Ty jednak postanowiłaś samowolnie zmienić przyszłość.

Obróciwszy się na pięcie, wyszedł na dwór.

- Dokąd idziesz? - spytała zaskoczona. Przystanął.

- Nie mogę dłużej z tobą rozmawiać - odparł bezbarwnym głosem. - Nie wiem, kim jesteś. Nie potrafię spokojnie na ciebie patrzeć... - Ruszył w stronę samochodu.

Jedna chwila, jedna decyzja, jedna pomyłka.

Leigh chwiejnym krokiem podeszła do drzwi i oparłszy się o framugę, patrzyła, jak Eric wsiada do auta. Nie zatrzymywała go. Chciał poznać prawdę, to ją poznał. Co dalej? Nie wiadomo.

Silnik czarnego jeepa poderwał się do życia. Wkrótce czerwone światelka znikły w oddali.

Jake spoglądał przez okno na migoczące światła Chicago.

- Wiesz, Gretchen, ona zupełnie mnie nie rozumie. Twierdzi, że łamię jej serce.

Mimo trzasków na drugim końcu linii usłyszał, jak siostra wzdycha.

- Co? Tara nalega, żebyś wrócił do Teksasu?

- Tak. Ma dość moich wyjazdów. Przeszkadza jej, że nie wie, gdzie jestem. Znudziło się jej spanie samej w łóżku.

- Dziwisz się?

- Nie, ale co ja mogę?

Nie zamierzał wracać do Teksasu, dopóki nie odnajdzie rodzeństwa i nie zdobędzie pewności, że nic im nie grozi. Co się zaś tyczy narzeczonej - starał się jej nie zaniedbywać. Codziennie wieczorem do niej dzwonił, wysyłał kwiaty, nawet wynajął ochroniarzy, którzy jej strzegli. Słabo mu się robiło na myśl o tym, że ktoś mógłby ją skrzywdzić, aby tym sposobem zmusić go do zaniechania działań. Oczywiście Tara nie miała pojęcia, że sympatyczna para, która mieszka w sąsiednim domu, to były członek Zielonych Beretów oraz mistrzyni wschodnich sztuk walki. Po prostu im mniej wiedziała, tym lepiej.

- Musisz uzbroić się w cierpliwość - poradziła mu siostra. - Powiedz, uda ci się oczyścić imię przyjaciela?

- Chyba tak. Coraz więcej na to wskazuje. Za dzień lub dwa powinniśmy dostać z niezależnego źródła informacje na temat zawartości jego komputera.

- Nie sądzisz, że...

- Nie - odparł, zanim dokończyła pytanie. - Na pewno nie jest jednym z nas.

Spędził wiele bezsennych nocy, zastanawiając się, czy Eric, jego najbliższy przyjaciel, może w rzeczywistości być jego bratem. Byli

podobnego wzrostu, podobnej budowy ciała, obaj doskonale sobie radzili z cyframi, ale patrząc na Erica, nie czuł tego dreszczu emocji, jaki go ogarniał w towarzystwie Gretchen i Marcusa. I chociaż wielokrotnie rozmawiał z Erikiem o dzieciństwie, Eric ani razu nie wspomniał o dziwnych snach albo zanikach pamięci. Nie śniła mu się ciemnowłosa kobieta o niebieskich oczach i ciepłym spojrzeniu, postawny mężczyzna w okularach, piękny stary dom nad oceanem ani złocista plaża.

A Marcus miał takie sny.

Poza tym, gdyby Eric naprawdę był „produktem Proteusza”, jak o nich coraz częściej pisała prasa, oznaczałoby to, że mógł dokonać kradzieży. A w to Jake nie wierzył.

- Kiedy otrzymamy dowody, będę wiedział na pewno. Ale wydaje mi się to mało realne.

- Szkoda - powiedziała cicho Gretchen. Odwrócił oczy od sznura świateł sunących wzdłuż

Michigan Avenue i wbił wzrok w ekran telewizora, na którym toczył się mecz pomiędzy drużyną Cubsów i Metsów.

- Znajdziemy pozostałych, Gretchen. Zobaczysz.

- Wiesz, Marcus mówił, że wczoraj śniła mu się mama.

Jake poczuł ukłucie bólu. Stracił matkę, zanim zdążył ją trochę lepiej poznać. Na szczęście miał rodzeństwo. Marcus ze swoją narzeczoną Samanthą zamieszkali razem z Gretchen i jej mężem Kurtem na niemal bezludnej wyspie o nazwie Brunhia.

- Ten sam czy jakiś nowy?

- Ten, w którym mama śpiewa piosenkę o gwiazdce mrugającej na niebie.

Jake uśmiechnął się.

- To jeden z moich ulubionych.

- Ale Marcus nie pamięta zabawek. Pewnie był za mały.

- Prawdopodobnie.

Jake doskonale je pamiętał. Pudła pełne niesamowitych zabawek, jakich nie widział w żadnym sklepie ani katalogu, na przykład mówiące psy roboty albo puzzle, które w trakcie układania zmieniały kształt i kolor.

- Jak twoja praca? - spytał. Instynktownie czuł, że wiele wyjaśni napisane skomplikowanym szyfrem notatki, który Henry Bloomfield wymyślił, by chronić swoją rodzinę. Gdyby informacje wpadły w niepowołane ręce. - Robisz postępy?

- Codziennie. Zanim do nas dotrzesz, powinnam się już ze wszystkim uporać.

Marzył o tym, żeby być z rodzeństwem, kiedy Gretchen złamie szyfr, ale nie mógł opuścić Chicago.

- Za kilka dni przyjadę - obiecał siostrze.

Tę samą obietnicę złożył wcześniej Tarze. Mieli razem wybrać się na Brunhję, na ślub Samantha i Marcusa. Oczywiście to, że celem wyprawy jest ślub jego brata, podczas gdy terminu własnego ślubu wciąż nie może ustalić, nie poprawiło Tarze humoru. Od dłuższego czasu narastało między nimi napięcie. Podejrzewał, że wkrótce dojdzie do konfrontacji.



- To fantastyczna wiadomość, Glenn. Czyli jutro rano?
- Prawie na sto procent.
- Wspaniale...

Parę minut później Leigh odłożyła słuchawkę, podniosła kubek i wypila kilka łyków kawy. Rozmowa z detektywem natchnęła ją optymizmem.

Jutro. Jutro o tej porze Glenn Moore obiecał dostarczyć jej dowód mogący oczyścić Erica z zarzutów. Alice Brady, drugi detektyw, zadzwoniła wczoraj z informacją, że ona również trafiła na wyjątkowo ciekawy materiał.

Boże, niech ten koszmar się wreszcie skończy, pomyślała Leigh, wyglądając przez okno. Po chwili zmarszczyła czoło. Uświadomiła sobie, że teraz, gdy prawda wyszła na jaw, uniewinnienie Erica niczego nie zakończy. Koszmar będzie trwał. Pomiedzy nią a Erikiem powstała przepaść nie do pokonania. Widziała jego spojrzenie, pretensję w oczach. Czy kiedykolwiek wybaczy jej zdradę?

„Nie mogę dłużej z tobą rozmawiać. Nie wiem, kim jesteś. Nie potrafię spokojnie na ciebie patrzeć”. Słowa te wciąż rozbrzmiewały jej w głowie. Jako prawniczka całe życie broniła innych, ale siebie nie umiała wybronić. Próbowwała wytłumaczyć Ericowi, co nią kierowało, ale wiedziała, że niektórych rzeczy nie sposób wybaczyć. Takich jak ukrywanie przed mężczyzną informacji, że ma syna.

Z zadumy wyrwał ją dzwonek u drzwi. Podskoczyła, rozlewając kawę. Po porannym nabożeństwie Connor poszedł do kolegi, ona zaś

wróciła do domu, zaparzyła kawę, zadzwoniła w parę miejsc, ale jeszcze nie zdążyła się przebrać. Zresztą nikogo się nie spodziewała.

Przez zasłony w salonie zobaczyła jeepa, a przez judasza - Erica. W jego oczach wciąż lśniła furia. Instynkt samozachowawczy mówił jej, by nie otwierać drzwi, ale nigdy nie należała do tchórzliwych.

- Cześć, Eric. - Serce jej waliło, głos jednak miała opanowany. -  
Dziś się ciebie nie spodziewałam.

Na jego wargach pojawił się dziwny grymas.

- Nie mam zwyczaju uciekać od problemów, Leigh.

- Nie twierdziłam, że to robisz.

- Nie chowam również głowy w piasek. I nie kłamię. W przeciwieństwie do niej, ale tego nie powiedział na głos. Sama to wyczytała z jego spojrzenia.

- Postąpiłam tak, jak uważałam, że będzie najlepiej. Twarz mu stężała.

- Ja też tak zamierzam postąpić. Jutro jestem umówiony z dwoma prawnikami. Jeden przejmie od ciebie sprawę kradzieży, drugi wystąpi w moim imieniu o przyznanie mi praw do dziecka.

Wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Dlaczego? Przecież ja...

- Potrzebuję obrońcy, któremu mogę ufać - oznajmił szorstko. -  
A co do praw rodzicielskich... przez ciebie umknęło mi dziewięć lat z życia mojego syna. Odtąd chcę go widywać każdego dnia.

Patrzyła oszołomiona na mężczyznę, którego kochała przed laty. Ale podobnie jak wczoraj, widziała przed sobą obcego, ziejącego złością człowieka.

- Nie zamierzam ci tego utrudniać - rzekła cicho.

- Nie? To dlaczego przez tyle lat nie... - Machnął ręką. -

Mniejsza o to. Teraz liczy się wyłącznie przyszłość.

Przyszłość. Przyszłość z synem i nowym prawnikiem, ale bez niej.

- Eric, myślisz, że pozwoliłabym, aby ojciec mojego dziecka poszedł do więzienia?

- Sam nie wiem, co myśleć, Leigh.

Sprawił wrażenie zmęczonego. Ona też była półprzytomna. Podejrzewała, że oboje spędzili bezsenłą noc.

- Postąpisz, jak zechcesz - rzekła. - Ale ja nie zrezygnuję z twojej obrony.

Zmrużył oczy.

- To znaczy?

Rzuciła mu gniewne spojrzenie. Owszem, zasłużyła na jego złość i pogardę, ale nie będzie jej rozkazywał

- Wbrew temu, co ci się wydaje, ja też nie chowam głowy w piasek. I nie przerywam tego, co zaczęłam.

- Wcale cię o to nie proszę. Po prostu mówię ci, co postanowiłem.

- I czego ode mnie oczekujesz? Że ci pogratuluję?

- Wprost przeciwnie - warknął.

- W takim razie nie mamy sobie nic do powiedzenia - oznajmiła chłodno, z trudem powstrzymując łzy. - Jeżeli nie przyszedłeś tu, żeby ze mną porozmawiać ani mnie wysłuchać, to wracaj do siebie.

Zakławszy pod nosem, zrobił to, czego od niego żądała. Odwrócił się i nie oglądając za siebie, ruszył podjazdem do zaparkowanego przy krawężniku samochodu.

Odprowdziła go wzrokiem. Kiedy usiadł za kierownicą i zatrzasnął drzwi, wyprostowała ściśnięte w pięść palce i przeszła do okna w salonie. Błękit nieba urozmaicało kilka białych chmurek widocznych na horyzoncie.

Przeszłość nie ma większego znaczenia; jak słusznie zauważył Eric, liczy się przyszłość. I właśnie o lepszą przyszłość Leigh zamierzała walczyć. Eric może ją zwolnić, może zrezygnować z jej usług, może odwrócić się na pięcie i odjechać swoim jeepem, ale nie może zabronić jej działać.

Mimo że latami go okłamywała, mimo że złamał jej serce, za bardzo go kochała, aby zostawić go na pastwę losu.

Złapawszy piłkę, Connor odwrócił się i rzucił ją w stronę pierwszej bazy. Piłka doleciała do zawodnika, który ją odbił. Eric poderwał się na nogi.

- Brawo, Connor! Świetny rzut.

Chłopiec uśmiechnął się zadowolony, po czym przycupnął, czekając na kolejne odbicie. Eric przybył na miejsce dosłownie pięć minut przed rozpoczęciem meczu. Wcześniej przez kilkanaście minut krążył po okolicy, usiłując umknąć dziennikarzom, którzy nie

odstepowali go na krok. Dojrzawszy ojca, Connor zostawił kolegów i podbiegł na moment w stronę trybun dla publiczności.

- Przyjechałeś! - zawołał uradowany, demonstrując odziedziczony po Ericu dołeczek w policzku. - Super!

- Nie przegapiłbym tego za skarby świata - oznajmił ze ściśniętym gardłem Eric.

Zbyt wiele już stracił: nie był przy narodzinach syna, nie słyszał jego pierwszych słów, nie widział pierwszych niezdarnie stawianych kroków, nie uczył go jazdy na rowerze ani gry w baseball.

Wbrew sobie musiał jednak przyznać, że jeśli chodzi o wychowanie syna, Leigh wykonała kawał dobrej roboty.

Tamtego wieczoru po powrocie do domu długo stał na tarasie, rozmyślając o przeszłości i teraźniejszości. Ma z Leigh syna. Gdyby byli dwojgiem obcych ludzi, którzy dziesięć lat temu upili się i wylądowali w łóżku, wtedy rozumiałby jej milczenie. Ale przecież tak nie było. On rozpaczał po śmierci ojca, a Leigh, jego najlepsza przyjaciółka, starała się go pocieszyć. Tak wiele ich łączyło, radości i smutki, żarty i tajemnice. Zwierzali się sobie; ona opowiedziała mu o swoim samotnym dzieciństwie, o tym, jak czuła się winna za nieudane małżeństwo rodziców, z kolei on jej opowiedział o swoim dzieciństwie, bardzo szczęśliwym, o ukochanych rodzicach adopcyjnych i niezaspokojonej ciekawości na temat mężczyzny i kobiety, którzy wydali go na świat, a następnie porzucili.

Z zadumy wyrwał go odgłos odbitej piłki. Leciła wysoko. Złapał ją z powietrza gracz środkowo zapolowy. Connor wydał głośny okrzyk radości i podbiegł do kolegi. Pałkarz został wyeliminowany.

Eric wstał i zaczął klaskać. Connor zerknął przez ramię i posyłając mu szeroki uśmiech, zszedł z boiska. To było niesamowite; widzieli się raz w życiu, ale obaj mieli silne poczucie więzi. Czeka ich wspaniała przyszłość. I Eric nie zamierzał z niej zrezygnować.

Nagle spostrzegł Leigh. Szła w jego kierunku ubrana w beżowe szorty i czerwoną bawełnianą koszulkę.

- Przyszedłeś - powiedziała.

- Obiecałem Connorowi. - Popatrzył na grupę chłopców, wśród której znajdował się jego syn. - Ma talent - dodał.

Na widok promiennego uśmiechu Leigh serce zabiło mu mocniej.

- To świetny dzieciak - powiedziała. - Dużo straciłam? - spytała, patrząc na boisko.

- Dwie zmiany.

Odwróciła się, zamierzając przejść dalej, ale Eric chwycił ją za rękę.

- Ucieszy się, widząc nas razem. - Ignorując jabłkowy zapach, którym pachniały jej włosy i który wciąż utrzymywał się na jego pościeli, wskazał Leigh miejsce koło siebie. - Usiądź.

Widok roześmianego ojca z synem towarzyszył jej przez całą noc, a także następnego dnia, kiedy jechała do pracy. Reszta meczu minęła szybko. Connor znakomicie się spisywał; wyskakiwał w

powietrze, robił niesamowite ślizgi, łapał piłki, rzucał je, odbijał, a po każdym zagranie oglądał się w stronę trybun i posyłał rodzicom radosny uśmiech.

Potem przybiegł do nich zmęczony, lecz szczęśliwy, w czapce baseballowej na głowie, z plamami od trawy na kolanach spodni, i zaproponował pizzę. Widząc jego błagalne spojrzenie, Leigh wiedziała, że nie może odmówić.

Ojca i syna łączyły nie tylko więzy krwi. Siedząc naprzeciw nich w restauracji, patrzyła z zafascynowaniem na dwie pary identycznych niebieskich oczu, na identyczne dołeczki w policzkach i identyczne zadziorne uśmiechy. Obaj uwielbiali pizzę z pepperoni i pieczarkami, napój imbirowy i piosenkarza Jimmy'ego Buffetta. Przez kilka godzin prawie stanowili rodzinę.

Była świadoma niebezpieczeństwa od chwili, gdy tydzień temu, w duszny, upalny poranek, Eric zjawił się w jej biurze i wypowiedział dwa słowa: „Potrzebuję cię”. Wtedy poczuła, jak opuszcza ją rozwaga i zdrowy rozsądek.

Siedziała zamyślona przy biurku, wpatrując się w zimną kawę, kiedy nagle zadźwięczał przez interkom głos Julii:

- Przyszło dwóch panów. Pan Glenn Moore z panem Sethem Mitchellem.

Serce Leigh załomotało gwałtownie. Przystępując do działania, oczekiwała właśnie takiego rezultatu. Ale teraz, gdy nadszedł moment prawdy, ogarnął ją straszliwy lęk.

Jedna chwila, jedna decyzja, jedna pomyłka.

Modląc się w duchu, aby to nie była kolejna pomyłka, wstała od biurka, żeby powitać gości.

Trzy kwadranse później, wstrzymując oddech, nacisnęła dzwonek do drzwi mieszkania Erica. Serce waliło jej coraz mocniej. Wreszcie Eric otworzył drzwi.

Chodził tam i z powrotem po eleganckim pokoju hotelowym, drżąc na myśl o telefonie, który musi wykonać. Nie miał pojęcia, jak szef zdobył informacje, które on sam tak pieczołowicie starał się ukryć.

Cholera, był tak bliski celu. Jeszcze tylko trzy wpłaty na konto i byłby urządzony do końca życia.

Powinien wyjechać. Wsiąść w samolot, polecieć na drugi kraniec świata, wtopić się w tłum anonimowych ludzi.

Ale od tych, którzy chcą dopaść Jake'a Ingrama, nie ma ucieczki. Ich wpływy sięgają zbyt daleko; wszędzie by go znaleźli. Wiedział, że nigdy się nie poddadzą, nie zaprzestaną poszukiwań tajemnic Henry'ego Bloomfielda, do których - byli tego pewni - prędzej czy później doprowadzi ich Ingram. Miał tylko jedno wyjście: naprawić swój błąd.

- Ta kobieta za dużo wie - rzekł po chwili szorstki głos w słuchawce. - Nie możemy sobie pozwolić na ryzyko.

- Nie zdoła dowieść jego niewinności - zaprotestował. Owszem, wiedział o spotkaniu w jej biurze, o odkryciu, jakiego dokonała, ale to jeszcze nie znaczy, że uda jej się poznać całą prawdę. - Dowody przeciwko niemu są mocne i nie do zbicia.



- Laptop Jonesa zniknął z laboratorium w Quantico. Mężczyznę przeszył dreszcz.

- To niemożliwe.

- Musiałem podjąć stosowne kroki. - W słuchawce zaległa cisza.

- Czy w Chicago mam również zainterweniować?

- Nie - odparł szybko mężczyzna, dobrze wiedząc, co taka interwencja za sobą pociąga. Był już na jednym pogrzebie. - Sytuacja jest pod kontrolą.

- Powstrzymaj ją - rozkazał szef. - Powstrzymaj, zanim ona powstrzyma ciebie.

Połączenie zostało przerwane, ale groźba wciąż dźwięczała w uszach mężczyzny. Chociaż rzadko się bał, teraz przeniknął go strach. Popęłnił niewybaczalny błąd: nie docenił długonogiej brunetki, jej odwagi, bystrości oraz uczucia, jakim darzyła oskarżonego - faceta, którego wytypowano do roli ofiary.

Każdy błąd pociąga za sobą określone konsekwencje. Za każdy płaci się jakąś cenę. Mężczyzna podrapał się po brodzie. Ale to nie on zapłaci.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Była ostatnią osobą, którą spodziewał się ujrzeć. Wczorajszy koński ogon, szorty i bawełnianą bluzeczkę zastępował dziś starannie upięty kok oraz elegancki czarny żakiet i spodnie, zestaw niezwykle zmysłowy mimo konserwatywnego kroju. W sumie jednak sprawiała wrażenie zmęczonej, twarz miała bladą, oczy podkrążone.

Ku własnemu zaskoczeniu zrobiło mu się jej żal; najchętniej zgarnąłby ją w ramiona i nigdy nie puścił. Leigh, kumpelka, kochanka, matka jego syna. Znow ogarnęła go złość, tym razem nie na nią, lecz na siebie.

- Leigh?

- Cześć. Dobrze, że cię zastałam.

Dwa dni temu przytuliłby ją mocno i pocałował. Dziś stał bez ruchu; bał się odezwać, bał się poruszyć.

- Zaszły pewne zmiany, które zainteresują ciebie i twojego nowego obrońcę - oznajmiła silnym głosem, lecz w jej oczach lśniły łzy, a ręce się trzęsły.

Sięgnęła do dużej skórzanej torby zawieszanej na ramieniu, z której po chwili wyjęła pudełko na buty.

- Co to? - spytał podejrzliwie.

- Listy - odparła. - Od twojej biologicznej matki do twojego biologicznego ojca.

Spojrzał na pudełko, potem znow na Leigh.

- O czym ty mówisz?

- Może zaciekawiają twojego nowego obrońcę -kontynuowała dziwnie obojętnym głosem. - Nie jesteś produktem żadnego eksperymentu genetycznego. Przeciwnie, zostałeś poczęty z miłości, w sposób jak najbardziej tradycyjny.

- Przez moich rodziców biologicznych? - Dziesiątki pytań cisnęły mu się na usta.

W odpowiedzi Leigh uśmiechnęła się ciepło.

- Jest tu ktoś, kogo powinieneś poznać - rzekła. Odsunawszy się na bok, wskazała ręką na schody, na których stał wysoki szpakowaty mężczyzna o niebieskich oczach.

Trzymając się poręczy, mężczyzna, który wyglądał tak, jakby wiele w życiu wycierpiał, postąpił naprzód. Ubrany w spłowiełe dżinsy i cienką koszulę w kratę, szedł wolno, niepewnie, jakby każdy krok sprawiał mu ból. Ale jego twarz... oczy, usta, zarys szczęki... Eric nie mógł oderwać od niego wzroku. Oszołomiony, ruszył obcemu naprzeciw. Miał wrażenie, jakby patrzył na siebie za lat dwadzieścia pięć.

Zerkając nerwowo na Leigh, starszy mężczyzna przystanął.

- Witaj, synu.

Eric nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Krew dudniła mu w skroniach, świat wirował przed oczami.

- Mój ojciec zmarł dziesięć lat temu.

Starszy mężczyzna wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć twarzy Erica.

- Mój Boże, masz identyczne kości policzkowe jak twoja mama.

Eric cofnął się.

- Kim, u diabła, jesteś? - wycharczał.

- Nazywam się Seth - oznajmił obcy. - Seth Mitchell.

- Pan Mitchell jest twoim biologicznym ojcem -powtórzyła

Leigh.

Eric nie wytrzymał.

- Moim ojcem? Moi biologiczni rodzice oddali mnie do adopcji trzydzieści trzy lata temu. Od tej pory ani razu się mną nie zainteresowali.

- Twoja matka nie żyje - rzekł mężczyzna. -Zmarła w wypadku samochodowym, kiedy miała dwadzieścia lat.

Eric zaniemówił z wrażenia. Nie, to niemożliwe, pomyślał po chwili.

- Nieprawda! Zostawiła mnie w domu dziecka. Nie chciała się mną dłużej opiekować.

- Mylisz się. - Seth wskazał na pudełko, które Eric upuścił na podłogę. - Twoja mama nigdy by cię nie porzuciła. Kochała cię z całego serca.

Z pudełka wysypały się pożółkłe ze starości koperty bez znaczków adresowane do Setha Mitchella. Na każdej w lewym górnym rogu figurowało nazwisko nadawcy: Tammy Adams.

W oczach mężczyzny, tak podobnych do oczu Erica i Connora, zalśniły łzy.

- Byłem w Wietnamie - powiedział załamującym się głosem. -  
Od razu po maturze zostałem powołany do wojska. Kiedy  
wyjeżdżałem, Tammy nie wiedziała, że jest w ciąży.

Eric zadumał się. Seth... Seth Mitchell. Właśnie tak miał na  
drugie imię: Mitchell. Eric Mitchell Jones.

- Jak długo tam byłeś? W Wietnamie?

- Sześć lat. - Mężczyzna odruchowo potarł ręką ramię. -

Wcześniej wróciłbym z tego piekła, ale po śmierci Tammy życie  
straciło dla mnie sens.

- A dziecko? - spytał szorstkim tonem Eric. - Ono się nie  
liczyło?

Z gardła Setha wydobył się niski jęk.

- Nie miałem o tobie pojęcia. Tammy o wszystkim napisała mi w  
listach, których nie wysłała. Uważała, że trudniej mi będzie służyć w  
wojsku, wiedząc, że mam syna. - Z oczu mężczyzny popłynęły łzy. -  
Kiedy zginęła, mój kuzyn przysłał mi wycinek z gazety. W  
ciężarówce pękła opona. Pojazd staranował balustradę i zjechał na  
przeciwny pas ruchu. W wypadku śmierć poniosła dwudziestoletnia  
Tammy Adams i jej dwuletni synek... - Urwał. Na jego twarzy  
malował się grymas bólu.

- Dlatego pan Mitchell wcześniej nie wrócił z Wietnamu. - Leigh  
zaciśnęła dłoń na ramieniu Erica. - Sądził, że umarłeś.

Całe życie Eric żył w przeświadczeniu, że rodzice oddali go do  
adopcji, że nigdy się nim nie interesowali. On ze swej strony nigdy ich  
nie szukał, nawet nie próbował się dowiedzieć, kim są., Bo i po co?

Teraz stał naprzeciwko chudego mężczyzny w średnim wieku, o niebieskich oczach i dołeczku w lewym policzku, który patrzył na niego z miłością zmieszaną z cierpieniem, i twierdził, że jest jego ojcem.

- Nie... nie rozumiem. - Eric zwrócił się do Leigh. Czuł się bezradny i bezbronny. - Ja... nie...

W jej oczach migotały łzy.

- Chciałam pokazać, że nie jesteś żadnym „dziwolągiem” genetycznym. Pomyślałam sobie, że jeśli udowodnię, że zostałeś poczęty w sposób tradycyjny, a nie w laboratorium, upadnie jeden z ich koronnych argumentów.

- Mogłaś mnie uprzedzić.

- Po co? Żeby wzbudzić w tobie nadzieję? A gdyby mi się nie udało? - Odgarnęła włosy za uszy. - Zrozum, nie wiedziałam, czym się moje poszukiwania zakończą.

- Jesteś... pewna? - Głos mu się załamał.

- Masz znamię na krzyżu - powiedział cicho Seth. - Tammy napisała mi o tym w jednym z niewysłanych listów. I kogutka na czubku głowy. Ja też.

I Connor, pomyślała Leigh.

- Eric... Detektyw, którego wynajęłam, odwiedził wiele sierocińców w stanie Iowa. Szukał informacji o dwuletnim chłopcu oddanym do adopcji w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku. W małym miasteczku tuż koło Cedar Rapids trafił na kobietę, której matka prowadziła sierociniec. Ona sama była wówczas dzieckiem i

bawiła się z dziećmi mieszkającymi w tym domu. Pamiętała małego szkraba o chabrowych oczach; przywiozła go kobieta w średnim wieku, która twierdziła, że matka chłopca zginęła w wypadku i że małym nie ma się kto opiekować. Uciekła, nie wypełniwszy żadnych formularzy.

- Dottie nigdy za mną nie przepadała - oznajmił z goryczą Seth. - To przez nią Tammy i ja nie pobraliśmy się przed moim wyjazdem do Wietnamu.

- Dalej poszło już łatwo - ciągnęła Leigh. - Glenn, mój detektyw, zaczął przeglądać gazety z tamtego okresu, szukając artykułów o wypadkach samochodowych, w których były ofiary śmiertelne. Trafił na wzmiankę o niejkiej Tammy Adams, która zginęła tej wiosny. Jej ciotka, a twoja cioteczna babka, nadal mieszka w Pełli, tam, gdzie się urodziłeś. Opowiedziała Glennowi, że jej siostrzenica Tammy zginęła ze swoim malutkim synkiem Erikiem w wypadku samochodowym i że matka Tammy, Dottie Adams, nigdy nie otrząsnęła się po tej tragedii.

Eric zaklął pod nosem.

- Gdybym wiedział o twoim istnieniu - wtrącił Seth, ujmując syna za ramię - poruszyłbym niebo i ziemię, żeby cię odnaleźć.

Eric napotkał wzrok ojca.

- Musimy zrobić badanie DNA.

- Już to załatwiłam - oznajmiła Leigh. - Dziś po południu pójdziecie na pobranie krwi.

- Przeczytaj listy, synu. Ciotka Tammy znalazła je na strychu u Dottie. Kiedy mi je oddała, poczułem się tak, jakbym się cofnął w czasie. Tammy pisała o wszystkim: jak się czuła, kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży; jak bardzo chciała mnie zawiadomić o dziecku i dlaczego postanowiła zachować to w tajemnicy; o tym, jak zacząłeś się ruszać w jej brzuchu; o porodzie, o twoim uśmiechu, o pierwszym słowie, jakie wypowiedziałeś...

- Jakie było to pierwsze?

- Ciacho. - Seth zaśmiał się wesoło.

Eric poczuł, jak usta same rozciągają mu się w uśmiechu.

- Drugie to dada, a trzecie mama.

- Dada - powtórzył cicho Eric. Jeszcze tydzień temu był człowiekiem samotnym, bez rodziny i korzeni. Dwa dni temu odkrył, że ma syna. Natomiast dziś, jeśli Leigh się nie pomyliła, okazuje się, że ma ojca. - Tata.

- Eric... - szepnął Seth Mitchell i zgarnął go w ramiona. - Mój synu.

Wygląda zupełnie jak ty, Seth. Chciałabym, żebyś był już z nami, mógł zobaczyć swojego syna, wziąć go na rękę. Ta mała istotka daje mi wprost niewyobrażalne szczęście, nawet gdy o czwartej nad ranem domaga się jedzenia. Uwielbiam siedzieć po ciemku, z dzieckiem przy piersi. Patrząc, jak malutki ssie, wiem, że bez względu na to, ile dzieli nas kilometrów, częśćka ciebie jest ze mną.

Utrzymanie dziecka w tajemnicy przed tobą to najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.



Domyślam się, jak potwornie ciężko musi ci być na wojnie. Gdybyś wiedział, że w domu czeka na ciebie maleństwo, byłoby ci sto razy ciężiej. Tylko dlatego postanowiłam nie informować cię o dziecku. Kocham cię, misiaczku. I jestem z ciebie bardzo dumna.

Wiedz, że cały czas o tobie myślę. I modlę się, żebyś wrócił do nas cały i zdrowy. Nie mogę doczekać się chwili, kiedy będziesz uczył naszego syna jazdy na rowerze i gry w baseball. Wybacz mi, kochany, wybacz tę tajemnicę. I nigdy nie zapomnij o tym, jak bardzo cię kocham.

Nie zapomniał, pomyślał Eric, odkładając pozólkły list. Nie zapomniał i sam też nigdy nie przestał kochać Tammy. Do dziś nie potrafi pogodzić się z jej śmiercią. Wrócił z Wietnamu cały i zdrów, tak jak się o to modliła, ale jej już nie było wśród żywych. Nie miał narzeczonej, nie miał syna. Zostały mu tylko wspomnienia, cienie przeszłości.

Wczesnym popołudniem Eric i Seth udali się na badanie DNA. Teraz, stojąc na tarasie i wpatrując się w zachodzące słońce, Eric wiedział, że wyniki nie są mu do niczego potrzebne. Seth Mitchell to jego ojciec. Czuł to instynktownie, tak jak wcześniej instynktownie wyczuł, że Connor jest jego synem. Westchnął głęboko. Czyli ma ojca i syna. A wszystko dzięki Leigh.

No właśnie, Leigh...

- Dla odmiany pomyśl o niej - oznajmił Jake, kiedy wstąpił rano, aby powiedzieć mu, że do jutra Ethan powinien mieć informacje na temat zawartości jego laptopa.

Po minie Erica Jake od razu się zorientował, że coś musiało się wydarzyć. Eric nie widział powodu, by ukrywać przed przyjacielem, że ma syna. Jake'a jakoś nie zdziwiła ta wiadomość. Zareagował tak, jakby o tym wiedział, a przynajmniej się domyślał. W dodatku wziął stronę Leigh.

- Ona świata poza tobą nie widziała.

- Byliśmy przyjaciółmi - zaproponował Eric. Jake roześmiał się gorzko.

- Indy, ty ślepak! Przecież cały czas wodziła za tobą rozkochanym wzrokiem.

- Ale to nie zmienia faktu, że mnie okłamała.

- Nie okłamała.

- Nie powiedziała mi, że mam syna.

- Nie sądziła, że się ucieszysz. Lada dzień miałeś ożenić się z Becky. Zachęcałaś Leigh, żeby wyjechała. Ona cię kochała, stary. Myślisz, że mogłaby zniszczyć twoje życie, zburzyć twoje plany?

Eric poczuł bolesne klucie w piersi.

- Nigdy nie sądziłem, że to ci powiem, Indy - rzekł na odchodnym Jake - ale zachowujesz się jak dureń.

Wysiadła z windy z aktówką w jednej ręce, styropianowym kubkiem kawy w drugiej. Zbliżały się urodziny Connora. Hm, trzeba zaprosić kolegów z drużyny baseballowej, a potem... może zabrać ich na paintballa i pizzę?

Oczywiście musi również zaprosić Erica.

Serce zabiło jej mocniej. Eric. Odtąd będzie stałym elementem ich życia; nic tego nie zmieni. Zresztą nawet nie chciała niczego zmieniać. Ojciec i syn powinni się lepiej poznać, zaprzyjaźnić. Obaj ojcowie i obaj synowie.

- Było kilka telefonów - powiedziała Julia na widok swej szefowej. - Przełączyłam je na twoją pocztę głosową.

- Dzięki. Kochana jesteś.

- Leigh? - Julia była bardziej przyjaciółką niż pracownicą. Często razem śmiały się, zwierzały jedna drugiej. - Wyglądasz jakoś... mizernie.

Leigh uśmiechnęła się.

- Po prostu jestem zmęczona.

- Sprawą Jonesa?

- W dużej mierze.

- Może więc te telefony cię ucieszą. Parę minut temu dzwonił Ethan Williams. Z ważną wiadomością.

- Dzięki.

Wszedłszy do gabinetu, Leigh skierowała wzrok na czerwone światełko mrugające na aparacie telefonicznym. Odstawiła kawę, odłożyła aktówkę i sięgnęła po słuchawkę. Zanim jednak przystawiła ją do ucha, zauważyła leżącą na biurku pojedynczą kartkę.

**TO BYŁO OSTATNIE OSTRZEŻENIE.**

Wielkie czarne litery wyglądały tak, jakby pisano je z pomocą szablonu. Leigh wciągnęła gwałtownie powietrze. Wszystko wirowało jej przed oczami. Po chwili wcisnęła przycisk interkomu.

- Julio, czy ktoś dziś wchodził do mojego gabinetu?
- Nikogo nie widziałam. Coś się stało?
- Może. Na wszelki wypadek wezwij ochronę. Ręce jej drżały.

Nie należała do osób bojaźliwych, mimo to czuła dziwny niepokój.

- Ktoś bardzo chce wiedzieć, o czym pani rozmawia - oznajmił kwadrans później Bob Kitchens, szef ochrony.

Uniósł pincetę, demonstrując mały okrągły przedmiot, który przypominał nowoczesny aparat słuchowy.

- Co to? Podśluch?
- Na to wygląda. Wystraszyła się.
- Myśli pan, że jest ich więcej?

Bob schował urządzenie do torebki plastikowej.

- Wszystko dokładnie sprawdzimy, trzeba też będzie zawiadomić policję, ale na razie radziłbym pani korzystać z innego aparatu.

Leigh przycisnęła palce do skroni. Przypomniała sobie rozmowy, jakie w ostatnim czasie prowadziła ze swojego biurowego telefonu, na podstawie których wróg z łatwością mógł odgadnąć planowaną przez nią linię obrony.

- Czyściutki - oznajmił Ethan, kiedy oddzwoniła do niego z sali konferencyjnej. - Moi przyjaciele z Quantico potwierdzili, że podejrzane dyskiety nie mogły zostać nagrane z twardego dysku komputera Erica.

- Można to udowodnić?

- Z całą pewnością. Nie będę ci tłumaczył jak, bo to dość skomplikowane dla laika, ale absolutnie można,

- Dlaczego pierwszy facet, który analizował dane, nie zauważył tego?

- Może zauważył.

- Nie rozumiem...

- Facet zniknął. Nikt go nie widział, odkąd zacząłem zadawać pytania.

Dreszcz przebiegł Leigh po plecach.

- Myślisz, że go przekupili?

- Niewykluczone - odparł Ethan. - Jednego się nauczyłem. Że wszędzie trafiają się zdrajcy.

Parę minut później Leigh odłożyła słuchawkę i wróciła myślami do białej kartki z czterema słowami: „To było ostatnie ostrzeżenie”. Wróg zaczyna tracić grunt pod nogami. Nic dziwnego, pomyślała.

Druga wiadomość w poczcie głosowej pochodziła od Haka. Leigh oddzwoniła. Hak spędził ostatnie dwie doby w pokoju hotelowym i również dokonał paru ważnych odkryć, między innymi takiego, że cybernetyczne tropy prowadzące do komputera Erica parę miesięcy wcześniej prowadziły do komputerów firmy lotniczej w Oregonie. Odnalazł też konto, na które zaraz po kradzieży w Banku Światowym ktoś systematycznie przelewał pieniądze, po sto tysięcy dolarów.

Leigh poczuła przypływ adrenaliny. Właśnie dlatego poszła na prawo - uwielbiała ten dreszcz podniecenia, kiedy wszystkie kawałki łamigłówek zaczynają układać się w całość.

Tak, została ostrzeżona. Ale wróg nie doceniał jej uporu i inteligencji.

Trzecią wiadomość zostawiła detektyw Alice Brady. Leigh oddzwoniła do niej wczesnym popołudniem -i uzyskała kolejne kawałki łamigłówek. Od trzech dni Alice śledziła podejrzanego. Była świadkiem paru potajemnych spotkań, które odbywały się głównie nocą w ciemnych, mało uczęszczanych miejscach. Alice wszystkie nagrała. Podczas jednego spotkania obiekt rozmawiał z facetem sfotografowanym na przyjęciu z Erikiem, przypuszczalnie zastępcą generała DeBruzkiji. Podczas innego rozmówcy mówili bardzo podniesionymi głosami. Dwukrotnie jakaś paczka wędrowała z rąk do rąk.

Odłożywszy słuchawkę, Leigh uśmiechnęła się leciutko. Tak, została ostrzeżona, ale nie wycofa się. Jest bliska rozwiązania sprawy. Z uśmiechem na ustach poprosiła Julię, by ją połączyła z prokuratorem federalnym, panią Rebecca Salinger.

- Musimy porozmawiać - oznajmiła. - Dzisiaj.

Dokładnie o trzeciej po południu ruszyła do wyjścia, kiedy zadzwonił telefon. W pierwszej chwili chciała go zignorować, ale coś jej kazało zawrócić.

- Leigh Montgomery, słucham - powiedziała, przykładając słuchawkę do ucha.

- Dzień dobry - rzekł nieznany jej głos. - Tu Joe Lewis z agencji ochrony Trilegient. Dzwonię powiedzieć, że u pani w domu wciśnięto przycisk wzywający pomocy.

Leigh zastygła bez ruchu. Serce waliło jej jak oszalałe.

- Przycisk pomocy? - powtórzyła szeptem.

- Dyspozytor usiłował porozumieć się z pani domem. Nikt nie odbiera telefonu. Wysłano już radiowóz.

- Kiedy to się stało? - spytała.

- Niecałe pięć minut temu.

- Postaram się być tam jak najszybciej. Wybiegła z gabinetu.

Czekając na windę, przestępowała nerwowo z nogi na nogę. Przycisk pomocy nie mógł się włączyć samoczynnie; Connor zaś wiedział, że nie wolno go dotykać, chyba że stałoby się coś złego. Rozmawiali o tym dziesiątki razy. Leigh przytoczyła synowi opowieść o chłopcu, który dla żartów wołał „wilk”, aż wreszcie nikt nie zareagował na wołanie i wilk faktycznie go pożarł.

Wpadła do windy i zjechała na parking. Szkoła jeszcze się nie zaczęła. Connor był w domu z Trish, studentką, która opiekowała się nim podczas letnich wakacji. Leigh rozmawiała z nimi pół godziny temu. Wszystko było w porządku, nie planowali nigdzie wychodzić. Więc dlaczego w agencji ochrony odebrano wiadomość, że w domu wciśnięto przycisk pomocy? I dlaczego nikt nie odbierał telefonu?

Całe szczęście, że wysłali już radiowóz.

Drzwi windy rozsunęły się w mrocznych podziemiach budynku. Leigh rzuciła się pędem do samochodu. Wsiadła, cisnęła aktówkę na fotel pasażera, po czym z piskiem opon opuściła parking.

Eric. Nie dzwoniła dziś do niego; chciała dać mu czas, aby nacieszył się ojcem, poza tym planowała, że podczas następnego spotkania będzie miała dla niego miłą niespodziankę: wiadomość, że prokuratura odstąpiła od oskarżenia. Drżącą ręką wystukała jego numer na swojej komórce, po czym włączyła się w ruch uliczny.

- Eric?! - zawołała, gdy w słuchawce odezwał się spokojny, niski głos. - Dzięki Bogu!

- Leigh? Co się stało?

- Chodzi o Connora. - Oddech miała szybki, urywany. - Przed chwilą dzwonił z agencji ochrony. W domu włączono przycisk pomocy.

- A Connor jest w domu?

- Rozmawiałam z nim pół godziny temu. Nie zamierzał wychodzić.

Eric zaklął pod nosem.

- Nie denerwuj się, kochanie. To na pewno fałszywy alarm.

- Dostałam dziś kolejny anonim. Z tekstem: „To było ostatnie ostrzeżenie”.

Tym razem Eric zaklął głośno i siarczyście.

- Dobra. Już jadę.

- Pośpiesz się.



- Leigh, weź kilka głębokich oddechów... Próbowala, ale płuca odmawiały posłuszeństwa.

Dotarła do autostrady. Jechała z nogą na gazie, raz po raz zmieniając pasy. Tylko nie Connor, tylko nie Connor, powtarzała w myślach. Jest najwspanialszą istotą na świecie. Nie wyobrażała sobie życia bez niego. Jeżeli cokolwiek mu się stanie... Nie, przestań! Nawet nie wolno ci tak myśleć, zganiła się w duchu.

Kiedy skręciła w swoją ulicę, wszystko wyglądało normalnie. Dzieciaki Baxterow bawiły się przed domem, świeżo upieczeni emeryci Aucoinsowie wybierali się na przejażdżkę rowerową, zawsze chętna do pomocy pani Miller podlewała petunie, pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna, który niedawno zamieszkał dwa domy dalej, wyszedł na jogging. Gałęzie drzew opadały łagodnie, dając schronienie przed słońcem.

Nagle, na końcu ulicy, zobaczyła swój dom. Ładną murowaną chałupkę, którą uważała za swoją przystań i swoje królestwo. Wokół panował spokój. Nie było żadnych radiowozów, żadnych karettek. Zgasila silnik. Nic nie wyło, żaden alarm. Okna były zasłonięte, drzwi zamknięte.

W pierwszej chwili Leigh poczuła ulgę, potem ogarnął ją strach. Przyjechała za późno! Policja na pewno już tu była i zdążyła odjechać! Zabrano Connora...

Nie! Wysiadła z auta i ile sił w nogach rzuciła się w stronę domu. Nie, Connorowi nic się nie stało. Po prostu zaszło nieporozumienie. Niechący nacisnął przycisk i...

- Connor! - zawołała zdziwiona, że drzwi frontowe są otwarte.  
Na moment przystanęła w holu, żeby oczy przywykły do panujących  
wewnątrz ciemności. - Connor!

- Jak to miło, że przyszedłeś - usłyszała gruby męski głos. -  
Czekałem na ciebie.

Najpierw ujrzała połyskujący w mroku pistolet skierowany w jej  
serce. Potem podniosła wzrok i zobaczyła twarz.

Scandalous

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Ostrzegano cię - powiedział agent Daniel Venturi. - Powinnaś była pozwolić Jonesowi wziąć na siebie winę. Koalicja nie lubi, jak ktoś jej przeszkadza.

Leigh ogarnęło śmiertelne przerażenie. To była pułapka. Została podstępnie zwabiona do domu. Policja nie przybędzie jej na ratunek.

- Gdzie mój syn? Coście z nim zrobili? Venturi wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu.

W jego oczach pojawił się dziwny, maniackalny błysk.

- Chłopiec jest w drodze do szpitala. Pół godziny temu zadzwonił do niego lekarz ze szpitala Memorial. Jak każde kochające dziecko, twój syn chce być przy boku umierającej matki.

- Ty draniu! - syknęła Leigh. - Powiedzieliście mu, że miałam wypadek, tak?

- Troszkę skłamaliśmy. Zaraz będziesz martwa. Leigh oprzytomniała. Spojrzawszy na wycelowany w siebie pistolet, przypomniała sobie swoje poranne rozmowy telefoniczne - z Hakiem, który wytropił wpłaty dokonywane na konto Venturiego, i z Alice, która śledziła go i nagrywała.

- Pracujesz dla nich. To ty wszystko obmyśliłeś.

- Zawsze twierdziłem, że kobieta powinna zajmować się dziećmi i domem, a nie wtrącać się w nie swoje sprawy - rzeki Venturi, nie reagując na jej oskarżenie.

- Eric Jones jest niewinny.

- Sytuacja radykalnie się zmieni, kiedy policja znajdzie twoje ciało.

Zrobiło jej się słabo.

- Nie bądź śmieszny. Nikt nie uwierzy, że Eric mógłby mieć cokolwiek wspólnego z moją śmiercią.

- Zwolnił cię. Nie życzył sobie, żebyś go dłużej broniła. Ale ty uparcie dalej szperałaś. I najwyraźniej musiałaś doszukać się czegoś, co on chciał ukryć.

- Owszem. Doszukałam się. Ciebie.

- Czas się pożegnać, pani mecenas. Chęć pogrążenia Venturiego dodała jej sił.

- Nie, proszę, nie w domu mojego syna. Nie chcę, żeby mnie tu znalazł.

- Trzeba było wcześniej o nim pomyśleć - warknął agent.

- Zabicie mnie niczego nie zmieni - powiedziała, usiłując zyskać na czasie. - Machina już została puszczone w ruch. Prawda wyjdzie na jaw bez względu na to, co się ze mną stanie.

Venturi parsknął śmiechem.

- Myślisz, że w to uwierzę?

- Wierz, w co chcesz, ale moja śmierć nie przysłoni prawdy. Inni już ją znają.

W oczach mężczyzny pojawił się błysk niepokoju. Przypomniał sobie, że założył podsłuchy w gabinecie Leigh, ale nie w sali konferencyjnej, skąd też mogła dzwonić.

- W takim razie ich też będę musiał uciszyć -oznajmił. - Każdy trop gdzieś się kończy.

- Mylisz się. Znalazłam twoje pluskwy... - Wzięła głęboki oddech, po czym ciągnęła: - Za dużo osób jest w to zaangażowanych. Wszystkich nie uśmiercisz. Przegrałeś, Venturi. Wiemy o wpłatach, jakie dokonywano na twoje konto. Możemy udowodnić, że cybernetyczne tropy prowadzące do komputera Erica zostały podrzucone. Że tak naprawdę to pochodzą z firmy lotniczej w Oregonie. - Serce waliło jej młotem, ale zawodowy uśmiech, jaki przywołała na twarz, nie zdradzał napięcia ani strachu. - Możemy udowodnić, że twój wspólnik z Quantico zafałszował wyniki analizy komputera Erica. - Na moment urwała, by miał czas przetrwać jej słowa. - Wiesz, że facet znikł? Nie powinno cię to dziwić. Bądź co bądź trzeba się pozbywać zdrajców, którzy źle wykonują polecenia.

Venturi trząsł się z wściekłości.

- Nieprawda. Kłamiesz!

- Tak? Więc skąd znam te fakty?

- Jestem trupem - mruknął agent, po czym popatrzył w twarz Leigh. - Ale trupów będzie więcej.

Uniósł broń. Nagle ponad jego ramieniem Leigh ujrzała jakiś ruch.

- Popelniasz błąd - powiedziała, siląc się na spokój. Kątem oka widziała, jak Eric wyłania się z kuchni, ściskając w ręku kij baseballowy. - Jeżeli zgodzisz się zeznawać, możemy ubić interes...

- Martwi nie ubijają żadnych interesów - oznajmił płaskim głosem Venturi, pociągając za spust.

Wszystko działo się tak szybko, a zarazem tak przeraźliwie wolno. Sekundy czy minuty... nie była pewna, ile to trwało.

- Nie!

Ostry sprzeciw rozległ się w tej samej chwili, kiedy Leigh padła na podłogę. Ogłuszający huk wystrzału wstrząsnął powietrzem. Leigh czekała na ból, na kulę, która miała się wbić w jej ciało, poczuła zaś ogromny ciężar. Jakby coś wgniatało ją w drewnianą podłogę.

Nie coś. Ktoś. Odwróciwszy się, zobaczyła twarz człowieka, który leżał na niej, osłaniając ją swym ciałem. Seth Mitchell. Krwawił.

- Ty potworze! - wrzasnął nad ich głowami Eric, zamachując się kijem.

Trafił agenta w bok. Zwalili się obaj na podłogę. Venturi wciąż ściskał broń. Kopnąwszy nogą niski stolik, Eric wymierzył agentowi cios w szczękę, po czym przygwoździł go do ziemi. Venturi roześmiał się cierpko i wbił Ericowi lufę w brzuch.

- Trupów... - wysapał - będzie... więcej...

- Nie! - krzyknęła Leigh.

Wygramoliła się spod Seta i chwyciła kij, który wypadł z rąk Erica. Ale gdy go uniosła, mężczyźni znów turlali się po podłodze, ona zaś nie wiedziała, w którą stronę skierowany jest wylot lufy. Dźwignąwszy się na nogi, stanęła. Czekiła na odpowiedni moment.

Krew. Tyle krwi! Na jej rękach, na twarzach mężczyzn. Wciąż walczyli; sapali, przeklinali, walili jeden w drugiego niczym w worek bokserski. Venturi był niższy, lecz potężniej zbudowany, w dodatku jako agent przechodził specjalne szkolenie. Eric zaś był bardziej zdeterminowany: bronił swej rodziny.

- Ingram... nie... wygra... - wycharczał agent, przygniatając Erica do ziemi.

Leigh nie wahała się. Uniosła kij wysoko nad głowę, po czym z całej siły rąbnęła nim w czaszkę wroga. W tej samej sekundzie usłyszała przytłumiony dźwięk wystrzału. Opadłszy z krzykiem na kolana, zepchnęła z Erica nieruchome ciało agenta. Eric leżał na podłodze z powiększającą się plamą krwi na koszuli.

- Eric... - Zaczęła wycierać mu krew z twarzy.

- Wezwij policję - mruknął. - Pomóż... ojcu. Leigh obróciła się w stronę Setha, który wciąż tkwił bez ruchu. Zmroził ją strach.

- Kocham cię - szepnął Eric, ale kiedy na niego spojrzała, stracił już przytomność.

Jake odnalazł ją w bufecie szpitalnym.

- Leigh, przyjechałem najszybciej, jak mogłem. Odwróciła się od maszyny z kawą i przytuliła do niego.

- Dziękuję.

Miał wyrzuty sumienia, że dranie, którzy zamienili w piekło jego życie, nie oszczędzili Leigh ani Erica. Nie ujdzie im to na sucho, pomyślał. Zapłacą za wszystko!

Odebrał telefon tuż po piątej. Ledwo był w stanie zrozumieć zdenerwowaną Leigh, która mówiła o jakimś przycisku alarmowym, o strzałach, o Ericu, o Secie i Venturim.

Wszystko zaczęło układać mu się w głowie. Śmierć

Lennoxsa. Fabrykowane dowody przeciwko Ericowi. Psiakrew, dlaczego wcześniej niczego się nie domyślił?

Delikatnie pogładził Leigh po policzku, na którym widniał wielki fioletowy siniak.

- Są jakieś nowe wieści? - spytał.

- Wciąż trwa operacja.

- Ma silny organizm. Wyjdzie z tego. Zobaczysz.

- Wiem. - Zmusiła wargi do uśmiechu.

- Jak Connor?

- Z trudem udało mi się go przekonać, żeby pojechał z babcią do domu. Padał już ze zmęczenia.

- To dobry dzieciak. - Jake wziął kubek z kawą, a wolną ręką objął Leigh za ramiona.

Szli w milczeniu szpitalnym korytarzem, aż dotarli do windy. Dopiero gdy drzwi się za nimi zasunęły, Leigh popatrzyła Jake'owi w oczy.

- O co chodzi, Jake? Co się dzieje?

Na myśl o biednym Lennoxsie ogarnęła go złość. To był porządny, uczciwy człowiek, który kochał rodzinę i często opowiadał o swoich dzieciach.



- Venturi nie był pierwszym agentem przydzielonym do tej sprawy. Pierwszym był Lennox, który zginął parę miesięcy temu. Wtedy podejrzewaliśmy, że kula, która go trafiła, była przeznaczona dla mnie.

- Boże. - Leigh westchnęła ciężko.

- Ale wszystko wskazuje na to, że to jednak on był celem. Że komuś zależało na tym, aby jego miejsce zajął Venturi.

- Dlaczego?

- Żebym to ja wiedział! Gdyby chcieli mnie wyeliminować, mieli mnóstwo okazji. Ale nie. Woleli zrobić w kradzież mojego najlepszego przyjaciela, a mnie po prostu odsunąć od dochodzenia. Leigh zmrużyła oczy.

- Może czegoś od ciebie chcą? - powiedziała. -Może myślą, że masz jakieś ważne informacje?

- Może - przyznał.

Podejrzewał jednak, że raczej chodzi im o informacje, które dopiero zdobędzie. O zaszyfrowane notatki jego ojca, które Gretchen usiłuje rozszyfrować.

Boże, gdyby Venturi wyruszył za nim na Brunnię... Na samą myśl o tym zrobiło mu się słabo.

Zobaczył ich, gdy tylko wyłonili się zza rogu. Jake obejmował ją ramieniem, ona zaś wyglądała na nieludzko zmęczoną. Twarz miała bladą, włosy potargane, spojrzenie posepne. No i ten siniak - wielki, fioletowy, na pół policzka. Gdyby ten bydlak, który jej go nabił,

jeszcze chodził wśród żywych, to on, Eric Jones, osobiście wysłałby go na tamten świat.

- Indy... - Jake ruszył pośpiesznie w stronę plastikowego krzesła, na którym siedział przyjaciel. - Nikt mnie nie uprzedził o balu przebierańców.

- Myślę, że dla ciebie też znajdzie się jakiś elegancki turbanik - powiedział Eric, żartując z bandaży, które spowijały jego głowę.

Jake postawił na stoliku styropianowy kubek, po czym poklepał przyjaciela po ramieniu.

- Jak się czujesz?

- Nieźle.

Gorzej było z innymi. Setha Mitchella od kilku godzin lekarze operowali. Zaś agent Venturi przeniósł się na tamten świat. Kiedy podczas walki na podłodze Eric usiłował odebrać mu broń, a Leigh walnęła wroga kijem w głowę, ten pociągnął za spust i sam sobie strzelił w brzuch.

- Przykro mi z powodu twojego ojca - powiedział Jake. - Co mówią lekarze?

- Jeszcze nic.

Psiakrew, wszystko miał pod kontrolą. Kazał Sethowi nie ruszać się z samochodu. Sam, maksymalnie skupiony, szykował się do skoku; zamierzał zaatakować i obezwładnić Venturiego, kiedy nagle ojciec rzucił się przed Leigh. Nie widział syna stojącego za Venturim, nie myślał o własnym bezpieczeństwie, po prostu chciał chronić Leigh - matkę swojego wnuka, kobietę, która gotowa była zaryzykować

własne życie, aby uratować życie jego syna, Erica; kobietę, która - choć istnienie własnego dziecka trzymała w tajemnicy - doprowadziła w końcu do pojednania rodziny.

Leigh położyła rękę na jego ramieniu.

- Usiądź, Eric. Nie protestował.

- O co, do diabła, w tym wszystkim chodzi? - spytał, zwracając się do Jake'a. - Słowa Venturiego zabrzmiały niemal jak osobista wendeta.

- A co powiedział?

Eric popatrzył na Leigh. Wiedział, że widok wycelowanej w nią broni na zawsze pozostanie w jego pamięci, ale resztę wydarzeń kojarzył jak przez mgłę. Pamiętał własny krzyk, szarżę ojca, walkę na podłodze, potworny huk, a potem ciszę. Odzyskał przytomność w szpitalu. Leigh z Connorem stali obok. Przytulił ich mocno do siebie: są jego rodziną.

- Kiedy weszłam do domu - zaczęła Leigh - już tam na mnie czekał. Z pistoletem. Powiedział: „Powinnaś była pozwolić Jonesowi przyjąć na siebie winę. Koalicja nie lubi, jak ktoś jej przeszkadza”.

Jake zaklął pod nosem.

- A potem, tuż zanim wyzionął ducha, dodał: „Igram nie wygra”.

Eric zmarszczył czoło.

- Nie wygra? Czego? Co miał na myśli?

- Też chciałbym to wiedzieć - odparł Jake. Nagle w jego oczach pojawił się błysk. - Słuchajcie, jutro lecę do Europy. Myślę, że właśnie tam znajdę odpowiedzi.

- Hej... - Eric delikatnie pogładził Leigh po paskudnym sińcu, który szpecił jej policzek. - Jest po północy. Zadzwońię po taksówkę. Jedź do domu.

Uniosła głowę znad jego ramienia i ziewnęła, rozglądając się po poczekalni.

- Zostanę.

- Może minąć jeszcze kilka godzin, zanim pozwolą nam odwiedzić Seta.

Zacisnęła rękę na jego dłoni.

- Chcę być z tobą.

Jake pożegnał się z nimi trzy godziny temu, po rozmowie z chirurgiem, który wyszedł z sali operacyjnej wypompowany, ale zadowolony z przebiegu operacji.

Rokowania były pomyślne. Kula przebiła Sethowi żebra, na szczęście nie uszkodziła płuc. Lekarze naprawili szkody, a przy okazji wykryli ślady po wcześniejszej kuli. Eric przypomniał sobie, jak Seth, mówiąc o Wietnamie, odruchowo pocierał ramię. Być na drugim końcu świata, walczyć na wojnie i nagle dowiedzieć się o śmierci najbliższych - to musi być straszne, pomyślał Eric. Człowiekowi może odciec się żyć.

Teraz on ma po co żyć. Obaj mają po co żyć.

- Boże! - Przypomniał sobie telefon od Leigh, szaleńczą jazdę przez miasto. Gdyby nie zadzwoniła... wpadłaby w zastawioną pułapkę, a on straciłby ją po raz drugi. Tym razem na zawsze. - Kiedy przez okno zobaczyłem tę gnidę z pistoletem...

- Przestań. Już po wszystkim.

Rebecca Salinger zadzwoniła tuż przed dziesiątą i potwierdziła to, co Leigh mówiła wcześniej. Że prokuratura wycofuje wszystkie zarzuty przeciwko Ericowi. Dowody obrony okazały się w pełni przekonujące, samobójstwo Venturiego jakby dodatkowo je potwierdziło. Nie będzie przesłuchania przed wielką ławą przysięgłych, nie będzie procesu, nie będzie wyroku, nie będzie więzienia.

- Byłeś niesłusznie oskarżony - powiedziała cicho Leigh. - Teraz jesteś wolny. Tylko to się liczy.

- Nie, kochanie. - Popatrzył z czułością na jej zmęczoną twarz, potargane włosy, podarte ubranie, siniec na policzku. - Liczy się to, że jesteście razem. Kocham cię, Leigh. Od wielu, wielu lat.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- A ja cię zdradziłam.

- Po tym, jak ja zdradziłem cię. - Zamknął jej usta pocałunkiem. - Oboje niepotrzebnie cierpieliśmy.

Wcześniej, oszołomiony odkryciem, że ma syna, nie zastanawiał się nad tym, co czuła Leigh, gdy okazało się, że jest w ciąży. Dopiero czytając listy swojej matki do Setha, uświadomił sobie, że dla samotnej kobiety te dziewięć miesięcy to czas zarówno ogromnej radości, jak i niepokoju.

- Przepraszam, Leigh. Za ból, jaki ci wyrządziłem... Przyłożyła palec do jego warg. Wtedy, dziesięć lat temu, oboje popełnili błąd.

Jedno się jednak nie zmieniło: żadna kobieta nie znaczyła dla niego tyle co ona.

- Dwa dni temu powiedziałem, że chcę swojego syna. Że chcę uczestniczyć w jego życiu.

- A ja odparłam, że nie będę ci tego utrudniać.

- Chcę jednak czegoś więcej. Popatrzyła mu głęboko w oczy.

- To znaczy?

- Ciebie. Pragnę ciebie, Leigh.

Zawsze jej pragnął. Była jedyną kobietą, z którą się śmiał, z którą poważnie dyskutował, która rozpałała jego wyobraźnię. I która rozumiała go jak żadna inna.

Wpatrywała się w niego bez słowa, z miłością, o jakiej marzył latami.

- Eric...

- Czekałem dziesięć lat, Leigh. Kiedy tamtej nocy wyszedłem z mieszkania, zostawiając cię w tym prześcieradle, chciałem wrócić. Wiedziałem, że cię kocham i nie mogę poślubić Becky.

- Eric, ja...

- Chciałem zerwać zaręczyny, ale kiedy zobaczyłem Becky w szpitalu, taką załamana i przerażona, po prostu nie mogłem. Ścisnęła mnie za rękę i szlochając, błagała, abym jej nie porzucił, jak to zrobił jej ojciec...

- Gdybyś ją porzucił - przerwała mu Leigh - nie byłbyś tym człowiekiem, w którym się zakochałam.

- Przeszłości nie zmienimy. - Na moment zamilkł. - Ale ona nie musi wpływać na przyszłość. Na naszą przyszłość.

Dwie duże łzy spłynęły Leigh po policzkach.

- Jesteś jedynym mężczyzną, jakiego kochałam. Nie mogłam się powstrzymać od uśmiechu.

- Nawet wtedy, kiedy wszystko wskazywało na to, że jestem mutantem, który ukradł miliardy z Banku Światowego?

- Nigdy nie myślałam o tobie jako o mutancie i wiedziałam, że niczego nie ukradłeś.

Jest najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Może nie ma miliardów na koncie, ale czeka go wspaniała przyszłość. Odzyskał nie tylko dobre imię, ale i kobietę, którą kochał, dzięki niej zaś swego ojca i syna.

## EPILOG

W zabrudzonych trawą i ziemią spodniach i kijem uniesionym nad prawe ramię wyglądał po prostu bosko.

Miotacz wykonał rzut, doskonały i profesjonalny, zwłaszcza biorąc pod uwagę wiek gracza. Eric odbił piłkę wysoko w powietrze. Na lewo, nieco za drugą bazą, czekał skupiony łącznik, który po chwili skoczył i złapał piłkę metr nad głową. Pałkarz został wyautowany.

- Brawo, synku! - Poderwawszy się na nogi, Leigh roześmiała się, widząc, jak Eric grozi Connorowi palcem.

Upalne lato minęło, nastąpiła piękna jesień: na bezchmurnym niebie wciąż świeciło jaskrawe słońce, ale lekki wiaterek sprawiał, że powietrze się zbytnio nie nagrzewało.

Leigh razem z innymi widzami siedziała na trybunie, oglądając rozgrywany zawsze na zakończenie sezonu mecz pomiędzy drużyną ojców a drużyną synów.

- Okrutne mamy dziecko - oznajmił Eric, podbiegłszy do Leigh.

- Utalentowane - poprawiła go. - I bardzo ambitne. Usiadł obok, wziął ją za rękę i odruchowo zaczął się bawić pierścionkiem na jej palcu.

- Okrutne - powtórzył. - Czy ono nie wie, że Boże Narodzenie jest za niecałe dwa miesiące?

Leigh parsknęła śmiechem. Kiedy Eric się jej oświadczył, wspólnie zdecydowali, że pozwolą Connorowi ustalić datę ślubu.



Chłopiec ogromnie się ucieszył. Powiedział, że to najwspanialszy prezent, jaki kiedykolwiek dostał, i dlatego wybrał na ślub Wigilię Bożego Narodzenia.

- Chcę z tobą spędzić tę noc - szepnął Eric. - Całą noc. Chcę codziennie kłaść się z tobą spać i codziennie budzić się przy twoim boku.

Na razie kochali się ukradkiem, zazwyczaj podczas przerwy na lunch.

- Ja też - odparła cicho. I faktycznie, marzyła o tym od wielu lat, lecz nigdy nie sądziła, że jej marzenia się spełnią. - To już niedługo.

- Prawie dwa miesiące...

- Zobacz, teraz Seth - powiedziała, oswobadzając się z jego objęć.

Nie miał jej tego za złe, bo dzisiejszy mecz był ważniejszy od pocałunków. Seth ustawił się naprzeciwko bazy domowej i z taką samą wprawą, co wcześniej Eric i Connor, uniósł kij.

Tak jak obiecała Rebecca Salinger, prokuratura federalna oficjalnie odstąpiła od oskarżenia. Eric odzyskał dobre imię. Jeszcze przez kilka dni dziennikarze chodzili za nim krok w krok, koniecznie chcieli zrobić wywiad z człowiekiem niesłusznie posądzonym o kradzież miliardów, ale w końcu zadowolili się krótkim oświadczeniem, jakie wydał dla prasy. Nawet Cantrell przestał go nękać; prawdę mówiąc, Cantrella nikt nie widział od dnia, w którym zginął Venturi. Dwukrotnie mieli wiadomości od Jake'a; obie niezwykle optymistyczne. Po śmierci Venturiego FBI ponownie

zwróciło się do Jake'a z prośbą o pomoc i wyglądało na to, że sprawa kradzieży wkrótce zostanie wyjaśniona. Eric z Leigh odnieśli wrażenie, że Jake coś przed nimi ukrywa, ale zapewnił ich, że wszystko jest w porządku i na pewno przyleci w grudniu na ich ślub. Czyli Blues Brothers będą w komplecie.

Seth odbił mocno piłkę. Tym razem Connor nie zdołał jej złapać. Seth minął pierwszą bazę, dotarł do drugiej. Connor podbiegł i szturchnął dziadka w bok.

To niesamowite, pomyślała Leigh, obserwując graczy, z jaką łatwością Connor przystosował się do nowych mężczyzn w swoim życiu. Z drugiej strony nie było w tym nic dziwnego: zawsze marzył o tym, żeby mieć ojca i dziadka. Ostatnio zaczął napomykać, że chętnie miałby braciszka lub siostrzyczkę. Poczwała na ramieniu rękę Erica.

- Ale z nich para! - Uśmiechnął się szeroko.- I kto by pomyślał, że bycie podejrzanym o kradzież to druga najlepsza rzecz, jaka przytrafiła mi się w życiu.

Przyznała mu w duchu rację. Gdyby Erica nie oskarżono, może ich drogi nigdy by się nie zeszły. Eric dalej nie wiedziałby o istnieniu syna, nie poznałby zagadki swego pochodzenia, nie spotkałby Setha.

- A pierwsza? Popatrzył jej w oczy.

- Musisz pytać?

- Na tym polega moja praca. Na przepytывaniu ludzi. Ryknął śmiechem.

- W porządku, pani mecenas. Absolutnie najwspanialszą rzeczą w moim życiu jesteś ty.

Leigh westchnęła błogo. Nie mogła doczekać się grudnia - cudownej Wigilii Bożego Narodzenia.

Podejrzany o kradzież trzystu pięćdziesięciu miliardów dolarów Eric Jones szuka pomocy u Leigh Montgomery, pięknej i błyskotliwej prawniczki samotnie wychowującej syna, jedynej kobiety, którą kiedykolwiek kochał. Dziesięć lat wcześniej spędzili razem jedną noc. Teraz Eric chce naprawić dawne błędy i odzyskać miłość swego życia. Leigh podejmuje się obrony Erica, nie zdając sobie sprawy, że tą decyzją ściąga na siebie śmiertelne niebezpieczeństwo...

**KONIEC**